

MAREK ŁAWRYNOWICZ

m u n d u r



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

MAREK ŁAWRYNOWICZ

m u n d u r



ZYSKI S-KA
WYDAWNICTWO

MAREK ŁAWRYNOWICZ

mundur

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Marek Ławrynowicz
Mundur

ISBN 978-83-65676-21-4

Copyright © Marek Ławrynowicz, 2016
All rights reserved

Redakcja
Bogusław Jusiak

Projekt okładki
Agnieszka Herman

Skład i łamanie
Grzegorz Kalisiak

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Pawłowi Freislerowi

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[WARSZAWA](#)

[Parawan](#)

[Płaszcz](#)

[Kopiec Pocijki](#)

[Głosy](#)

[Pani ordynator](#)

[Pszczółka Maja](#)

[WROCŁAW](#)

[Posłusznie melduję, że jestem](#)

[Wielki bieg](#)

[It](#)

[Telewizor](#)

[Przygody plutonu E](#)

[OPOLE](#)

[Pion polityczny](#)

[Biznes](#)

[Trzemeszno](#)

[Doktor](#)

[Święta wojna](#)

[Nauki przedmażeńskie](#)

[Metr](#)

[Tania](#)

[Epilog](#)

[Postscriptum](#)

[Podziękowania](#)

WARSZAWA

Rozdział 1

Parawan



Od kiedy pamiętam, czułem niechęć do mundurów. Wbrew epoce mego dzieciństwa, która uwielbiała ludzi podobnie ubranych, kroczących w równych szeregach, dźwigających z entuzjazmem sztandary równiutko powiewające na wietrze, wznoszących chóralne okrzyki, moja rodzina jakoś się do tego nie garnęła. Owszem, ojciec bywał gniany na Pierwszego Maja i raz nawet wetknięto mu w dłoń sztandar, od którego porobiły się — jak to inteligentowi — bolesne odciski, ale u nas w domu panowała tego dnia cisza, radio było wyłączone. W podwarszawskim Miedzeszynie, gdzie mieszkaliśmy, nikt nie maszerował, koty wygrzewały się na słońcu, z okna sąsiada dobiegało *Tango Milonga* pełne trzasków charakterystycznych dla płyty nazbyt często odtwarzanej na gramofonie. Przyzwyczailem się, że są ludzie umundurowani i nieumundurowani, a my należymy do tych drugich. I to mnie zupełnie zadowalało.

Nie lubiłem mundurów także dlatego, że od kiedy pamiętam, nie bardzo przystawałem do reszty świata. Między mną a innymi ludźmi było coś w rodzaju szklanej ściany. Widzieliśmy się wzajemnie, mogliśmy wymieniać uwagi, uśmiechać się do siebie i pozdrawiać, ale ściana była.

Może zresztą tylko z mojej strony. Nie miałem poczucia wspólnoty i mimo licznych prób nie udało się reszcie świata jej we mnie rozwinąć.

W szkole trafiłem na szczęśliwy czas, kiedy nie obowiązywały już mundurki. Dziewczęta próbowano jeszcze zmusić do noszenia granatowych, obrzydliwych fartuszków, ale wobec powszechnego oporu zrezygnowano z tego paskudztwa. Koleżanki wypiękniały i stały się radością naszego życia.

Jedyną szkolną organizacją, która chciała mnie umundurować, było harcerstwo. Nęcili mnie możliwością noszenia fińskiego noża w skórzanej pochewce, naszywkami z różnymi sprawnościami, ale nie robiło to na mnie wrażenia. Zupełnie inaczej było z Hanią L., która robiła na mnie wrażenie przeogromne, a przy okazji była zapamiętałą harcerką, chodziła w opiętej harcerskiej bluzie, pod którą delikatnie rysowały się skromne dziewczęce wypukłości. Lubiliśmy rozmawiać o wypukłościach Hani, a kolega Szczurek, który też się w niej kochał, nie wytrzymał i zapisał się do harcerstwa. Zazdrościłem mu, że może się zbliżyć do mojego ideału, śpiewać razem z nią *Płonie ognisko i szumią knieje*, a nawet istniała teoretyczna szansa, że wypadnie z krzaków na Hanię L. podczas marszu na orientację i będą się razem kierować na azymut, który nie wiadomo dokąd ich zaprowadzi.

Cierpiałem, ale nie mogłem się w żaden sposób przełamać i włożyć harcerskiego mundurka. Nie chciałem biec na zbiórkę, słuchać drużynowego i maszerować równym krokiem, rycząc *Gdzie strumyk płynie z wolna*. Miałem rację. Wkrótce rodzice Hani wyjechali z Miedzeszyna i obaj straciliśmy naszą ukochaną na zawsze, tyle że Szczurek został jak idiota z tym swoim mundurkiem, który teraz nie był mu już do niczego potrzebny.

Przez pewien czas odchorowywałem zniknięcie Hani, a potem dałem sobie słowo, że nigdy nie zakocham się w kobiecie umundurowanej, i dotrzymałem słowa z wyjątkiem pewnej pełnej uroku milicjantki, która jednak zawsze występowała w cywilu, ukrywając swój fach podczas naszych upojnych nocy, i dopiero gdy mnie porzucała, przyznała się, że robi w prewencji. Nie jest miło być porzuconym przez prewencję, ale nie starałem się odzyskać jej miłości, bo to jednak dyskomfort kochać się z kobietą, która może użyć wobec człowieka pałki służbowej.

Prawdziwy problem z mundurem zacząłem mieć, gdy skończyłem osiemnaście lat i moje istnienie odkryła Wojskowa Komenda Uzupełnień. Obowiązujący wtedy powszechny obowiązek służby wojskowej był problemem dla zdecydowanej większości trafiających do WKU. Nie chodziło o to, że byliśmy mało patriotyczni. Przeciwnie. To Ludowe Wojsko Polskie było niepatriotyczne. Polska armia należała do Układu Warszawskiego, co w praktyce oznaczało, że w wypadku wojny stanie się częścią armii rosyjskiej, a właściwie sowieckiej, bo istniał jeszcze wtedy ZSRR. Ludowe Wojsko Polskie nie potrzebowało zresztą wojny, by wykazać się służalczością wobec Imperium, co udowodniło, atakując dziarsko i ze śpiewem na ustach Bogu ducha winną Czechosłowację.

Nie o sytuacji geopolitycznej myśleliśmy wszakże, stojąc w ciasnym korytarzu WKU i czekając, aż nas wezwą. Ilekroć drzwi się uchylały, widać było za nimi komisję złożoną z porucznika, sierżanta i jakiegoś cywila, ale nie oni wprawiali nas w ekscytację, lecz widoczny po prawej stronie pomieszczenia biały parawan. Wedle stałych bywalców Wojskowej Komendy Uzupełnień za parawanem znajdowała się pani doktor, podobno nieco po trzydziestce, pulchna i ponętna, przed którą należało się całkowicie obnażyć. Większość tłoczących się na korytarzu stanowili młodzieńcy, których nagość oglądała wyłącznie mamusia, a i to wiele lat

temu, więc nic dziwnego, że parawan budził w nas nieokreślone obawy. Jakiś dryblas z blizną pod okiem pochylił się nade mną i szeptał:

— Jak zdejmiesz majteczki, pani doktor weźmie go w rączkę i sobie poogląda. A jeśli się jej spodoba, może nawet pogłaskać.

— Naprawdę? — Stojący z drugiej strony osobnik z zapadłą klatką piersiową głośno przełknął ślinę.

— A coś ty myślał! Tu jest wojsko. Tu każdy staje się mężczyzną.

Nie mogłem się doczekać, kiedy zostanę wezwany za parawan, a równocześnie potwornie się bałem tego, co miało tam nastąpić. Gdy tak się wahałem między podnieceniem a przerażeniem, drzwi się otworzyły i usłyszałem swoje nazwisko. Wszedłem do środka.

— Bliżej — burknął w moją stronę sierżant.

Podszedłem bliżej.

Zapytano mnie o imię, nazwisko i różne inne rzeczy, a ja odpowiadałem niezbyt przytomnie, bo cała moja uwaga była skupiona na parawanie. Był tam koleś z zapadniętą klatą, który wszedł przede mną. Nasłuchiwałem, czy nie dobiegają stamtąd jakieś odgłosy, na przykład erotyczne westchnienia, ale słychać było tylko cichutki skrzyp długopisów przesuwających się po papierze. Potem bardziej wyczułem, niż usłyszałem, że koleś z zapadniętą piersią wychodzi zza parawanu i zmierza do drzwi. Zapytano mnie jeszcze o coś, a potem sierżant rzekł krótko i rozkazująco:

— Za parawan!

Drżąc, udałem się w tamtą stronę. Pani doktor była istotnie blondynką pełną erotyzmu. Najpierw spojrzałem na jej obfite piersi, potem ujrzałem nad piersiami piękne chabrowe oczy, które przyglądały mi się kpiąco.

— Napatrzyłeś się? — spytała.

Kiwnąłem potakująco głową

— No to się rozbieraj.

Szybko zrzuciłem ubranie. Zostałem tylko w majtkach.

— Do końca, do końca... — Pani doktor się uśmiechnęła.

Powoli, pełen obawy ściągnąłem majtki. Jak strasznie chciałem zasłużyć na jej uwagę i zostać pogłaskany. Nic takiego nie nastąpiło. Chabrowe oczy spojrzały z całkowitą obojętnością na moją męskość, a stworzone do pocałunków usta powiedziały:

— Odwróć się.

Odwróciłem się pełen rozpacz.

— Wypnij się.

O dramacie męskich upokorzeń! Jak mógłbym się wypiąć? Przecież ja już ją kochałem, a przynajmniej tak mi się wydawało.

— No, na co czekasz? Wypnij się.

Czy mogłem nie ulec? Siła miłości przygięła mnie do ziemi, wypiąłem się najbardziej jak mogłem i tak trwałem. Czy ta kobieta była w stanie ocenić moje poświęcenie?

— Wystarczy — powiedziała. — Możesz się ubrać.

Ubierałem się wolno, pochylony nad sznurowadłami gapiłem się na jej smukłe łydki. Spojrzała na mnie, jak mi się zdawało, zalotnie, a potem powiedziała:

— Następny.

Wyszedłem zza parawanu i ruszyłem w stronę drzwi. Po drodze jakiś cywil, którego do tej pory nie zauważyłem, wręczył mi książeczkę wojskową. Ściskając ją w dłoni, wyszedłem na korytarz.

— No, co tam ci wpisali? — spytał dryblas z blizną.

— Znaczy... w jakim sensie? — Nie zrozumiałem pytania.

— No, jaką masz kategorię, kretynie?

Wyjął mi z dłoni książeczkę wojskową i przewracał przez chwilę kartki.

— Tak jak myślałem — rzekł. — Frajer.

Podał mi otwartą książeczkę i ujrzałem wielki czerwony stempel: „Kategoria A”. Gdy patrzyłem w piękne oczy pani doktor, komisja załatwiła mnie na cacy.

O ludziach, którzy dostali kategorię „A”, mówiło się wtedy „absolutny idiota”, choć oficjalnie znaczyło to „zdolny do służby wojskowej w czasie wojny i pokoju”. To była najgorsza kategoria. Najwyżej ceniono oznaczonych literą „E” — niezdolny do służby, „D” — niezdolny, choć w pewnych sytuacjach być może zdolny, oraz ewentualnie „C” — czasowo niezdolny.

Zgromadzeni na korytarzu popatrzyli na mnie z pogardą wymieszaną z odrobiną współczucia. Ruszyłem do wyjścia. Szedłem samotnie ulicą i byłem przekonany, że przeżywam właśnie najgorszy dzień mojego życia.

Maturę zdawałem na raty. Część, choć nie bez trudu, zaliczyłem w maju, ale biologię oblałem i została mi na wrzesień. Nie zmartwiłem się tym zbyt, bo nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji.

We wrześniu, po mało skutecznych próbach zrozumienia czegokolwiek z procesów biologicznych, znów stanąłem przed komisją egzaminacyjną. Była życzliwa, najwyraźniej jej członkowie postanowili, że pozbędą się mnie raz na zawsze. Zadawali mi pytania, na które bez trudu odpowiadałby przeciętny krety, ale ja byłem kretynem nieprzeciętnym i dawałem odpowiedzi wołające o pomstę do nieba. W końcu pewna pani, stara już i pomarszczona, ale za to w złotych drucianych okularkach, zadała mi pytanie najprostsze na świecie.

— Pawełku — powiedziała cienkim głosem ociekającym słodyczą i dobrymi chęciami. — A jakie roślinki rosną u ciebie w ogródku?

Mieszkałem wtedy w Falenicy na osiedlu domków jednorodzinnych i tak jak wszyscy miałem ogródek, w którym mama coś sadziła, a ja nawet czasem podlewałem to coś wodą z wielkiej blaszanej, poobtłukiwanej

konewki. Ale co tam, do licha, rosło? Nigdy się tym nie interesowałem. Moje zainteresowania ograniczały się do dziewczyn z mojej klasy i klas równoległych, sporządzania różnych mieszanek na bazie najtańszego wina jabłkowego, miodu, cynamonu, spirytusu i innych składników oraz czytania prasy literackiej. Ogródek nie budził we mnie żadnych emocji, nie było tam nawet wystarczająco gęstych krzaków, by się w nie udać o zmierzchu z kolejną narzeczoną. Pani w złotych okularkach, najwyraźniej marząca od zawsze o własnym pięknym ogródku, w którym z lupą w dłoni nie znajdzie się śladu chwastu, a piaszczyste dróżki między grządkami są zawsze starannie zagrabione, natychmiast odgadła, że nie mam zielonego pojęcia, co rośnie w moim ogródku, i na jej zmęczonej życiem twarzy odbiło się najpierw przeogromne zdumienie, a potem niedające się opisać obrzydzenie do mojej osoby. Postanowiłem się jakoś ratować i tu doznałem błysku geniuszu: przecież komisja nie uda się do mnie do ogródka, żeby sprawdzić, co tam rośnie, więc nie ma żadnego znaczenia, co powiem.

— No... marchewka... — zacząłem niepewnie — te... no... pomidory... ogórki... i tam te... znaczy... drzewka rosną.

— Jakie drzewka? — spytała szybko miłośniczka ogródków, najwyraźniej chcąc mnie pogrążyć.

— No, ta... papierówka — papierówka chyba naprawdę rosła — śliwka... dwie śliwki...

— Jakie?

— Takie no... te bardziej granatowe... — powiedziałem i nagle przypomniałem sobie, że po ścianie domu pną się winogrona, kiedyś nawet objedliśmy je do cna z kolegami — no i... winogrona... przy domu... takie ciemne...

Tu mi podziękowano i komisja udała się na naradę. Trwała bardzo długo. Zapewne członkowie komisji starali się uspokoić wzburzoną miłośniczkę

ogródków. Wreszcie drzwi się otworzyły i poinformowano mnie, że otrzymałem ocenę dostateczną i jestem teraz człowiekiem z maturą.

Przed szkołą czekali na mnie koledzy, Andrzej i Mariusz, z przygotowanym zawczasu jabolem. Opróżniliśmy go po drodze i mieliśmy zamiar to kontynuować, no bo jakby na to nie patrzeć, chwila była uroczysta. Tymczasem w domu czekała na mnie niespodzianka. Listonosz przyniósł i kazał mamie pokwitować odbiór kolejnego wezwania do Wojskowej Komendy Uzupełnień. Termin był wyznaczony za tydzień.

— Pobór jesienny — rzekł Mariusz. — Mój starszy brat też tak miał. Wezwali go i wręczyli bilet. Trzy dni później był w koszarach. Już po tobie, chłopie.

Andrzej poszedł po kolejnego jabola. Piliśmy go w ponurym nastroju. Na zdawanie na studia, które chroniłyby mnie przed poborem, było za późno. Pozostawało mi tylko jedno. Natychmiast rozpocząć naukę gdziekolwiek i czegokolwiek. Następnego dnia, walcząc z ciężkim kaczem, popędziłem do falenickiego liceum i zacząłem się domagać natychmiastowego wydania mi matury. Wy tłumaczono mi, że to nie takie proste, maturę owszem mam, ale stosowny dokument zostanie mi wręczony we właściwym czasie, zapewne w ciągu miesiąca. Tu nie wytrzymałem i okazałem wezwanie z WKU, co wyraźnie pomogło. Nie dostałem wprawdzie matury, ale wypisano mi zaświadczenie opieczetowane przez szkołę i podpisane przez dyrektora, że egzaminy maturalne zdałem z wynikiem pozytywnym. Przycisnąłem do piersi ten świstek papieru i zacząłem szukać placówki edukacyjnej, która zechce mnie przygarnąć i ocalić.

Nie było to proste. Moi rówieśnicy czuli na plecach nadejście poboru jesiennego i nawet najmniej atrakcyjne wydziały wyższych uczelni i szkoły pomaturalne wypełniły się natychmiast tymi, którzy nie czekali jak ja na wezwanie z WKU, tylko zawczasu powzięli odpowiednie kroki. Łaziłem od

sekretariatu do sekretariatu i wszędzie dowiadywałem się, że miejsc już nie ma. Potem przyłączył się do mnie kolega Tadzik, który też zdawał poprawkową maturę i miał w kieszeni wezwanie do Komendy Uzupełnień. We dwóch łąziło się rażniej, ale z równie marnym skutkiem. Wreszcie w środę, dwa dni przed terminem wezwania, ktoś powiedział mamie Tadzika, że są wolne miejsca w pomaturalnej szkole dla archiwistów na Reymonta. Pojechaliśmy tam w czwartek i zajęliśmy ostatnie dwa miejsca. Trochę czasu zeszło nam na zapewnienie sobie zaświadczeń, ale w piątek o 10.00 stawilem się w Wojskowej Komendzie Uzupełnień.

Pierwszą osobą, na jaką się tam natknąłem, był dryblas z blizną, ten sam, który ołgał mnie w kwestii uroków badania za parawanem. Stał na środku korytarza i tępo patrzył na kawałek papieru, który trzymał w ręku. Był to rozkaz stawienia się w jednostce wojskowej w Żarach, uprawniający równocześnie do darmowego przejazdu.

— Cześć! — zawołałem do niego radośnie i z satysfakcją.

Popatrzył na mnie z miną człowieka, który biegnąc radośnie przez łąkę na spotkanie z ukochaną, zderzył się z czołgiem. Zostawiłem go w spokoju i zająłem miejsce na twardym krzeselku przed znanymi mi już drzwiami. Siedziało tam wielu podobnych do mnie osobników pogrążonych w nastroju zdecydowanie ponurym. Jeden po drugim wchodzili do pokoju komisji, gdzie nie czekała już na nich ukryta za parawanem pani doktor o chabrowych oczach, ale siedziało trzech znudzonych panów w mundurach, którzy zgoła bez emocji wręczali wszystkim skierowania do jednostek, dodając jako komentarz nazwy różnych miejscowości naszego pięknego kraju: Łeba, Lidzbark Warmiński, Elbląg, Opole... i tak dalej.

Kiedy tam wszedłem, nawet na mnie nie spojrzeli, tylko najstarszy stopniem zapytał:

— Nazwisko?

— Zabłocki.

— Drawsko Pomorskie.

— Ale ja się uczę! — wykrzyknąłem, bojąc się, że pojedę do tego Drawska, nim ktoś mnie wysłucha.

Podnieśli głowy i obejrzelі mnie sobie.

— Zaświadczenie — powiedział ten pośrodku.

Podąłem mu zaświadczenie. Kontemplował je przez jakiś czas, po czym podał kolegom, którzy powoli i skrupulatnie zapoznawali się z jego treścią. Pokiwali nad nim głowami, a siedzący pośrodku rzekł:

— Archiwista... Taki cwaniaczek... No... ale my się jeszcze zobaczymy. I pokiwał na mnie karcąco palcem.

— Odroczony — zakomunikował siedzący obok sierżant.

Niemal wypłynąłem na korytarz. Dryblas z blizną nadal tam stał. Podeszedłem do niego i z satysfakcją szepnąłem mu słodziutko do ucha:

— Odroczony.

Nie poruszył się. Widać oczyma duszy już patrzył na koszary w Żarach. Niech mu służba lekką będzie.

Rozdział 2

Płaszcz



Zapewne są na świecie ludzie, którzy kochają zawód archiwisty i znajdują w nim radość istnienia. Ja przeciwnie, od pierwszych dni policealnych studiów dla archiwistów poczułem do tego zawodu żywiołową niechęć. Podczas zajęć na temat różnych sposobów archiwizowania rozpaczliwie walczyłem z sennością. Na wycieczkach polegających na zwiedzaniu różnych archiwów myślałem tylko o tym, jak by się tu niepostrzeżenie urwać. Mimo to trwałem w studium, bo wiedziałem, że oprócz poboru jesienno jest także wiosenny, a szkoły policealne miały obowiązek informować WKU, gdyby ktoś zrezygnował z nauki. Jakim cudem zaliczyłem semestr zimowy, nie wiem. Chyba po prostu nie przewidziano tam możliwości niezaliczenia semestru. Potem nadeszła wiosna, a wraz z nią pobór do wojska, który obserwowałem z niezmaconym spokojem, ale gdy się skończył, nie wytrzymałem i porzuciłem szkołę dla archiwistów. To była jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu.

Wiosna rozwijała się pięknie, a ja zacząłem się przygotowywać do egzaminów na polonistykę — nadal bowiem tkwiłem w złudzeniu, że jest to kierunek studiów właściwy dla pisarzy. Czytałem książki, opracowania, uczone dysertacje, co pewien czas przerywałem naukę, by odnotować jakiś

nie do końca efektowny sukces erotyczny; krótko mówiąc, cieszyłem się życiem.

Na początku lipca przystąpiłem do egzaminów na uniwersytet. Zdałem je całkiem nieźle, ale zabrakło mi jednego punktu. Sekretarka w dziekanacie kazała mi napisać odwołanie. Mój los zależał od ministra szkolnictwa wyższego. Jeśli zwiększy „pulę studentów”, to mnie przyjmą. Jeśli nie, to nie. Miałem czekać i nie zawracać uczelni głowy swoją osobą.

Czekałem cierpliwie, ale w połowie września zacząłem się nieco denerwować. Zbliżał się kolejny pobór, z listy uczniów szkoły dla archiwistów zostałem skreślony, a na uniwersytecie mojego odwołania nikt nie miał zamiaru rozpatrzyć. Mógłbym sobie znaleźć inne dwuletnie studium policealne, ale moja matura leżała wraz z innymi dokumentami w teczce na uniwersytecie. Pojechałem tam, żeby się zorientować w sytuacji, i powiedziano mi to, co poprzednio: czekać.

Tymczasem wokół czuło się aktywność Wojskowej Komendy Uzupełnień. Ten i ów został wezwany i obdarzony „biletem”, wziąłem udział w kilku pożegnalnych pijaństwach kolegów. Uniwersytet milczał. Kolega Mariusz zaproponował, żebym nie odbierał wezwań z WKU i ukrywał się. To nie był zły pomysł, zwłaszcza że miałem się ukrywać u Ani, której rodzice wyjechali za granicę i mieszkała tylko z siostrą. Z Anią mieliśmy „coś” na jednej z prywatek i absolutnie nie miałem nic przeciwko temu, żeby mieć „coś więcej”. Siostra Ani, Krysia, była od niej jeszcze ładniejsza i z nią też chętnie miałbym „coś więcej”, gdyby to było rzecz jasna możliwe. Miałem tylko jeden kłopot: pod koniec października rodzice Ani i Krysi wracali do kraju, ale Mariusz powiedział, żebym się nie martwił, bo na czas zimy razem z kolegami wykopią dla mnie w pobliskim lasku ziemiankę i będą mnie regularnie zaopatrywać w jedzenie oraz alkohol. Zapowiedziałem mamie, że ma nie odbierać żadnych wezwań

z WKU. Wezwanie wkrótce przyszło i mama zachowała się bardzo przytomnie. Kazała napisać listonoszowi na odwrocie, że nie ma mnie w domu, albowiem podróżuję po Polsce autostopem i nie wiadomo, gdzie się aktualnie znajduję ani kiedy wrócę.

Jeszcze tego samego dnia przeniosłem się do Ani. Przez cały wieczór omawialiśmy różne sposoby pukania do drzwi, które miały zapobiec mojemu aresztowaniu, a przy okazji wypiliśmy dwie butelki wina. Potem odprowadziłem Anię do jej pokoju, a gdy powiedziała, żebym sobie już poszedł, stwierdziłem, że nie mogę, bo musimy jeszcze omówić kilka ważnych zagadnień konspiracyjnych. Wtedy Ania powiedziała, żebym się odwrócił. Zrobiłem to, a ona przebrała się w koszulkę i wsunęła pod kołdrę. Kiedy powiedziała, że już mogę się odwrócić, zrobiłem to i też wsunąłem się pod kołdrę. Ania spytała, co robię, na co odpowiedziałem, że wsuwam się pod kołdrę, a ona, żebym tego nie robił, na co powiedziałem, że muszę, i już pod kołdrą zacząłem ściągać spodnie. Ania spytała, co robię, a ja powiedziałem, że ściągam spodnie, bo przecież nie będę leżał pod kołdrą w ubraniu. Potem już byłem całkiem nagi, a Ania w koszulce. Kiedy zacząłem ją całować, trochę się broniła, ale potem też mnie zaczęła całować, a ja wędrowałem dłonią po jej koszulce, aż doszedłem do jej końca i stwierdziłem, że nie ma tam ani śladu majteczek, więc zacząłem ją jak najdelikatniej głaskać tam, gdzie od początku zmierzałem, a Ania mruczała słodko w moich ramionach i całowała mnie w zapamiętaniu. Potem ułożyłem się na niej, a ona nie protestowała, tylko rozsunęła nogi i podciągnęła je do góry. Zacząłem się w nią wsuwać, utknąłem na chwilę, Ania jęknęła i wsunąłem się całkiem, a dalej było to, czego nie sposób opisać, ale nigdy tego nie zapomnę. Kiedy wreszcie nasyciliśmy się sobą, okazało się, że to był Ani pierwszy raz, i poszliśmy do łazienki uprać prześcieradło. Kiedy już schło w łazience, wyszedłem w szlafroku na taras

zapalić papierosa i patrząc w niebo gwiaździste nade mną, myślałem, że nie ma większego szczęścia, niż być uciekinierem ściganym przez Wojskową Komendę Uzupełnień. Potem przyszła Ania też ubrana w szlafrok, przytuliła się do mnie i powiedziała, że od rana marzyła o tym, żeby się stało to, co się stało, i że mnie kocha. A potem trwaliśmy przytuleni, zapatrzeni w księżyc, zakochani i szczęśliwi.

Podczas gdy coraz bardziej zadowolony z życia ukrywałem się przed WKU, Mariusz krążył wokół mojego domu i sprawdzał, czy już mnie szukają. Na razie nic na to nie wskazywało. Nie pojawili się w okolicy żadni mundurowi, nikt o mnie nie pytał, nawet dzielnicowy nie zachodził. Mimo to Mariusz ze swoim kumplem Andrzejkiem starannie wybrali miejsce na ziemiankę i zaczęli ją kopać, bo zimy w tamtych czasach przychodziły niekiedy niespodziewanie. I oto w momencie, gdy przeżywałem największe uniesienia miłosne, przyszło pismo z uniwersytetu. Minister zwiększył pulę i zostałem przyjęty na pierwszy rok polonistyki. Natychmiast pojechałem na uniwersytet po stosowne zaświadczenie, a stamtąd wprost do Wojskowej Komendy Uzupełnień. Na wypadek gdyby mnie aresztowano, nim zdołam wręczyć zaświadczenie, towarzyszyli mi Ania i Mariusz. W sytuacji ostatecznej Ania miała dostać ataku hysterii i zdeorganizować pracę WKU, a Mariusz, wykorzystując zamieszanie, działać po linii wojskowej.

Nie miałem wezwania na ten dzień, więc widząc niechęć oczekujących na bilet do odebrania go, wepchnąłem się bez kolejki. Znanemu mi już facetowi za stołem zacząłem kwieście opowiadać, że właśnie wróciłem z objazdu kraju autostopem, nic nie wiedziałem o wezwaniu, ale natychmiast po powrocie stawiam się jako porządny obywatel. Mundurowy patrzył na mnie z satysfakcją. Był pewien, że za chwilę wręczy mi bilet i z miejsca posłał sierżanta do archiwum po moje papiery. Pobiegł, a ja

tymczasem wyjąłem i okazałem zaświadczenie z polonistyki. Mundurowy wziął je w dłonie i długo czytał, szukając uchybień formalnych. Ale to było standardowe pismo, jakie wszystkie uczelnie kierowały co roku do WKU, więc uchybień nie było. W tym czasie sierżant przyniósł teczkę z moim nazwiskiem i oficer zajmujący centralne miejsce za stołem zagłębił się w niej. Przeczytał wszystko, co tam było, a potem popatrzył na mnie ponuro.

— Armia — powiedział — to potęga. Armia cię jeszcze dorwie, archiwisto.

Nie odpowiedziałem. Sierżant wziął moją teczkę, napisał coś na okładce, rzucił ją na leżący obok stos podobnych i oznajmił urzędowym tonem:

— Odroczony!

Byłem wolny.

Pierwszy rok studiów upłynął mi w euforii, przynajmniej do lutego. W lutym Ania wyjechała z rodzicami do USA, by przez wiele lat stamtąd nie wracać. Miałem zamiar pojechać za nią i spędzić życie wśród nowojorskich drapaczy chmur, ale im więcej czasu mijało, tym mniej gorliwie moja ukochana mnie do tego zachęcała. Listy od niej przychodziły coraz rzadziej, ja również zwlekałem z odpisywaniem. Nie byłem też Ani do końca wierny, bo miłość miłością, a hormony spokoju nie dają. W końcu korespondencja się urwała i nasza miłość odeszła w przeszłość jak wiele gorących, ale ulotnych młodzieńczych namiętności. Bardziej od miłości zajmowały mnie wtedy literatura i filozofia. Ukończyłem szczęśliwie pierwszy rok i po długich wakacjach, podczas których szukaliśmy z Mariuszem przystanków od morza do Tatr, rozpocząłem drugi rok studiów.

I tu czekała mnie niemiła niespodzianka. W planie zajęć każdą środę wypełniały wypisane grubym flamastrem dwa słowa: studium wojskowe. Facet z WKU miał rację: nie da się uciec przed armią.

Początkowo miałem nadzieję, że to będzie coś takiego jak przysposobienie obronne w liceum: my będziemy siedzieli w ławkach, a mundurowi będą nam tłumaczyli, jak się strzela i robi w prawo zwrot. Jakże się myliłem.

Gdy w pierwszą środę nowego roku akademickiego zjawiłem się w Studium Wojskowym Uniwersytetu Warszawskiego, natychmiast wręczono mi ogólnowojskową bluzę, spodnie, buty, czapkę z orzełkiem i wielki, obszerny płaszcz. Potem zapędzono nas do przebieralni. Zdjąłem buty, spodnie, sweter i stałem nad obrzydliwymi wojskowymi portkami, wzdrygając się je włożyć na mój pacyfistyczny tyłek. Niemożliwe, żebym to włożył. A gdybym odmówił? Na razie nic by się nie stało. Wywalono by mnie ze Studium Wojskowego. Studiowałbym sobie, ale drugiego roku by mi nie zaliczyli, tylko kazali powtarzać. Znow trafilbym do Studium Wojskowego i znow nie wlozyłbym munduru. Wyrzuciliby mnie ze Studium, a po pewnym czasie z uniwerku, wtedy ten waźniak w WKU natychmiast wręczyłby mi bilet do jakiejś wyjątkowo parszywej jednostki. Podsumowując: odmowa włożenia munduru prowadziła do włożenia munduru.

Była jednak istotna różnica. Jako student wkładałem mundur raz na tydzień, pozostając przez pozostałe sześć dni cywilem. W jednostce wbito by mnie w niego nieodwołalnie i ostatecznie.

Istniała jeszcze możliwość odmówienia w ogóle służby wojskowej i spędzenia dłuższego czasu w zakładzie karnym. Na to też nie miałem ochoty, więc pełen wewnętrznej udręki zacząłem wciągać spodnie. Zza kotary dobiegał tupot ciężkich żołnierskich butów. Moi koledzy już się umundurowali. Włożyłem kurtkę i zacząłem zapinać guziki. Potem wsadziłem nogi w wielkie ogólnowojskowe trepy i zawiązałem sznurowadła. Stało się. Dopadli mnie i umundurowali. Odsunąłem kotarę

i wyszedłem na korytarz. Koledzy stali, przyglądali się sobie nawzajem i dziwili, jak bardzo żeśmy się w jednej chwili zmienili. Na następne zajęcia mieliśmy przyjść krótko ostrzyżeni i starannie ogoleni. Cóż mieliśmy robić? Poczekaliśmy na komendę „rozejść się” i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

Zgodnie z rozkazem wracałem do domu w mundurze, objuczony jak wielbłąd: pod pachą niosłem zwinięty płaszcz, a w lewej ręce torbę z cywilnym ubraniem. Mijając wojskowych, usiłowałem niezręcznie salutować, co sprawiało, że płaszcz wypadał mi spod pachy. Podnosiłem go, znowu rolowałem i szedłem prosto, sprężysto aż do następnego starszego stopnia, a że wszyscy byli ode mnie starsi, płaszcz wypadał mi spod pachy co chwila i poruszałem się w żółwym tempie. Po namyśle przestałem salutować starszym szeregowcom oraz kapralom i poszło trochę szybciej.

W następną środę, choć to była zaledwie połowa października, zrobiło się przerażająco zimno. Wiał wiatr, siąpił drobny, dokuczliwy deszcz, więc postanowiłem włożyć wojskowy płaszcz. Wyszedłem w nim z domu, naciągając czapkę na uszy, żeby mi jej wiatr nie porwał, i ruszyłem w stronę przystanku. Po drodze, patrząc na skulonych, zziębniętych ludzi, doceniłem zalety wojskowego płaszcza. Było mi ciepło, wiatru się przez grube sukno nie czuło. Wsiadłem do tramwaju, a potem wysiadłem na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich z Nowym Światem, żeby przesiąść się do autobusu jadącego w kierunku Studium Wojskowego. Kręciło się tam sporo wojskowych, którym salutowałem najlepiej, jak umiałem. Mimo to wszyscy patrzyli na mnie spode łba i ponuro. Zupełnie nie rozumiałem, o co im chodzi, ale się nie przejmowałem, bo jak każdy żyjący w ustroju socjalistycznym wiedziałem, że są rzeczy, których zrozumieć się nie da. Nadjechał autobus, wsiadłem do niego i pojechałem na Powiśle.

Z przystanku, na którym wysiadłem, do Studium Wojskowego było około pięciuset metrów. Szedłem dziarsko w jego stronę, gdy nagle z piskiem opon zahamowała obok mnie ciemnozielona nyska z napisem WSW i wyskoczyło z niej kilku mundurowych z białymi otokami na okrągłych czapkach, a najważniejszy z nich, bodaj plutonowy, wrzasnął na mnie:

— Do wozu!

— Ale dlaczego?

— Do wozu! — wrzasnął jeszcze głośniejsze.

Jego podwładni otoczyli mnie i patrzyli wiernie w oczy swemu dowódcy, czekając na znak, by rzucić się na mnie i wepchnąć do nyski. W tej sytuacji sam wsiadłem. Za mną weszło dwóch z białymi otokami i zatrzasnęli drzwi. Plutonowy usadowił się obok kierowcy.

— O co chodzi? — spytałem.

— Milczeć!

Zamilkłem. I tak milcząc, dojechaliśmy na posterunek Wojskowej Służby Wewnętrznej. Gdy wysiadłem z nyski, dwaj z otokami chwycili mnie za ramiona i pociągnęli do budynku. Ujrzałem przed sobą osobnika z dwiema gwiazdkami na ramieniu. Miałem nadzieję, że może ten mi coś wyjaśni, ale podporucznik tylko na mnie spojrzał i rzekł:

— Do aresztu z nim!

Dwaj z otokami znów chwycili mnie pod pachy i pociągnęli wąskim, ciemnym korytarzem. Na jego końcu były drzwi, które jeden z nich otworzył, i znaleźliśmy się w korytarzu jeszcze bardziej ponurym, gdzie po obu stronach były cele. Wepchnięto mnie do jednej z nich i zatrząśnięto drzwi. Rozejrzałem się. Na pryczy w kącie leżał jakiś szeregowiec i chrapał. Usiadłem na drugiej pryczy i postanowiłem cierpliwie czekać na to, co będzie dalej.

Nie minęło pół godziny, a usłyszałem skrzyp przesuwanej zasuw. Drzwi się otworzyły, uderzając z hukiem o ścianę. Wstałem i starałem się przyjąć postawę zasadniczą. Śpiący na pryczy żołnierz poderwał się nerwowo, siadł na pryczy i wystraszonymi oczami zaczął się przyglądać strażnikowi. Ale profos nawet na niego nie spojrzał, tylko zwrócił się wprost do mnie:

— Szeregowy Paweł Zabłocki?

— Tak jest!

— Za mną.

Wykonał bardzo sprawnie w lewo zwrot i ruszył przodem, a ja za nim. Poszliśmy do końca korytarza, potem schodami na pierwsze piętro, kawałek innym korytarzem, potem innymi schodami na drugie piętro i zatrzymaliśmy się przed drzwiami, na których była tabliczka „Kapitan Zygmunt”. Strażnik delikatnie zapukał. W odpowiedzi dało się słyszeć szuranie krzesła, po czym czyjś głos, władczy i energiczny, zawołał:

— Wlazł!

Wleźliśmy. Za biurkiem siedział trzydziestoparoletni mężczyzna ze starannie przystrzyżonym wąsikiem. Był to zapewne ów kapitan Zygmunt, bo na pagonach munduru miał cztery gwiazdki.

— Szeregowy Zabłocki — przedstawił mnie strażnik.

Kapitan popatrzył na mnie uważnie. Pod wpływem jego twardego jak stal spojrzenia mimo woli przyjąłem postawę zasadniczą. Zajrzał do leżących na biurku papierów, po czym rzekł:

— Jesteście wolni.

Przez chwilę miałem nadzieję, że to zdanie dotyczy mnie, ale strażnik strzelił obcasami i wyrecytował:

— Obywatelu kapitanie, plutonowy Łuczak odmeldowuje się.

Wykonał wzorowe w tył zwrot i wyszedł. Zostałem z kapitanem sam na sam. Patrzył na mnie, a ja na niego. W końcu poprawił się w fotelu

i wrzasnął tak, że było go słychać chyba w całej dzielnicy:

— Zdejmiecie, kurwa, wreszcie ten płaszcz czy nie?!

W sumie nie miałem nic przeciwko temu. W gabinecie kapitana Zygmunta było ciepło i przytulnie. Zdjąłem płaszcz, przewiesiłem go przez poręcz stojącego obok krzesła i czekałem, co będzie dalej. Kapitan przez pewien czas bębnił palcami w biurko, a potem rzekł już ciszej:

— Kto wam, do kurwy nędzy, pozwolił wkładać płaszcz?

— Nikt — powiedziałem.

Było to całkowicie zgodne z prawdą. Gdy wychodziłem rano, byłem sam w domu, więc nikt nie był w stanie udzielić mi stosownego zezwolenia. Kapitan patrzył na mnie z obrzydzeniem.

— Czy wiecie, Zabłocki, że każę was wsadzić do aresztu za niewykonanie rozkazu ministra obrony narodowej?

— Ależ, obywatelu kapitanie, pan minister nie wydawał mi żadnego rozkazu. Słowo honoru.

— Nareszcie do was dotarło. Nie było rozkazu ministra obrony narodowej, żeby wkładać płaszcze, a wy sobie, kurwa, wkładacie i lezicie jakby nigdy nic przez stolicę. Minister obrony to dla was jakiś chuj czy jak?

Milczałem, bo przy tak postawionym pytaniu nawet zaprzeczać było niebezpiecznie. Kapitan wziął moją książeczkę wojskową (którą wcześniej mi odebrano) i zaczął ją przeglądać. Na jego twarzy odbiło się jeszcze większe obrzydzenie do mojej osoby.

— Pierdolony studencik pręcik — rzekł. — Z Uniwersytetu... Biała czapeczka, pod nią pusta główeczka.

Żeby nie zaogniać sytuacji, nie zaprotestowałem przeciwko postponowaniu środowiska studenckiego. Kapitan przeczytał do końca moją książeczkę wojskową, a potem sięgnął po leżący na biurku gruby brulion i zaczął go wertować. Były tam różne nazwiska i numery telefonów.

Odnalazł właściwy numer, sięgnął po aparat i nerwowo zakręcił tarczą. Przez chwilę słyszałem długi sygnał oczekiwania na połączenie, a potem zapewne ktoś się w słuchawce odezwał, bo rozpoczęła się konwersacja.

— Antek? Tu Zygmunt. Mam tu jednego od was ze Studium Wojskowego. Zabłocki Paweł, syn Jana... Co? Wyobraź sobie, włożył płaszcz i szedł sobie spokojnie przez miasto... Sam nie wiem: idiota czy bandyta? Co? Nie jest przeszkolony? A ty widziałeś kiedy przeszkolonego studenta? Najgorszy szwej z pułku to przy takim geniusz. Nie wiem, kto ich tam przyjmuje na te studia. Co mówisz? No dobra... Niech wam będzie, ale jak go drugi raz tu zobaczę... Co? Dobra, będę... przyniosę litra... Nie, no żartowałem... przyniosę dwa litry... Cześć.

Kapitan odłożył słuchawkę i radosny uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, gdy mówił, ile litrów przyniesie, nagle znikł.

— Kapitan Kuzia mówi, że nie jesteście przeszkoleni i żeby was zwolnić — powiedział. — To jak, zwolnić was czy nie?

— To zależy od decyzji obywatela kapitana.

Spodobała mu się ta odpowiedź.

— Wypierdalać — powiedział cicho. — Tylko żeby wam nie przyszło do głowy wkładać tego pierdolonego płaszcza.

Chwyciłem płaszcz, zwinąłem go i z płaszczem pod pachą opuściłem siedzibę WSW.

Na dworze zrobiło się jeszcze zimniej. Wiał lodowaty wiatr, deszcz zacinał mi w twarz. Szedłem skulony z płaszczem pod pachą, ale pocieszało mnie to, że podobnie jak ja kulili się z zimna wszyscy ludzie w mundurach, szeregowcy, podoficerowie, oficerowie, a może nawet ten i ów generał. Tylko minister obrony narodowej siedział w swoim ciepłym, ogólnowojskowym gabinecie i ani myślał wydać stosowny rozkaz.

Rozdział 3

Kopiec Pociejki



Studium Wojskowe Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie przez cały rok akademicki uczęszczałem (najpierw z płaszczem pod pachą, potem w płaszczu na grzbiecie, a ostatecznie bez płaszcza), było w tamtych czasach azylem rozmaitego autoramentu wyrzutków wojskowych. Jeśli jakiś oficer zdołał dokonać wyjątkowo idiotycznego czynu, zsyłano go do Studium. Czego ci ludzie niosący niczym garb dziwne zdarzenia ze swego życiorysu mieli nas nauczyć, nie wiem, bo z ich wywodów podczas zajęć nie zapamiętałem absolutnie nic. Pamiętam natomiast charakterystyczne postaci, które stały się tak popularne, że zaznaczyły swą obecność w różnych dziedzinach życia.

W geografii ówczesnej Warszawy pojawił się na przykład kopiec Pociejki. Jako pierwszy napisał o nim dziennikarz „Życia Warszawy”, który niedawno ukończył studia. Inni podchwycili tę nazwę i powtarzali ją, nie wiedząc, o co chodzi. Kraków ma Kopiec Kościuszki, to Warszawa może mieć Pociejki. Czemu nie?

Kopiec było to nieczynne już, porośnięte trawą wysypisko śmieci, na które prowadzący zajęcia z taktyki w pobliskim Studium Wojskowym major Pocijko prowadził nieraz studentów, by tłumaczyć, na czym polega

budowanie transzei albo atak z flanki. Był to podstarzały cymbał, który starał się za wszelką cenę wyglądać i mówić mądrze, co czyniło z niego postać po gogolowsku komiczną. Pocijko znalazł się w Studium Wojskowym z powodu w gruncie rzeczy banalnego: zgubił armatę.

Rzecz się miała tak: w dniu powrotu z poligonu Pocijko, jeszcze wtedy kapitan, obchodził imieniny. Podwładni (którzy go chyba lubili) zrobili rzutkę i nabyli butelkę koniaku o nazwie „Napoleon”, uchodzącego wtedy za trunek wykwintny i wyjątkowy. Pocijko, nie chcąc się dzielić cennym napitkiem, spożył całą butelkę sam, siedząc w oficerskim namiocie polowym i zagryzając przyniesionym z kuchni kurzym udkiem. Powinno go to zaspokoić, ale stało się wprost przeciwnie: Pocijko wytoczył się z namiotu i wrzasnął na całe gardło:

— Wódki! Ja stawiam!

Żołnierzom umęczonym poligonową nudą nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Opróżnili portfel solenizanta i przynieśli ze sklepu skrzynkę czystej zwykłej. W sam raz na długą drogę do miejsca stałego zakwaterowania.

Wojskowa ciężarówka miała obszerną, pięcioosobową kabinę, do której wcisnęło się osiem osób. Z tyłu, na pace rozsiedli się na drewnianych ławkach pozostali żołnierze, którym mający już niewielki kontakt z rzeczywistością Pocijko ofiarował trzy butelki wódki. Przyjęli je z wdzięcznością, ale bez nadmiernego entuzjazmu, bo będąc w sklepie, zrobili też swoje i to o wiele większe zakupy. Z tyłu ciężarówki przyczepiona była armata, na którą mało kto zwracał uwagę, bo już oddała swoje strzały, lufę starannie wyczyszczono, a do obchodzenia imienin dowódcy nie była potrzebna.

Ruszyli w drogę. W szoferce Pocijko zachęcał wszystkich do spożycia, a szczególnie kierowcę, który nieco się wzbraniał, ale Pocijko spojrzał na

niego złowrogo i spytał:

— Ze mną się nie napijesz?!

Uległ więc i już pięćdziesiąt kilometrów od poligonu ciężarówka zaczęła jechać tak zwanym wężykiem, budząc przerażenie u kierowców nadjeżdżających z przeciwka samochodów. Kierowca był jednak znakomitym specjalistą w swoim fachu i mimo że Pocijko pytał jeszcze kilkakrotnie: „Ze mną się nie napijesz?!”, ani razu nie wjechał do rowu, nawet się z nikim nie zderzył, choć Pocijko co pewien czas łapał za kierownicę i usiłował do tego doprowadzić. Z tyłu, na pace szeregowcy wyli chórem nieprzyzwoite piosenki, słowem nastój był podniosły, wzruszający, a imieniny pod każdym względem udane.

W trzy godziny później dotarli do koszar, podtrzymując się wzajemnie, przeszli przez plac apelowy i udali się na spoczynek.

Rano obudziło Pocijkę delikatne pukanie do drzwi. Kapitan przez pewien czas robił wszystko, żeby się nie obudzić, ale w końcu uniósł obolałą głowę z poduszki, pojękując, usiadł na łóżku i wychrypiał:

— Czego?!

Drzwi się uchyliły i ukazał się w nich sierżant Cupiała, szef pierwszej kompanii, który wczorajszego wieczora dzielnie dotrzymywał kroku swemu kapitanowi w szoferce. Cupiała wyglądał z lekka upiornie, a na jego twarzy widać było przerażenie.

— Obywatelu kapitanie — rzekł. — Armata znikła.

Pocijko przez chwilę starał się zrozumieć znaczenie tych słów, a potem zapytał:

— Jaka armata?

— Ta, którą ciągnęliśmy za ciężarówką. Nie ma jej.

— Na pewno?

— Na pewno. Trzy razy sprawdzałem.

— Aha — powiedział Pocijko i się zamyślił.

Sierżant Cupiała nie śmiał zakłócać owego zamyślenia, więc stuknął obcasami i poszedł sobie.

Pocijko, pojękując, podniósł się z łóżka, z ogromnym trudem wciągnął kalesony i podreptał do łazienki. Stanął przed lustrem i zdziwił się. Z lustra patrzył na niego zupełnie obcy człowiek. Pocijko przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co ów człowiek robi w jego łazience, ale ostatecznie postanowił go zignorować i ogolić się. Namydlił swoje chude policzki (ten w lustrze zrobił to samo), po czym zaczął manipulować maszynką, pozbywając się, na ile to było możliwe, zarostu. Gdy się golił, ten w lustrze zaczął mu kogoś przypominać, podejrzewał nawet, że to jest on sam.

Powlókł się w stronę łóżka i wydobył zza niego to, co każdy przewidujący człowiek zawsze powinien mieć: butelkę piwa. Przez chwilę szukał otwieracza, wreszcie go znalazł, brutalnie zdarł kapsel i przypiął się do butelki. Pił wolno łyk za łykiem i z każdą chwilą czuł, że wraca mu chęć do życia, a nawet skłonność do alkoholu. Włożył mundur i udał się do parku maszynowego, gdzie stała ciężarówka, w której szoferce tak upojnie spędził wczorajszą noc. Obok ciężarówki kręcił się kierowca, też nieco skacowany, ale przede wszystkim zmartwiony.

— Musiała podskoczyć na jakimś wyboju, odczepiła się i została na drodze — powiedział na widok kapitana.

— Ale kiedy?

— Nie mam pojęcia.

Dowódca i kierowca przez dłuższy czas kontemplowali zaczep do armaty, ale nic tam nie wypatrzyli.

— Nie ma rady — rzekł wreszcie Pocijko. — Musimy pojechać i ją znaleźć.

— Oczywiście, obywatelu kapitanie, tylko że jest mały problem.

— Jaki?

— Obywatel kapitan pamięta, jak było: ciemno choć oko wykol. Obok mnie siedział sierżant Cupiała, miał na kolanach mapę, oświetlał ją latarką i mówił mi, jak jechać.

Pociejko mgliście przypominał sobie blask latarki w szoferce ciężarówki.

— Droga była nierówna, bujaliśmy się to w tę, to w tamtą i obywatel sierżant gubił mapę z pola widzenia, więc nie zawsze skręcaliśmy tam, gdzie trzeba, a potem zawracaliśmy.

— Ale chyba pamiętacie, gdzie to było?

— Nie bardzo, obywatelu kapitanie. To było wiele razy. Sprawdziłem na liczniku. Od poligonu do koszar jest sto dziewięćdziesiąt trzy kilometry, a my wczoraj przejechaliśmy trzysta osiem.

Kapitan zrozumiał, że sprawa nie jest tak prosta, jak mu się początkowo wydawało. Te dodatkowe sto piętnaście kilometrów mogli przejechać Bóg wie gdzie. Jednak nie było wyjścia. Pociejko z sierżantem Cupiałą i kierowcą wsiedli do ciężarówki i pojechali w stronę poligonu. Dotarli tam po trzech godzinach. Nigdzie po drodze armaty nie było. Jadąc z powrotem, skręcali w różne możliwe drogi i stawali we wszystkich miejscowościach. Sierżant wysiadał i rozpytywał ludzi, czy nie widzieli armaty. Nikt nie widział.

Armata oczywiście była, w pewnym momencie zbliżyli się do niej na odległość piętnastu kilometrów. Ale gdyby nawet pojechali ową niewłaściwą drogą, na którą skierował ich wczoraj upojony alkoholem sierżant, nie wiadomo, czy by ją zauważyli. Armata nie stała bowiem na jezdni, lecz tkwiła w rowie z lufą zarytą w piach.

Człowiekiem, który wepchnął armatę do rowu, był niejaki Owsikiewicz, z zawodu kombajnista. Bładym świtem Owsikiewicz pojechał na stację paliw zatankować swój kombajn po korek, a potem ruszył tam, gdzie miał

tego dnia rozpocząć koszenie. Owsikiewiczowi kleiły się oczy, bo tej nocy mało spał, oddając się uciechom miłosnym z Jadwigą Musiał, dojarką w tym samym Państwowym Gospodarstwie Rolnym. Kombajnista i dojarka już od pewnego czasu mieli się ku sobie i tej nocy doszło do ostatecznego zbliżenia.

Droga była pusta, toteż Owsikiewicz trochę przysypiał, a trochę wspominał, co go w nocy spotkało. I właśnie gdy przypominał sobie, jakie miał kłopoty z rozpięciem jedną ręką biustonosza Jadwigi Musiał, rozległ się trzask. Kombajn zabujał się w tył i w przód, a potem znieruchomiał.

— Kurwa mać! — rzekł Owsikiewicz, bo już wiedział, że w coś przypieprzył, tylko jeszcze nie wiedział w co.

Wylazł z kabiny, po drabince zszedł na jezdnię i ujrzał leżącą w rowie armatę. Przeżegnał się, a potem rozejrzał trwożliwie wkoło. Nikogo nie było. Jeszcze raz spojrzął na armatę, a potem starannie obejrzał przód kombajnu, który wyraźnie ucierpiał podczas kontaktu ze sprzętem artyleryjskim. Owsikiewicz wlaźł z powrotem do kabiny, z najwyższym trudem zawrócił i zamiast na pole pojechał prosto na warsztat.

Mechanicy obejrzelili kombajn i wyrazili swoje zdumienie.

— Przysnąłem i przypierdoliłem w kamulec. No, co się tak gapicie? — rzekł kombajnista i poszedł się przespać, bo naprawa zapowiadała się na dobre pół dnia, a może i na cały.

Idąc do swego baraku, zastanawiał się: powiedzieć o armacie czy nie powiedzieć? Ostatecznie postanowił nic nie mówić, bo jeszcze oskarżą człowieka o zniszczenie mienia wojskowego i dopiero będzie.

— Nigdzie nie byłem, niczego nie widziałem — rzekł do siebie, układając się wygodnie na łóżku. — I niech mnie wszyscy pocałują w dupę.

Po chwili już spał i znów przeżywał igraszki z Jadwigą Musiał, tym razem w świecie odrealnionym, ale pod względem erotycznym całkowicie

zadowalającym.

Gdy Owsikiewicz spał słodko jak nigdy przedtem, kapitan Pocijko podjął jedyną możliwą decyzję. Trzeba wrócić do macierzystej jednostki i natychmiast zameldować o zniknięciu armaty. Po czym kazał kierowcy cisnąć gaz do dechy, bo źle by było, gdyby o zniknięciu tak ważnej części uzbrojenia zameldował wcześniej ktoś inny.

Pocijko dotarł do koszar i chociaż w tym jednym aspekcie dopisało mu szczęście. Poinformował o armacie jako pierwszy. Dowódca jednostki nieco się ociągał z przekazaniem tej wiadomości dalej, ale ostatecznie nadał sprawie bieg, bo doszedł do wniosku, że armata nie igła i ktoś ją wcześniej czy później znajdzie. Wkrótce armaty szukało całe Ludowe Wojsko Polskie.

Tymczasem wiedza o leżącej w rowie armacie docierała do coraz większej liczby osób. Droga była mało uczęszczana, ale jednak do południa przejechało nią z piętnaście osób. Wszystkie zauważyły armatę i obejrzały ją sobie dokładnie. Potem te piętnaście osób opowiadało o armacie na prawo i lewo. Wkrótce o armacie wiedziała cała okolica. Nikt jednak władz o pojawieniu się w rowie sprzętu wojskowego nie informował, bo po co się wychylać. Na dodatek dwaj znajdujący się na miejscowym posterunku milicjanci byli leniwi, od rana do wieczora grali w sześćdziesiąt sześć i tylko poważne mordobicie mogłoby ich od tego interesującego zajęcia oderwać. Na próżno zatem rozgrzewały się do czerwoności telefony, daremnie stukały dalekopisy. Milicja proponowała wojsku, że jeśli dostanie zdjęcie armaty, może rozesłać za nią listy gończe, ale armia ostatecznie się na to nie zdecydowała.

Tu nastąpiła niespodziewana okoliczność. Milicjantom grającym na posterunku w karty skończył się alkohol. Traf chciał, że była to akurat niedziela i sklep położony naprzeciwko kościoła był zamknięty. Trzeba było jechać do sąsiedniej wsi, do niejakiego Kobiałki, który w swojej

chałupie prowadził dystrybucję napojów alkoholowych (państwowych i własnej produkcji) o każdej porze dnia i nocy. Młodszy z milicjantów westchnął, wsiadł na rower i wyruszył w drogę. Jadąc do Kobiątki, nie zauważył armaty, bo bardzo się spieszył, a poza tym jechał prawą stroną, armata zaś spoczywała w rowie po lewej. Z powrotem jechał o wiele wolniej, starając się nie upuścić siatki z butelkami, i armata znalazła się w jego polu widzenia. Z wrażenia puścił siatkę i dwie butelki się stłukły. Milicjant zszedł z roweru i obszedł armatę dookoła. Potem na wszelki wypadek obszedł ją wkoło jeszcze raz. Wreszcie wsiadł na rower i popędził na posterunek, starając się nie potłuc pozostałych butelek. Armata została urzędowo odkryta.

Nie pomogło to jednak w niczym kapitanowi Pocijce, który już dwa dni wcześniej został pozbawiony stanowiska dowódcy batalionu artylerii i właśnie jechał do Warszawy, by się tam zameldować w Studium Wojskowym Uniwersytetu Warszawskiego. Takie to bywają skutki pijaństwa w sioferce i zbyt uporczywej gry w sześćdziesiąt sześć.

Innym słynnym wykładowcą Studium był kapitan Kuzia — wysoki, prosty jak świeca, postawny, wąsaty i nieszczęśliwy. Męczyły go małe pokoiki Studium Wojskowego. Kuzia lubił duże przestrzenie, wielkie place, lotniska i inne tego rodzaju obiekty. Nic dziwnego, były to bowiem czasy, gdy Kuzia był legendą Układu Warszawskiego. Nie z powodu zasług bojowych bynajmniej. Kuzia był najlepszym w bloku (z wyjątkiem ZSRR) dowódcą kompanii honorowej. Czasem, gdy miał dobry humor, prezentował studentom swoje możliwości na niewielkim placu apelowym Studium Wojskowego. Wszyscy patrzyli, jak Kuzia podnosi nogi w marszu na określoną w regulaminie wysokość z dokładnością do pół milimetra i wykonuje zwroty w miejscu, tak że musztra stawała się niemal baletem. Szczególnie pięknie oddawał honory, czyli salutował.

W tym podzielonym na poszczególne fazy niedościgłym w swej precyzji ruchu zawierała się cała istota wojskowości. Szacunek dla przełożonych i dobry przykład dla podwładnych. Dziarskość i rozpierająca każdego prawdziwego żołnierza energia. Widoczna w każdym geście gotowość, by w odpowiedniej chwili paść trupem, na co zresztą każdy, kto wkłada mundur, powinien być przygotowany. Odwaga i poświęcenie.

Zdarzali się studenci, którzy stawali przed lustrem i usiłowali brać przykład z kapitana, ale żaden nawet nie zbliżył się do ideału.

Co zatem sprawiło, że tak wspaniały żołnierz przestał reprezentować PRL podczas różnych ważnych wydarzeń? Niestety to samo, co w wypadku majora Pocijki. Tyle że nie koniak „Napoleon”, ale czysta „Wyborowa”. Jednak ten, kto myśli, że Kuzia był zwykłym wojskowym pijanicą, bardzo się myli. Kariera kapitana została unicestwiona nie przez nałóg, lecz względy zdrowotne.

Zaczęło się od tego, że dowódca kompanii honorowej zaczął odczuwać bóle w krzyżu. Być może z przetrenowania, kto to może wiedzieć. Udał się do lekarza, potem do drugiego, trzeciego, chodził na masaże i naświetlania, ale ból nie ustępował. Owszem, zdarzało się, że mijał na pewien czas, ale tylko w jednym wypadku: jeśli kapitan łyknął jednym haustem setkę „Wyborowej”.

Czy można prowadzić kompanię honorową Ludowego Wojska Polskiego, odczuwając przeszywający ból w krzyżu? W żaden sposób! Kuzia zaczął nosić w kieszeni munduru piersiówkę i gdy podczas powitania bratniego przywódcy samolot z dostojnym gościem ukazywał się na horyzoncie, kapitan oddalał się dyskretnie na bok i wprowadzał do organizmu środek uśmierzający. Samolot lądował, a on znów był dziarski i godny podziwu. Uśmiechał się pod wąsem, a dowodzona przez niego kompania reprezentacyjna niemal płynęła w powietrzu.

Wszystko było dobrze przez kilka miesięcy, aż podczas powitania Leonida Breżniewa Kuzia zauważył, że mimo znieczulenia krzyż zaczyna go nieco pobolewać. Na razie nie było to nic takiego, ale kapitan się zaniepokoił.

Przeczcucia go nie myliły. Ból narastał i już po miesiącu okazało się, że by go uśmierzyć, potrzebne są dwie setki jedna po drugiej.

Kuzia to był chłop jak dąb, nie z takich, co to ich dwie sety kładą pokotem. Więc znowu wzbudzał podziw i uznanie zagranicznych delegacji. Mówiono nawet, że niektórzy przywódcy państw socjalistycznych, nie mając do Polski żadnego interesu, przyjeżdżają z oficjalnymi wizytami tylko po to, żeby sobie obejrzeć Kuzię i jego legendarną kompanię honorową.

Nadszedł jednak dzień, w którym potrzebne były trzy setki. I to już Kuzią wstrząsnęło. Gdy opowiadał o swoim upadku (robił to rzadko i niechętnie), tłumaczył się, że nie chodziło o alkohol. Zaszkodziła mu ryba, którą nieopatrznie zjadł na obiad. Kto wie, może to prawda.

Owego dnia przylatywał do Warszawy pierwszy sekretarz z bratniej Bułgarii, towarzysz Todor Żiwkow. Krążyły o nim plotki, że źle znosi podróże samolotem i podczas lotu dodaje sobie odwagi przy pomocy wymyślnych cocktaili alkoholowych. Mogło to mieć wpływ na dalszy rozwój wydarzeń.

Gdy samolot z towarzyszem Żiwkowem podchodził do lądowania, Kuzia stał na płycie lotniska. Ból krzyża minął jak ręką odjął, więc kapitan uśmiechał się pod wąsem, poruszał energicznie i zadzierzyście, aczkolwiek troszeczkę chwiejnie. Żołnierze zauważyli to natychmiast, ale przedstawiciele władz partyjnych i państwowych oczekujący na dostojnego gościa nie zwrócili na zachowanie kapitana uwagi.

Samolot miękko osiadł na pasie, po czym dotoczył się precyzyjnie do miejsca, gdzie na towarzysza Żiwkova oczekiwał czerwony dywan. Podjechały schody, otworzyły się drzwi w samolocie i bułgarski sekretarz zaczął zstępować na ziemię polską. Rozległy się dźwięki orkiestry dętej Ludowego Wojska Polskiego, a potem towarzysze polscy całowali długo i namolnie towarzyszy bułgarskich, a towarzysze bułgarscy nie pozostawiali im dłużni. Wreszcie nadszedł moment, kiedy towarzysz Żiwkow razem z towarzyszem Gierkiem zbliżyli się do Kuzi z zamiarem przemaszerowania przed frontem kompanii honorowej.

I tu stała się rzecz nienotowana do tej pory w obyczajach dyplomatycznych: kapitan Kuzia zrobił w prawo zwrot, podszedł energicznie do towarzysza Żiwkova, objął go i ucałował serdecznie w oba policzki.

Znieruchomiały na to obie delegacje partyjno-rządowe. Znieruchomiał towarzysz Żiwkow. Ale zaraz (być może na skutek spożytych cocktaili) pochylił się do Kuzi, objął jak brata i ucałował jeszcze serdeczniej. Kapitanowi łza spłynęła na wąs i w odpowiedzi ucałował Żiwkova najserdeczniej jak potrafił. Żiwkow, który być może sądził, że obcałowywanie dowódcy kompanii honorowej to polska tradycja, odpowiedział mu pocałunkiem, którego nie da się z niczym porównać.

Dopiero w tym momencie pierwszy sekretarz KC PZPR, towarzysz Edward Gierek, oderwał towarzysza Żiwkova od kapitana Kuzi i poprowadził go przed kompanią honorową.

Po odjeździe delegacji Kuzię aresztowano, przez dłuższy czas trzymano go w areszcie, a w końcu wzięto pod uwagę wpływ bólu krzyża na karygodną obrazę głowy bratniego państwa i skierowano karnie do Studium Wojskowego.

W nowym miejscu stan zdrowia kapitana wyraźnie się poprawił. Nie katował już organizmu intensywną musztrą i przestał narzekać na ból w krzyżu. Zresztą, nie wiadomo, jak z tym ostatecznie było, bo nieraz robił wrażenie człowieka, który z samego rana strzelił sobie dwie albo trzy szybkie setki.

Kuzia miał psa, owczarka niemieckiego, którego zawsze zabierał ze sobą na zajęcia. Miało to uzasadnienie psychologiczne. Kuzia, który uwielbiał być podziwiany, spostrzegł, że jego dziarskość, sprężystość i wąż nie robią na studentach takiego wrażenia, jak na przywódcach bratnich państw. Młodzież akademicka nie doceniała znaczenia musztry. Niechętnie wykonywała zwroty w prawo, w lewo i w tył. Nie doznawała emocji, słysząc komendę „czwórki twórz”. Maszerowała w sposób niezadowolający i niechlujny. Podczas kroku defiladowego nie waliła w asfalt, jak porządny żołnierz walić powinien, ale jak koza w bęben. Jedyne, co studentom jako tako wychodziło, to marsz w miejscu, ale każdy przecież rozumie, że maszerując w miejscu, daleko się nie zajdzie.

Kuzia próbował na różne sposoby zachęcić inteligentów do musztry. Gonił studentów dookoła płotu Studium Wojskowego, kazał czołgać się przez pełzanie, przymuszał do intensywnego marszu w maskach przeciwigazowych. Wszystko daremnie. Kapitan wieczorami popadał w zwątpienie, z którego ratował się, wypijając trzy setki do telewizora, a potem wychodził na dwór i spacerował wzdłuż bloku krokiem defiladowym, ale i tam nikt go nie podziwiał.

Gdy pojawiłem się w Studium Wojskowym, Kuzia był człowiekiem upadłym, a jego jedynym powodem do chwały był pies — istotnie piękny i niezwykle rasowy. Kuzia nazwał go Czapajew, by uczcić znanego dowódcę Armii Czerwonej, ale ponieważ w instytucjach wojskowych wołanie na psa Czapajew nie było dobrze widziane, w Studium owczarek

występował jako Rex. Zwierzak był inteligentny i jak się zdaje, rozumiał złożoność świata, w którym w zależności od okoliczności raz jest Reksem, a raz Czapajewem. Rozumiał też, że swemu panu jest bliższy jako Czapajew, i gdy usłyszał to imię, pędził do kapitana Kuzi z wielkim entuzjazmem.

Podczas zajęć prowadzonych przez Kuzię na kopcu Pocijki Czapajew popisywał się swoimi umiejętnościami. Siadał, wstawał, służył oraz padał na ziemię, udając psa poległego w boju. Umiał też zajmować swoje miejsce w szeregu, a gdy Kuzia wydał komendę: „Kamandir Wasilij Iwanowicz Czapajew, wystąp!”, Czapajew występował, siadał równiutko metr przed szeregiem i potwierdzał wykonanie rozkazu głośnym i jednoznacznym: „Hau!”.

Przede wszystkim jednak pies Kuzi genialnie aportował. Wystarczyło mu rzucić dowolny przedmiot w najgorsze choćby chaszcze, a Czapajew tak długo walczył z przeciwnościami losu, aż go znalazł i dostarczył swemu panu. Kuzia często wynajdywał miejsca trudno dostępne, by posyłać w nie Czapajewa, a pies nigdy nie zawodził. Kuzia kochał go tak jak wspomnienie o swojej chwalebnej przeszłości, a Czapajew kochał swego kapitana bezgranicznie.

Nieszczęście przydarzyło się jak zwykle przypadkiem. Podczas zajęć na kopcu Kuzia miał nam zaprezentować rzut granatem, ale ponieważ znajdowaliśmy się w środku miasta, gdzie używanie granatów ręcznych było trochę niestosowne, zadowolili się wojskową petardą — dość długą, wypełnioną prochem, tekturową rurą. Przed demonstracją wziął Czapajewa na smycz, potem przydeptał smycz nogą, podpalił lont, rzucił petardę jak mógł najdalej i w tym momencie potknął się, bo teren był nierówny. Smycz wysmyknęła mu się spod nogi i Czapajew popędził za petardą, która trafiła w odległe krzaki. Pies wpadł tam za nią i po chwili pojawił się znowu,

niosąc w pysku petardę, z której zwisał płonący lont. Czapajew wymachując radośnie ogonem, rzucił się w stronę swego pana, a Kuzia widząc to, ruszył pędem w górę, ku szczytowi kopca Pocijki, choć szybciej mógłby biec w dół, ale kto w takich chwilach racjonalnie myśli. Rozpierzchliśmy się na boki. Pies minął nas i widzieliśmy, jak z każdą sekundą zbliża się do kapitana. Jeszcze trzy metry, dwa, jeden. Rozległ się huk, a gdy dym się rozwił, zobaczyliśmy leżących na ziemi kapitana i psa. Potem Kuzia się poruszył i podniósł. Zobaczyliśmy, że ma twarz osmaloną od wybuchu. Pies się nie ruszał. Kapitan wziął go na ręce i zaczął schodzić w dół. Minął nas bez słowa i widzieliśmy, jak idzie wolno w stronę ulicy Czerniakowskiej, niosąc przyjaciela, który zginął, pełniąc swoją powinność. Tego dnia poczuliśmy do Kuzi coś w rodzaju sympatii.

Gdy kończyłem zajęcia w Studium Wojskowym, kapitan Kuzia wciąż tam był, ale ci, co przyszli po nas, zobaczyli już innego człowieka. Przygaszonego, smutnego, zupełnie pozbawionego energii i zadzierzystości. Tylko jedno pozostało mu z dawnych czasów: jak nikt inny potrafił nauczyć studentów marszu w miejscu.

Rozdział 4

Głosy



Pod koniec roku akademickiego oddałem do magazynu Studium Wojskowego mundur oraz znienawidzony, choć ciepły wojskowy płaszcz i zwróciłem się ku rozkoszom życia cywilnego. Jednak Wojskowa Komenda Uzupełnień nie znikła z mego życia. Moja teczką osobową leżała na właściwej półeczce i czekała na stosowny moment. Nadal miałem tę cholerną kategorię „A” i nieraz się zastanawiałem, jak to zmienić, ale choroby, które po latach przyczepiały się do mnie niczym owady do pięknie pachnącego kwiatu, w tamtym czasie uparcie mnie omijały, zapewne nie chcąc psuć szyków ewidencji wojskowej. Nie mogąc się nabawić przypadłości fizycznych, zacząłem myśleć o chorobach psychicznych, które dawały nawet większą nadzieję, że kolejne włożenie munduru zostanie mi oszczędzone.

Jeden z moich przyjaciół, poeta Wiktor Sójka, ukończył właśnie psychologię. Wziąłem pół litra i poszedłem z nim pogadać. Wiktor wysłuchiwał mnie uważnie, a potem rzekł:

- Ale wiesz, że jako wariat będziesz obywatelem drugiej kategorii?
- I tak jestem — stwierdziłem radośnie.
- Nie będziesz mógł obejmować stanowisk kierowniczych.

— Mam zamiar być pisarzem i olewam stanowiska kierownicze.

— Jak komuś podpadniesz, zaraz ci nawymyślają od wariatów.

— A niech tam.

— SB będzie próbowała zrobić z ciebie tajnego współpracownika.

— Nie dam się — powiedziałem z głębokim przekonaniem.

Wiktor Sójka uznał, że traktuję sprawę poważnie. Zamyślił się.

— Dobrze, że przyszedłeś z tym teraz, kiedy jesteś na trzecim roku — rzekł. — Gdybyś był na piątym, nikt by ci nie uwierzył... Generalnie jesteś dość przekonujący: student, poeta, organizator wieczorków literackich, to pasuje do wizerunku chorego umysłowo.

— Tylko żeby to zostało oficjalnie uznane i żeby mi dali na to papiery.

Sójka znów się zamyślił.

— Sądzę, że najlepiej, jeśli będziesz słyszał głosy. To trudno stwierdzić, słyszysz, czy nie słyszysz. Nie ma jak udowodnić, że nie.

— Aha — powiedziałem. — To niegłupie.

— Myślę, że to powinny być głosy trzech osób... Powiedzmy dwa męskie, jeden młodzińczy, a drugi lekko starczy, i jeden kobiecy. Bardzo melodyjny, ale pełen szyderstwa. Chociaż może lepiej by było, gdyby mówiło do ciebie kilka kobiet. Jak tam z twoim członkiem?

— W jakim sensie?

— Duży czy mały?

— Ja wiem... Dziewczyny mówią, że raczej z tych większych. Ale może tylko tak gadają, żeby mi zrobić przyjemność.

— Niedobrze — zafrasował się Wiktor. — Najlepiej by było, gdybyś miał maciupkiego.

— Ja tam jestem zadowolony — stwierdziłem nieco urażonym tonem.

— No właśnie. Nie masz kompleksów ani traumatycznych doświadczeń seksualnych. Gdybyś słyszał kobiece głosy wyśmiewające twojego chujka

i naprawdę miał maciupkiego, stanowiłbyś dość typową jednostkę chorobową. A tak trzeba wymyślić coś innego. Czego ty się właściwie boisz?

— Że jak wracam po nocy do siebie do Falenicy, to dostanę w mordę.

— Tego to się boi każdy normalny człowiek. Nie... to nie to. Wiem... boisz się, że w gruncie rzeczy jesteś grafomanem.

— No co ty?! Wszyscy mówią, że mam talent!

— No właśnie. Kadzą ci, bo organizujesz im te wszystkie wieczorki, a za twoimi plecami...

— Myślisz? — zaniepokoiłem się.

— Daj spokój. — Sójka się roześmiał. — Tworzę ci legendę, w którą musisz uwierzyć na tyle, żeby przekonać do niej lekarzy.

— Jak o tym powiedziałeś, pomyślałem, że w tym może być dużo prawdy. Cholera ich wie, co o mnie mówią za plecami.

— Widzisz? Już załapujesz paranoję. Będziesz przekonujący. Teraz musisz zacząć się zapuszczać.

— Co takiego?

— Od jutra się nie myjesz, nie golisz, nie czesziesz włosów.

— Ale ja w sobotę prowadzę wieczór.

— To nie poprowadzisz. Musisz wyglądać na zapuszczonego i porządnie śmierdzieć.

— Mam tak chodzić na uniwersytet?

— Lepiej nie. Dziewczyny są wrażliwe na zapach i zapamiętają to.

— Cholera.

— Jeśli uda ci się dostać do psychiatryka, to i tak masz co najmniej sześć tygodni z głowy.

— A studia?

— Najwyżej weźmiesz urlop dziekański. Co sobie wyobrażałeś, że wariatem zostaje się za darmo?

— No nie.

— To idź do domu i zapuszczaj się, a ja tymczasem znajdę ci przyjaciela.

— Dziękuję, paru mam.

— Nie o to chodzi. Ktoś cię musi zaprowadzić do psychiatry, bo żaden wariat sam do lekarza nie pójdzie. Ja nie mogę, bo jestem psychologiem. To powinien być ktoś starszy, poważny, o pewnych zdolnościach aktorskich. Rozejrzę się za kimś takim.

Pożegnałem się serdecznie z Wiktorem Sójką i pojechałem do domu się zapuszczać.

Mniej więcej po tygodniu, kiedy mój zapach nawet dla mnie samego stawał się nie do zniesienia, przyszedł Sójka, prowadząc jakiegoś starszawego facia. Wyglądał mniej więcej na czterdziestkę, twarz miał nalaną, oczka małe i cokolwiek rozbiegane, poza tym był jakoś dziwnie odęty. Od pierwszej chwili mi się nie spodobał.

— To jest Eligiusz Guciaba — przedstawił go Wiktor. — Znany poeta.

Jak żyję, o takim nie słyszałem, ale skinąłem głową z szacunkiem, uznając wielkość Guciaby.

— Eligiusz należy do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich.

No — pomyślałem — pewnie ja jestem o wiele za młody na to ich Koło Młodych.

— Złożył właśnie drugi tom wierszy w wydawnictwie.

— To pan wydał tom wierszy? — spytałem przejęty.

— Dwa — rzekł Guciaba. — To znaczy, dwa złożyłem, ale jeszcze nie wydałem. Niedługo złożę trzeci.

— Wiesz, jak to jest — powiedział Wiktor.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

— Eligiusz jest chwilowo bez kasy — kontynuował kolega psycholog.
— Mieli mu wypłacić zaliczkę oraz stypendium, ale nie wypłacają, dranie.
Dlatego za stówę byłby ewentualnie chętny.

— Do czego?

— Żeby pójść z tobą do psychiatrii. Wygląda poważnie, należy do Koła Młodych, to by cię uwiarygodniło. Masz stówę?

— Mam mieć.

— Szybko? — spytał pospiesznie Guciaba, który naprawdę wyglądał na człowieka bez dochodów.

— Lada moment.

Wiktor obszedł mnie dookoła i starannie obwąchał.

— To jeszcze się trochę pozapuszczaj — rzekł. — A potem orły do boju.

Kilka dni później w towarzystwie Guciaby udałem się do poradni zdrowia psychicznego, czy czegoś w tym rodzaju. Poradnię wybrał nam Wiktor, który skądś się dowiedział, że pracuje tam młody i niedoświadczony personel. Siedliśmy na ławeczce w korytarzu i czekaliśmy, aż mnie wezwą. Od czasu do czasu pojawiały się na korytarzu młode, bardzo ładne lekarki i nawet zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniam błędu, ograniczając życie seksualne do kręgów literackich. Jedna z tych medycznych piękności spojrzała na mnie ciekawie, ale w jej wzroku wyczytałem, że widzi we mnie pacjenta, a nie mężczyznę. Guciaba siedział godnie, odęty i milczący. Wziął już ode mnie stówę i pewnie chętnie by sobie poszedł, ale resztki sumienia trzymały go na korytarzu. Wreszcie w głośniku zacharczał głos wzywający mnie do gabinetu. Wstałem i ruszyłem ku swemu przeznaczeniu.

W gabinecie siedziała kobieta w średnim wieku, o wzroku bardzo przenikliwym. Usiadłem na brzeжку krzesła i tępo wpatrzyłem się w długopis leżący na biurku. Na pytania pani doktor odpowiadałem cicho

i niewyraźnie, na wszelkie sposoby okazując, że jestem wycofany. Opowiadałem o trzech głosach, dwóch męskich i jednym kobiecym, które uporczywie mnie prześladowały, wymawiając słowo „grafoman”. Nieco płaczliwie przekonywałem lekarkę, że budzę się z tym słowem i z tym słowem zasypiam, a najgorzej było, gdy prowadząc wieczorek literacki, miałem powiedzieć „dobry wieczór państwu”. Wtedy wszystkie trzy głosy odzywały się chórem i tak głośno, że ich wrzask niemal rozsadzał mi czaszkę. Przestałem prowadzić wieczory, ale głosy nadal mnie prześladowują. Nie mogę jeść, ani spać, na studiach sobie nie radzę i przez cały czas myślę tylko o tym, że jestem grafomanem i nigdy nic ze mnie nie będzie, wszyscy będą mnie wyśmiewali, pogardzali mną i nienawidzili, bo miałem strasznego pecha: urodziłem się jako grafoman i jako grafo- man umrę.

Gdy wytrwale, trzymając się tonacji à la szemrzący strumyk, opowiadałem to wszystko, pani doktor wzięła duży arkusz papieru i zaczęła w nim zapisywać swoje refleksje. Widząc, że tych refleksji przybywa, bardzo się ucieszyłem, bo wyraźnie traktowano mnie w Poradni Zdrowia Psychicznego poważnie.

Wreszcie skończyłem i pielęgniarka wezwała Guciabę. Poeta zachował się wzorowo. Opowiedział, że jestem bardzo obiecującym, zdolnym i niezwykle wrażliwym młodym poetą, któremu on, Guciaba, pomaga stawiać pierwsze kroki. Przez chwilę mówił o tym, jak zbawiennie wpłynął na moją poetykę, a potem przeszedł do opowieści o tym, że od jakiegoś czasu bardzo się martwi moim stanem, bo są pewne objawy (tu wyliczył wszystko, co mu zapisał na kartce Wiktor), które wskazują, że jest ze mną źle. Uporczywie namawiał mnie, żebym poszedł do lekarza, i wreszcie dziś mu się udało. Lekarka zapytała, czy Guciaba jest moim krewnym. Odpowiedział, że nie, ale zastępuje mi rodziców, bo moja mama wyjechała na pół roku za granicę, a ojciec, gdy byłem dzieckiem, rozpląnął się wśród

mgły wielkiego miasta i do tej pory się nie odnalazł. Lekarka wszystko zanotowała, a potem zwróciła się do mnie łagodnie i dobrotliwie:

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do szpitala.

Serce zabiło mi radośnie, ale odpowiedziałem, udając przestrah:

— Muszę?

— Obawiam się, że musisz — powiedziała lekarka. — To co? Podpiszesz zgodę?

— Podpiszę — szepnąłem, patrząc na wiadomy długopis.

— Zawiezie pan kolegę do szpitala? — zwróciła się do Guciaby.

Guciabie nie chciało się nigdzie jechać. Myślał tylko o tym, by przeznaczyć moją stówę na własne cele.

— Nie wiem, czy dam radę — powiedział. — On niby się zgadza, a w gruncie rzeczy bardzo się boi szpitala. Już raz mi uciekł.

Pani doktor chyba właśnie tego się spodziewała, bo powiedziała spokojnie:

— W takim razie wezwiemy karetkę.

Wyszliśmy na korytarz. Ja miałem spokojnie czekać na karetkę, a Guciaba był bogaty i wolny jak ptak.

Karetką przyjechała po jakichś czterdziestu minutach. Do przychodni weszło dwóch barczystych pielęgniarzy. Jeden z nich niósł kaftan bezpieczeństwa. Obejrzelili mnie sobie, ale chyba uznali, że póki co nie wyglądam na furiata, i spokojnie weszli do gabinetu. Wyszli stamtąd po chwili, niosąc moje papiery.

— Idziemy — powiedział ten z kaftanem.

Posłusznie wstałem i ruszyłem w stronę wyjścia. Wzięli mnie między siebie. Zachowywali się przyjacielsko, ale czułem, że jakby co, od razu wpakują mnie w kaftan. Doszliśmy do karetki.

— Położysz się na noszach czy będziesz siedział jak człowiek?

— Położę się — powiedziałem, starając się nie wypaść z roli chorego umysłowo. — I proszę mnie przypiąć pasami, bo bardzo się boję upadku.

Spojrzeli na mnie krzywo, ale przypięli. Jechaliśmy przez miasto. W karetce panowała martwa cisza. No bo i o czym tu mówić.

W szpitalu zaprowadzili mnie przed jakiś gabinet i posadzili na krześle. Był to długi korytarz, na którym stało mnóstwo krzeseł. Na niektórych siedzieli nieruchomi ludzie, patrząc tępo przed siebie. Przyjąłem taką sama pozę. Siedziałem i siedziałem. Co pewien czas na korytarzu pojawiał się rozczochrany człowiek, który pokonywał go drobnymi kroczkami, niespokojnie rozglądając się wokół. Wyglądał jak zakurzona, porzucona przed laty lalka. Nadchodził zawsze z tej samej strony, więc doszedłem do wniosku, że korytarz tworzy koło albo kwadrat, a ów człowiek pokonuje go, nieustannie mając wrażenie, że wciąż idzie naprzód.

Zaczęto wołać na obiad. Osobnicy siedzący na krzesłach wstali i powlekli się w stronę, skąd dobiegał głos. Mnie nikt nie wołał, więc siedziałem nadal. Moja obecność została jednak zauważona, bo na korytarzu pojawiła się pielęgniarka z tacą, na której stał talerz parującej zupy. Zacząłem jeść. Pielęgniarka usiadła naprzeciwko i przyglądała mi się. Nie była ładna, ale miała wielkie, zielone oczy. Potem wstała i bez słowa odeszła, a ja patrzyłem za nią. Miała cudowny, krągły tyłeczek, który przy każdym ruchu uwypuklał się na białym fartuchu.

Skończyłem zupę, odstawiłem tacę i czekałem. Miałem nadzieję, że zielonooka pielęgniarka pojawi się jeszcze raz, ale zamiast niej ukazała się gruba salowa około pięćdziesiątki. Spojrzała na mnie wrogo, zabrała tacę i sobie poszła. Chorzy znów nadeszli, usiedli i znieruchomieli. Po nich nadszedł doktor i zaprosił mnie do gabinetu.

Usiadłem za biurkiem i patrzyłem, jak przegląda moje papiery.

— Głosy? — spytał wreszcie, kładąc orzeczenie lekarskie równiutko na biurku.

Skinąłem głową.

— Trzy?

Potwierdziłem.

— Co mówią?

— Grafoman.

— Tylko to jedno słowo? — zdziwił się.

— Tylko. Ale za to często.

— I to jest powód, żeby się przejmować?

— Owszem. Bo ja, panie doktorze, jestem poetą.

— No tak — powiedział ze współczuciem. — To zajęcie bardzo sprzyja chorobom psychicznym. Mieliśmy tu już poetów, i to niejedną raz.

— Czy to jest uleczalne? — spytałem.

— Poezja? Wątpię. Chociaż podobno niektórym przechodzi.

— Pytałem o te głosy.

— Hmmm... Czy ja wiem... Ludzki mózg jest dla nas nadal tajemnicą. Działamy intuicyjnie, ale mechanizmów nie rozumiemy. Dajemy tabletki. Jednym pomagają, innym nie. Dajemy drugie. Niektórym nie pomagają żadne.

Jak to dobrze, że nie słyszę tych głosów, pomyślałem.

— No nic — podsumował doktor. — Poobserwujemy kolegę poetę, przyjrzymy się, zaordynujemy to i owo...

— Ale nie stracę przez to talentu?

— A na pewno go masz? — Popatrzył mi prosto w oczy.

Zmieszałem się.

— W gruncie rzeczy to nie wiem...

— Czyli nasza sytuacja jest podobna — rzekł doktor. — Obaj nic nie wiemy.

Nacisnął przycisk na biurku.

— A kiedy stąd wyjdę?

— Może nigdy... — Uśmiechnął się. — Żartowałem... Głosy wypowiadające słowo „grafoman” to nie jest powód, żeby spędzić życie w psychiatriku.

Drzwi się otworzyły i weszła zielonooka pielęgniarka.

— Sala numer siedem — powiedział doktor. — Leków na razie nie dajemy. Jutro po obchodzie pani ordynator zdecyduje, co z nim zrobić.

Wstałem i ruszyłem za pielęgniarką. Poszliśmy prosto, potem w prawo, ale niewiele zauważyłem po drodze, bo nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie gapić na jej oszałamiającą pupkę. Czuła to na pewno, ale w żaden sposób nie dała po sobie poznać.

W sali numer siedem stały trzy łóżka. Na dwóch spali odwrócenii do nas plecami mężczyźni: młody i starszy.

— To będzie twoje łóżko — powiedziała pielęgniarka.

Łóżko było starannie posłane. Usiadłem na nim.

— Masz piżamę?

— Nie. Nie spodziewałem się...

— Salowa zaraz ci przyniesie.

Odwróciła się i po chwili najpiękniejszy tyłeczek świata znikł na korytarzu.

A zatem to miało być miejsce, gdzie ostatecznie uwolnię się od munduru. Nie wyglądało najgorzej. Wprawdzie w oknie była krata, ale za nią było widać przyszpitalny park i spacerujące po nim lżejsze przypadki. Park kończył się murem, dalej widać było bloki i słońce wolno zmierzające ku zachodowi.

Starszy, łysy pacjent zaczął chrapać. Podeszedłem do niego i szarpnąłem za ramię. Przestał. Młody przewrócił się na plecy. Spał z błogim uśmiechem. Do sali weszła salowa. Niosła piżamę.

— Zaraz się przebiorę — powiedziałem.

— A gównu. Najpierw pod prysznic.

— Muszę?

— A niby co? Ma nam tu śmierdzieć na cały oddział?

Udając, że robię to bardzo niechętnie, poszedłem pod prysznic. Stałem tam i stałem, zmywając z siebie całe zapuszczenie. Umyłem włosy, ogoliłem się dyżurną golarką, którą przyniosła mi salowa. Przebrany w pachnącą tanim proszkiem szpitalną piżamę wlałem pod kołdrę i zrobiłem to, co cały oddział. Zasnąłem.

Pani ordynator



Następnego dnia obudzono mnie o świcie. Moi sąsiedzi już nie spali. Łysy siedział na łóżku, a młody klęczał przed swoją szafką wpatrzony w nieregularną plamę na ścianie. Usiadłem na łóżku i nie wiedząc, co powinien zrobić w mojej sytuacji człowiek umysłowo chory, zagapiłem się tępo przed siebie. Łysy przyglądał mi się przez pewien czas, a potem spytał ostro i nie- przyjaźnie:

— Gdzie są moje papiery?

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Jakie papiery?

— Jestem tu służbowo, jako przedstawiciel Najwyższej Izby Kontroli — poinformował mnie Łysy. — Przed udaniem się na spoczynek odłożyłem na szafkę teczkę z dokumentami. Teraz jej nie ma.

— Proszę o ciszę — powiedział łagodnie Młody. — Modlę się.

— Przepraszam — powiedziałem, nie chcąc urazić jego uczuć religijnych.

— Domagam się natychmiastowego zwrotu dokumentów pokontrolnych! — oświadczył Łysy. — W przeciwnym wypadku zwrócę się do prokuratury!

— Modłę się! — wrzasnął Młody.

— Dokumenty muszą zostać zwrócone!

— Ale ja nic nie wiem o żadnych dokumentach — powiedziałem szeptem. — Kiedy tu przyszedłem wczoraj wieczorem, żadnej teczki na pana szafce nie było.

W tym momencie drzwi do sali się otworzyły i weszła przez nie kobieta w średnim wieku o regularnych rysach twarzy. Na jej nosie tkwiły delikatne, owalne okulary. Za nią wsunął się młody lekarz, który ze mną wczoraj rozmawiał, jeszcze jeden mężczyzna w fartuchu lekarskim, zielonooka pielęgniarka, a nawet gruba salowa. Łysy na ich widok zerwał się z łóżka.

— Pani ordynator! — zawołał. — Jak pani wie, jestem tu na kontroli z NIK-u. Ukradziono mi ważne dokumenty! To on ukradł! — Palcem wskazywał na mnie.

Pani ordynator spojrzała na niego poważnie.

— Panie Kazimierczak — powiedziała — przecież te dokumenty zginęły panu już trzy dni temu.

— Naprawdę? — zdziwił się Łysy, czyli Kazimierczak.

— To jest zapisane w pańskiej karcie. Tymczasem pan... pan...

— Zabłocki — odpowiedziała pielęgniarka.

— Pan Zabłocki został przyjęty na oddział dopiero wczoraj. Nie mógł więc ukraść pańskich dokumentów.

— No to on! — Kazimierczak wskazał na Młodego, który dalej żarliwie się modlił i na wszelkie sposoby usiłował nie przyjąć naszego istnienia do wiadomości.

— Przecież już to ustaliliśmy. — Pani ordynator się uśmiechnęła. — Jureczek nie mógł ukraść tych dokumentów, bo kiedy one zginęły, był na rozmowie u pani psycholog.

Kazimierczak rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem kogoś, kogo mógłby oskarżyć, ale na razie zrezygnował.

— Panu Kazimierczakowi damy dziś podwójną dawkę — powiedziała pani ordynator. — Jest bardzo pobudzony.

Na wieść o podwójnej dawce inspektor NIK siadł na łóżku i nic nie powiedział. Pani ordynator podeszła do Młodego. Położyła mu rękę na ramieniu.

— Jak dziś się czujesz, Jureczku? — spytała ciepło.

Przerwał modlitwę, ale nie podniósł się z klęczek. Westchnął ciężko.

— Pan Jezus nie chce mi wybaczyć — powiedział.

— Przecież On wszystkim przebacza.

— Ale nie mnie. Boże, jaki ja jestem nieszczęśliwy!

— Jureczkowi też damy podwójną dawkę — powiedziała pani ordynator i lekarz zapisał to w karcie Młodego.

Pani ordynator podeszła do mnie. Lekarz podał jej moją kartę. Pani ordynator czytała, kiwając od czasu do czasu potakująco głową, a potem na mnie spojrzała. Nigdy nie spotkałem nikogo o tak przenikliwym wzroku. Uciekłem z oczami.

— Taaak... — powiedziała pani ordynator. — Na razie damy standardową dawkę. Poobserwujemy.

Myślałem, że pani ordynator mnie o coś zapyta, ale widać mój przypadek jej nie zainteresował. Trudno. Powoli, zgodnie z hierarchią lekarze wyszli z sali. Położyłem się wygodnie na łóżku. Kazimierczak i Jureczek poszli w moje ślady. Milczeliśmy. Tylko Jureczek szeptał słowa modlitwy, przesuując w palcach paciorki różańca. Potem zawołano nas na śniadanie.

Do śniadania dano mi plastikowy kieliszek, na dnie którego leżała duża, biała tabletką. Połknąłem ją i rozejrzałem się po jadalni. Siedzieli tam mężczyźni i kobiety, rozczochrani, w krzywo pozapinanych piżamach.

Robili wrażenie wystraszonych. Nikt z nikim nie rozmawiał. Jeśli ktoś skończył śniadanie, nadal siedział przy stole i patrzył w blat, czekając nie wiadomo na co. Dopilem zbożową kawę z mlekiem i też czekałem. Tak zapatrzyłem się w blat stołu, że nawet nie zauważyłem, kiedy weszła pielęgniarka i powiedziała:

— Proszę do sal. Pan Kazimierczak do zabiegowego na pobranie krwi.

Kazimierczak, który siedział obok mnie, drgnął nerwowo na dźwięk swojego nazwiska i zaczął szukać czegoś na stole.

— Nie widział pan moich dokumentów pokontrolnych? — zapytał.

— Jestem pewien, że przyszedł pan na śniadanie bez dokumentów — powiedziałem uprzejmie.

Spojrzał na mnie przytomniej.

— Ma pan rację, zamknąłem je w kasie pancерnej. — Przez chwilę siedział spokojnie, a potem zapytał: — Co to znowu za badanie krwi? Przecież ja tu jestem na kontroli. Nie chcę, żeby mi pobierano krew.

— Może to tylko pretekst, żeby przekazać panu jakąś informację?

— Informację? — zamyślił się. — Tak, to możliwe. Czuję, że tu dzieje się coś złego. Korupcja, łamanie prawa, może nawet zdrada stanu. Natychmiast idę do gabinetu zabiegowego.

Zerwał się z krzesła i ruszył w stronę wyjścia, ale po chwili zawrócił.

— Proszę zapomnieć o naszej rozmowie — rzekł. — Tajemnica państwowa.

— Oczywiście.

Uspokojony odszedł. Pacjenci wstawali, więc i ja wstałem. Jureczek siedział, nadal patrząc w stół, ale nie przejmowałem się nim. Zrobiłem krok, drugi, trzeci i nagle poczułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Zrobiło mi się słabo, wszystko widziałem jak przez mgłę. Poczułem, że sztywnieją mi mięśnie.

Umieram, pomyślałem.

Nie wpadłem w panikę, bo przecież byłem w szpitalu i wiedziałem, że jeśli upadnę, ktoś się mną zajmie i zrobi wszystko, żeby mnie uratować. Choćby ta zielonooka pielęgniarka. Rozejrzałem się za nią, ale zobaczyłem tylko ludzi w piżamach poruszających się jak na zwolnionym filmie. I ja, nie będąc tego świadom, szedłem wśród nich. Ilość idących zmniejszała się, siadali na stojących pod ścianą krzesłach. W końcu i ja wypatrzyłem wolne krzesło stojące opodal drzwi do kolejnej sali. Opadłem na nie ciężko. Przymknąłem oczy. Świat wokół wirował. Męczyły mnie mdłości. Siedziałem bez ruchu, starając się zapanować nad paniką.

— Wziąłeś to świństwo? — odezwał się jakiś głos z boku.

Otworzyłem oczy. Na sąsiednim krześle siedział mężczyzna na oko trzydziestoparoletni, starannie uczesany, z równo przystrzyżonym wąsikiem. Był w piżamie, więc to pacjent, choć wyglądał raczej na lekarza.

— Mirek — powiedział, wyciągając do mnie rękę.

Z wielkim wysiłkiem uściśnąłem mu dłoń. Pochylił się do mnie.

— Wziąłeś tabletkę?

— Uhm.

— Człowieku, kto tak robi?

— Przecież to lekarstwo.

— Diabła tam lekarstwo — zachnął się Mirek. — Dają nam kopa w mózg, żeby nas porządnie przymuliło i żebyśmy byli grzeczni. To świństwo rozwala w organizmie, co tylko może: serce, wątrobę, żołądek. Żebyś mi tego więcej nie brał.

— Ale pielęgniarka patrzy.

— Bierze się do ust, chowa pod język i obficie popija. Potem idziesz do sracza, wypluwasz i spuszczasz wodę. Proste, nie?

— Proste.

Mirek oparł się wygodnie o sąsiednie krzesło.

— Nie dziwię się ordynatorce, że tak robi — szeptał w stronę mojego ucha. — Tu są same świrusy. W głowie im się posrało. Powinni ich wszystkich... — Znacząco pociągnął dłonią po szyi.

— No co ty?! — zaprotestowałem.

— Tak, wiem... pierdolone prawa człowieka — szepnął Mirek. — Ale to nie są ludzie. To jest nie wiado- mo co.

— A ty jesteś normalny?

— Ja? No pewnie. Za kogo mnie masz? Może chcesz w ryja?

— No to co tu robisz?

Mirek rozejrzał się dyskretnie.

— No wiesz... — szepnął. — Wolę ordynatora od prokuratora.

— Aha.

— Ty mi też wyglądasz na normalnego. Wojo, co?

— No, tak — potwierdziłem i poczułem ulgę. Nawet u czubków znalazł się ktoś, z kim można po ludzku rozmawiać.

Mój organizm powoli się przyzwyczajał do kopa w mózg. Mdłości ustąpiły, mgła przed oczami nieco się uniosła, tylko mięśnie nadal miałem sztywne.

— Przejdziemy się? — spytał Mirek. — Korytarz idzie tu po kwadracie, człowiek się czuje jak na spacerunku.

— Nie wiem, czy dam radę.

— Co masz nie dać? Wszyscy tu łążą na sztywnych łapach.

Z trudem stanąłem na nogi. U innych pacjentów kop też wolno przestawał działać. Wstawali i szli korytarzem. Wszyscy w tym samym kierunku. Wolno, sztywno, dostojnie. My z Mirkiem z nimi. Niektórzy nadal siedzieli. Kazimierczak, któremu pobrano już krew, klęczał na podłodze i szukał czegoś pod rzędem połączonych ze sobą krzeseł. Minął

nas doktor, chwilę później zielonooka pielęgniarka. Patrzyliśmy za nią jak zakłęci.

— Przystawiałem się do niej — powiedział Mirek. — Ale mnie olała.

— Nieprzystępna?

— Cholera ją wie. Podobno dla jednych nie, a dla innych tak. Sama sobie wybiera. Jeśli się rozchodzi o mnie, nie wiem, o co jej biega. Facet jestem mało co gorszy od supermana, a ona nic. Może też tu zwariowała...

Mirek mówił to wszystko obrażonym tonem, ale widać było, że zielonooka dziewczyna śni mu się po nocach. Zresztą chyba wszyscy na tym korytarzu mieli takie sny.

Zawołano nas na obiad. Szczęśliwie nie dostałem kolejnej tabletki, co by mnie pewnie dobiło. I tak to siedząc na krzeselku, to leżąc, dotrwałem do wieczora.

Następne dni były bliźniaczo podobne do dnia pierwszego. Rano dawano mi tabletkę, którą przezornie chowałem pod językiem, zamaszyście popijałem, a potem wypływałem do muszli klozetowej. Żeby nie było widać, iż nielegalnie pozbywam się leku, siadałem jak inni na krzeselku i tępo gapilem się w podłogę. Przeważnie wybierałem miejsce obok kolegi z sali, Jureczka, i Ani, którzy ku zazdrości wszystkich przeżywali szpitalną miłość. Jureczek przez całe życie unikał kobiet, bo uważał, że są nosicielkami grzechu. W podlaskiej wiosce Makoszkówka, gdzie mieszkał, wielu tak myślało. Mimo to pociąg do kobiet był tam powszechny, ludziska grzeszyli ile się dało i odczuwali z tego powodu satysfakcję. Wyrzutów sumienia nie odczuwali. No bo niby z jakiego powodu?

Jureczek przeciwnie: grzechu się bał i dopuścić się go nie miał śmiałości. Nocami za to śniły mu się baby nagie i rozpasane (choć nagiej kobiety w życiu nie widział), które wyprawiały z nim takie harce, że nawet podczas spowiedzi nie pisał słowa na ten temat. Wszystkie sąsiadki gościły

w snach Jureczka, nawet te, które przekroczyły sześćdziesiątkę. Cierpiał nad swoim upadkiem, zamykał się w chałupie, czytał na głos Pismo Święte — nie pomagało. Zdarzało mu się, że zasnął z czołem na Księdze Hioba i z miejsca przychodziły do niego sny wiadomego rodzaju. Brał walerianę i relanium — bez skutku. Jureczek doszedł do wniosku, że musiał czymś obrazić Pana Boga i Stwórcę zesłał na niego karę. Chodził daleko w pola, gdzie nie było wokół żywej duszy, klękał pod ogromną kopułą nieboskłonu i unosząc wzrok, błagał o przebaczenie. Czasem odezwał się jakiś ptak lub wystraszone przez drapieżnika zwierzątko, ale Pan Bóg milczał. Tak jakby usunął Jureczka sprzed swego wszechwidzącego wzroku. Kiedyś modlił się, leżąc krzyżem w obfitej trawie tak długo, że zasnął i przyśniło mu się to samo, co zawsze. Próbował nie spać — nie udało się. Jureczek doszedł do wniosku, że Pan Bóg po prostu go nie lubi. Zrozpaczony grzesznik postanowił, że stanie przed Stwórcą i zda się na jego łaskę: niech go zabije lub uzdrowi. Byle się to wreszcie skończyło.

Była niedziela. Cała Makoszówka zebrała się w kościele i słowem oraz pieśnią chwaliła Pana swego. Wreszcie wszyscy padli na kolana, ksiądz uniósł Hostię i w tym momencie ciężkie kościelne wrota się uchyliły i ukazał się w nich Jureczek goły jak święty turecki. Księdzu dłoń z Hostią opadła na ołtarz, a wierni zerwali się na równe nogi, choć powinni nadal trwać na kolanach. Jureczek szedł prosto do ołtarza i wreszcie niemal u stóp proboszcza padł krzyżem na podłogę. Ksiądz patrzył na niego i nie miał pojęcia, co z Jureczkiem zrobić. Wierni też nie wiedzieli, czy mają go rozszarpać na kawałki, czy uzalić się nad jego upadkiem, jak na prawdziwych chrześcijan przystało.

Jeden kościelny nie stracił przytomności umysłu. Udał się do zakrystii i zadzwonił na milicję i pogotowie ratunkowe.

Ludzie wciąż stali bez ruchu nad leżącym krzyżem Jureczkiem, gdy Makoszówkę wypełniło wycie syren i do kościoła wpadli najpierw milicjanci, a potem lekarz pogotowia w towarzystwie sanitariusza i kierowcy karetki.

— Idźcie, dzieci moje, ofiara skończona! — zawołał na ich widok ksiądz proboszcz, ale nikt nie wyszedł.

Milicjanci i lekarz patrzyli na leżącego krzyżem nagiego Jureczka, a wierni patrzyli na nich. W końcu milicjant pochylił się do lekarza.

— On chyba bardziej podpada pod służbę zdrowia. — orzekł.

Doktor skinął głową na znak, że jest tego samego zdania. Sanitariusz i kierowca wyszli, a po chwili wrócili z noszami. Oderwali Jureczka od posadzki, ułożyli na wznak na noszach i przywiązali pasami.

Ludzie stali i patrzyli na pobladłą twarz Jureczka, na jego umięśnione ramiona, a nade wszystko na jego przyrodzenie, które teraz, gdy leżał na wznak, ukazało się w całej okazałości. I trzeba powiedzieć, że choć to był świrus i kretyn, z tego punktu widzenia prezentował się nader korzystnie i kilka kobiet mimowolnie westchnęło. Sanitariusz i kierowca nieśli Jureczka główną nawą wśród szpaleru sąsiadów i sąsiadek, a on patrzył, jakby chciał ich po swojemu pożegnać i zapamiętać na zawsze. W końcu wepchnęli nosze do karetki, zamknęli za Jureczkiem drzwi, lekarz usiadł obok kierowcy i karetka ruszyła w stronę Białegostoku. W ślad za nią odjechał radiowóz.

W białostockim szpitalu uznano Jureczka za ciekawy przypadek i tamtejszy ordynator poświęcił mu artykuł naukowy. Wiele osób go czytało, także psychiatrzy warszawscy, i ostatecznie Jureczka przeniesiono do stolicy.

Pobyt w szpitalu dobrze wpłynął na jego zdrowie. Wieczorem, po kolacji, dostawał podwójnego kopa w mózg i nic mu się nie śniło. Zapadał się

w czarną dziurę i tyle. Rano do śniadania dostawał pojedynczego kopa, dzięki czemu siedział nieruchomo na krzeselku i widok chorych psychicznie kobiet nie wywoływał u niego niezdrowej ekscytacji. Poza trzema kopami dziennie lekarze niewiele mogli Jureczkowi pomóc. Ale ponieważ medycyna, jak wiadomo, stale się rozwija, trzymano go w szpitalu. Zresztą w tym stanie, nawet zaopatrzony w spory zapas tabletek, wrócić do Makoszówki nie mógł.

Ania była to dziewczyna wiotka, delikatna i bardzo depresyjna. Od kiedy pamiętała, bała się świata i każdy człowiek wywoływał w niej niepokój. Ale nie Jureczek. Gdy siedziała obok niego i trzymała go za rękę, czuła się całkowicie bezpieczna. Jureczek początkowo protestował, wyrывał rękę, próbował uciekać, lecz Ania zawsze go odnalazła i wsunęła swoją drobną, dziewczęcą dłoń w jego twardą, przyzwyczajoną do ciężkiej roboty chłopską łapę. Z czasem Jureczek polubił siedzenie na krzeselku i trzymanie dłoni Ani w swojej. Zaczęli się nawet całować: on ją całował w czoło, a ona jego w policzek. Nie wyglądało na to, żeby mieli się posunąć dalej, ale i tak cały oddział im zazdrościł.

Mirka strasznie wkurzała ich miłość. Chodził tam i z powrotem po korytarzu i uparczywie szukał miłości czy czegoś w tym rodzaju. Jednak mój mało co gorszy od supermana koleżka był zbyt namolny, a dziewczyny psychiatryczne zbyt wrażliwe, by mógł odnieść sukces. Proponował, żebym mu towarzyszył, ale choć byłem w owym czasie bardzo zainteresowany paniami, nie szukałem przygód, bo nie wiedziałem, czy nie przeszkodzi mi to w ostatecznym i nieodwołalnym uznaniu za wariata. Wolałem siedzieć i gapić się na Anię i Jureczka. Wielu chorych gapiło się wraz ze mną i twierdziło, że to działa bardzo uspokajająco.

Rozdział 6

Pszczołka Maja



Kazimierczak okazał się kompletnym świrem. Pewnego dnia zaciągnął mnie do toalety na końcu korytarza, trzy razy wyglądał przez uchylone drzwi, czy ktoś nie nadchodzi, a potem rzekł:

— Wczoraj zdarzyło mi się coś niesłychanego. Kiedy po zakończeniu czynności służbowych związanych z kontrolą tej placówki szedłem do domu, zastałem drzwi zamknięte. Kilkakrotnie szarpałem za klamkę, ale nie ustępowały. W tej sytuacji odnalazłem znajdujący się na framudze dzwonek i wielokrotnie go nacisnąłem. W odpowiedzi pojawiła się pielęgniarka, którą, jak mi się zdaje, widziałem już podczas czynności kontrolnych. Zażądałem natychmiastowego otwarcia drzwi. Na to przedstawicielka niższego personelu medycznego zapytała z widoczną, a niczym nieuzasadnioną ironią, gdzie zamierzam się udać. Odpowiedziałem bardzo spokojnie, że do miejsca zamieszkania. Na to ta bezczelna osoba spytała, czy zdaję sobie sprawę, że jestem w pizamie. Pytanie było absurdalne, ponieważ jest oczywiste, że jako urzędnik Najwyższej Izby Kontroli nie mogę sprawować czynności urzędowych w pizamie. Tak też odpowiedziałem tej niedużej, ale bardzo grubiańskiej osobie. W odpowiedzi oświadczyła, że najlepiej będzie, jeśli sam to sprawdzę, i wskazała mi

znajdujące się opodal lustro. Była to kpina w żywe oczy, ale postanowiłem, że nie poddam się jej impertynencjom i pójdę do tego lustra, co też uczyniłem. Czy pan uwierzy, że ku mojemu przerażeniu ujrzałem, że mam na sobie piżamę w paski, między nami mówiąc, podłego gatunku.

— Teraz też pan ma na sobie piżamę w paski — wtrąciłem.

— To ta sama — stwierdził Kazimierczak. — Ponieważ wiadomy bezczelny personel stanowczo odmówił mi otwarcia drzwi, a wyższe władze w osobie pani ordynator udały się już do domu, postanowiłem, że spędzę tu noc, a rano odnajdę mój garnitur. Jest w prążki, może pan gdzieś taki zauważył?

— Niestety nie.

— Tego się właśnie spodziewałem. Skradziono go albo ukryto przede mną. Przespawszy noc, wstałem rano i zacząłem szukać mojego garnituru i teczki z dokumentami, ale nigdzie nie mogłem znaleźć ani jednego, ani drugiego. Doczekałem do obchodu, po czym zwróciłem uwagę pani ordynator na to, kim jestem, oraz że prowadzę tu działania kontrolne. Odpowiedziała, że jest o tym poinformowana i mogę spokojnie prowadzić moją kontrolę dalej, nikt w żaden sposób nie będzie mi czynił przeszkód. Zwróciłem jej uwagę, że bez mojej wiedzy i zgody ktoś przebrał mnie w piżamę w paski, i zażądałem zwrotu garnituru w prążki i teczki z dokumentami. Pani ordynator powiedziała, że piżama jest w tym wypadku bardzo korzystna, bo dzięki niej będę mógł przeprowadzić kontrolę incognito. W tym momencie, ku memu niebotycznemu zdumieniu, pojąłem, że nie tylko ta mała bezczelna pielęgniarka, ale także pani ordynator i reszta personelu została wciągnięta w spisek przeciwko mnie. Podniesionym głosem poinformowałem, że czynności kontrolne zostały zakończone i obecnie mam zamiar udać się do Najwyższej Izby Kontroli, by sporządzić pokontrolny raport. Niech pan sobie wyobrazi, że pani

ordynator oświadczyła, iż jej zdaniem kontrola bynajmniej nie jest zakończona, a mój protokół wymaga uzupełnień. Jakim prawem, pytam pana, podrzędna placówka medyczna ma czelność wypowiadać się na temat pracy Najwyższej Izby Kontroli? Ale przejrzałem ich grę. Ponieważ mój raport jest dla nich miażdżący (musieli mi go wykraść i przeczytać), postanowili mnie uwięzić i tym samym uniemożliwić wnioskowi pokontrolnemu dotarcie na biurko ministra zdrowia.

— Sądzi pan?

— Po cóż innego robiliby to wszystko? Powiedziałem im to zresztą i zagroziłem, że jeśli natychmiast nie odzyskam garnituru i dokumentów, zaostrzę mój raport i zachęcę towarzysza ministra do wyciągnięcia ostatecznych wniosków. Powinni zrozumieć, że to nie przelewki. Próbowali się wykręcać, że mój garnitur jest w magazynie, skąd na skutek choroby personelu pomocniczego trudno go będzie wydostać. Widząc te niekończące się kłamstwa, rzuciłem się na panią ordynator, chcąc odebrać jej klucze i w ten sposób wydostać się z pułapki, ale oni byli szybsi. Pielęgniarka chwyciła mnie za rękę, unieruchomiła ją, a ta żmijka pielęgniarka zrobiła mi zastrzyk. Zakręciło mi się w głowie, w jednej sekundzie osłabłem, a gdy się obudziłem, czy pan to sobie może wyobrazić, byłem przywiązany do łóżka szerokimi skórzanymi pasami.

To, co opowiadał Kazimierczak, nie było dla mnie żadną nowością, byłem przy tym i widziałem, że sytuacja wyglądała cokolwiek inaczej. Nie miałem jednak zamiaru spierać się z inspektorem, który znów wyjrzał trzy razy przez uchylone drzwi i mówił dalej.

— Szukając mojego garnituru i dokumentów, zauważyłem, że tu się dzieje coś bardzo złego. Policzyłem pacjentów: jest ich o dwóch mniej niż w dniu, kiedy rozpocząłem moją kontrolę.

— Może po prostu poszli do domu?

— Stąd nikt nie wychodzi, przekonałem się o tym na własnej skórze. Ich... — ściszył głos. — Ich po prostu zlikwidowano.

— Dlaczego mieliby ich likwidować?

— Nie wiem. — Kazimierczak kręcił się nerwowo. — Podejrzewam, że wszyscy jesteśmy przeznaczeni do likwidacji. Musimy się ratować.

— Ale jak?

— Musimy zorganizować bunt. Niestety, bez pomocy z zewnątrz to się nie uda. Postanowiłem napisać list.

— Do kogo?

— Oczywiście do Najwyższej Izby Kontroli. Kochany panie, tu do pana przychodzi taki pana kolega. Niech mu pan da ten list, a on niech go wyśle do NIK-u. To jedyna nadzieja.

Istotnie, dwa dni wcześniej wpadł do mnie Wiktor Sójka i przyniósł mi pierwszy tom *W poszukiwaniu straconego czasu*. Uznałem to za chamstwo z jego strony.

— Nie wiem, czy jeszcze przyjdzie — powiedziałem.

— Musi przyjść. Inaczej wszystko stracone. Niech pan weźmie ten list.

Wziąłem. Wiktor zajrzał do mnie tego samego popołudnia. Przyniósł drugi tom. Zabrał list i wysłał go do Najwyższej Izby Kontroli. Jako świeżo upieczony psycholog nie mógł zawieść zaufania psychicznie chorego.

Kazimierczak czekał na odpowiedź i codziennie mnie wypytywał, czy Wiktor jest na pewno człowiekiem godnym zaufania i czy nie jest z kimś w zмовie. Codziennie kilkanaście razy dawałem mu na to słowo honoru, ale ponieważ czas mijał i nikt z Najwyższej Izby Kontroli nie przybywał Kazimierczakowi na pomoc, kontroler coraz mniej mi wierzył, a w końcu zaczął mnie wprost unikać. Doszło do mnie, że rozpowiada na prawo i lewo, że ja i Wiktor Sójka jesteśmy tajnymi agentami pani ordynator.

Zbliżało się ważne w PRL-u święto 1 Maja i pani ordynator poleciła mnie i Mirkowi przygotować gazetkę ścienną na ten temat. Jako poeta miałem ująć rzecz słowem, a Mirek, który wyróżnił się podczas zajęć plastycznych, miał memu słowu nadać wyraz wizualny. Zabraliśmy się do dzieła.

— To jest jak nic pułapka — twierdził Mirek. — Jak zrobimy normalną gazetkę, to będzie oznaczało, że jesteśmy normalni.

Miał rację. Wszyscy aż nadto dobrze wiedzieli, czego władza z okazji pierwszomajowego święta oczekuje od normalnych obywateli. Ale czego może oczekiwać od wariatów? Diabli wiedzą. Chyba nie tego, żeby znormalnieli? Chociaż właściwie czemu nie. Można by napisać entuzjastyczne artykuły o schizofrenikach, którym z okazji 1 Maja przeszły wszelkie objawy, psychopatach, co patrząc na transmisję z pochodu w telewizji, zaczęli odczuwać empatię i tak dalej. Nie takie rzeczy pisano w tamtych czasach. Co powinniśmy uczynić, Mirek i ja, ludzie zupełnie normalni, którzy aspirowali do członkostwa w elitarnej grupie obywateli niespełna rozumu?

Łaziliśmy ze dwa dni, a trzeciego przyszedł mi do głowy genialny pomysł. U góry gazetki będzie wyobrażona wielka cyfra „1” oraz bohaterka popularnego serialu dla dzieci *Pszczółka Maja*. Poniżej będzie artykuł redakcyjny omawiający zalety pierwszej pszczółki Mai, po której (taką miałem wyrazić nadzieję) nadejdą następne.

Mirek błyskawicznie poradził sobie ze swoją robotą. Wysmarował Maję wielką na pół arkusza, pogodną, zadowoloną z siebie, budzącą powszechne zaufanie. Patrzyłem na niego z podziwem. Skąd u kryminalisty taki talent plastyczny? Teraz przyszła moja kolej. Pobrałem z pracowni plastycznej kilka kartek papieru podaniowego i pogrążyłem się w wysiłku twórczym.

Wszystko mi przeszkadzało. Ledwie złapałem myśl przewodnią, zawołano nas na kolację. Potem pan Stasio z końca korytarza przyszedł mi donieść, że Kazimierczak twierdzi, iż spisek przeciwko niemu zawiązali pani ordynator, pan doktor, zielonooka pielęgniarka, ja, Wiktor Sójka, Mirek, Jureczek i Ania. Pan Stasio bardzo się bał, że i on zostanie uznany za spiskowca, i błagał mnie na wszystkie świętości, bym w razie czego zaświadczył, że on do żadnego spisku nie należy. Przeniosłem się z moim papierem podaniowym do stołówki i usiłowałem się skupić, ale tłum chorych łąził po korytarzu tam i z powrotem, sapał, szurał, smarkał, kaszłał, mamrotał, pukał do drzwi, słowem robił wszystko, co mógł, żeby nie dać mi się skupić. Postanowiłem poczekać, aż wszyscy pójda wreszcie spać, i wtedy zabrać się do roboty, ale oni, choć zaganiani do łóżek, snuli się dalej. Minęła dobra godzina, nim zasnęli i na oddziale zapanowała cisza. Siedziałem, rozkoszując się nią przez dłuższy czas, a potem napisałem pierwsze zdanie: „Towarzyszka Pszczółka Maja już dwa lata temu zwróciła na siebie uwagę klasy robotniczej i innych postępowych sił społeczeństwa”. Tu utknąłem i zagapiłem się w ciemność, która już dawno zapadła za kratą szpitalnego okna. Po namyśle dodałem drugie zdanie: „Nie tylko zresztą klasy robotniczej, ale także mas chłopskich oraz inteligencji pracującej”. I tak, bardzo, bardzo powoli, zdanie po zdaniu powstawał mój hagiograficzny artykuł o towarzysze Pszczółce Mai. Nie odczuwałem upływu czasu i zdziwiłem się, gdy wiszący na ścianie korytarza zegar wybił północ. Uczciłem to zdaniem: „Towarzyszka Pszczółka Maja jest uosobieniem zasad socjalistycznego współżycia, szczególnie na odcinku stosunków z trutniem Guciem”. Siedziałem, patrząc z dumą na to zdanie, gdy za moimi plecami usłyszałem czyjeś lekkie kroki, a potem kobiecy głos zapytał:

— Co robisz?

To była zielonooka pielęgniarka. Stała tuż za mną. Czułem na ramieniu dotyk jej drobnej, dziewczęcej piersi.

— Piszę artykuł o towarzyszcze Pszczółce Mai — powiedziałem.

Usiadła obok mnie.

— Pokaż.

Przesunąłem w jej stronę arkusz papieru podaniowego. Czytała przez dłuższą chwilę, a potem przesunęła papier podaniowy w moją stronę.

— A ja nie mogę zasnąć — powiedziała.

— Dlaczego? Taki ktoś jak siostra powinien zasypiać bez najmniejszego problemu i mieć piękne sny.

— Basia.

— Dlaczego nie możesz zasnąć, Basiu?

— Bez przerwy myślę. Kłębi mi się w głowie. Myślę i myślę.

— O czym?

— Nie wiem. O wszystkim. Napijesz się herbaty?

— Uhm.

Wstała, a ja w ślad za nią. Papier podaniowy ze szkicem artykułu pozostał na stole.

Poszliśmy do małego pokoiku ukrytego za dyżurką pielęgniarek. Stał tam stolik, trzy krzesła i wąskie szpitalne łóżko-nosze. Na stoliku stał wielki blaszany kubek, w którym była zanurzona grzałka. Obok stały dwa nieco poobtłukiwane kubki pochodzące z tutejszej stołówki.

— Usiądź tu, na łóżku — powiedziała.

Przysiadłem na brzeжку łóżka i gapiłem się na Basię, która dołała wody do blaszanego kubka i włączyła grzałkę.

— Podobam ci się? — spytała, nie odwracając głowy.

— Bardzo — przyznałem. — Jesteś najpiękniejsza na świecie, Basiu.

Woda w kubku zaczęła bulgotać.

— Nie mogę tego zrozumieć — powiedziała, wsypując łyżeczkę herbaty do szpitalnego kubka. — Kiedy jestem tam, na zewnątrz, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Uśmiecham się do każdego faceta, ubieram się tak, że ślepy zwróciłby na mnie uwagę, wypinam jak mogę tyłek, wiem, że faceci się na niego gapią, i nic. A potem przychodzę tutaj i wszyscy gapią się na mnie jak na ósmy cud świata. Jak to możliwe?

— Bo oni tam na zewnątrz są bezdusznymi kretynami — powiedziałem. — A my, wariaci, jesteśmy wrażliwi i umiemy dostrzec prawdziwe piękno.

Basia podeszła do mnie i stanęła bardzo blisko. Objąłem ją i poczułem pod palcami jej cudownie krągłe pośladki. Przytuliłem głowę do jej piersi, a ona objęła mnie ramionami i przytuliła do siebie. Trwaliśmy nieruchomo. A potem powoli, powolutku wsunąłem dłonie pod jej spódniczkę i poczułem cudowne, delikatne, a równocześnie twarde uda. Posuwałem się wolniutko w górę, aż dotarłem do majteczek i jeszcze mocnej wtuliłem się w Basię. Nie protestowała, nadal trzymała moją głowę w objęciach, a potem poczułem pocałunek, gdzieś we włosy, i to mnie ośmieliło. Delikatnie zacząłem zsuwać majteczki. Basia mruczała cicho, szeptała jakieś słowa, których nie rozumiałem. Zsunąłem majteczki do końca, pieściłem jej pośladki, a potem nie wiadomo kiedy znaleźliśmy się obok siebie na wąskim łóżku-noszach, na którym było za mało miejsca na dwie osoby, więc ułożyłem się na Basi. Całowaliśmy się, ona znów objęła mnie ramionami, a ja zsunąłem spodnie od pizamy i zacząłem jej szukać pod fartuszkim, pod spódniczką, aż w końcu znalazłem.

— Delikatnie... — szepnęła Basia. — Powolutku.

Wolno, jak najwolniej wsuwałem się w nią. Basia westchnęła, poruszyła się.

— Powolutku... powolusieńku...

Trudno mi było się powstrzymać, ale poruszałem się jak najwolniej, a ona delikatnie, niezauważalnie przesuwiała się pode mną. Wreszcie złapałem ten rytm, o który jej chodziło. Basia miała zamknięte oczy, jej twarz była spokojna, nie widać było namiętności, oddychała tylko nieco głośniejsz, nic nie mówiła. Zrozumiałem, że jest teraz nieskończenie ode mnie daleka, przeżywa to sama ze sobą i nikt do świata zamkniętego w tak pięknym ciele nie ma dostępu. Potem nagle napięła się cała i cichutko jęknęła. Poczułem, że nie wytrzymam ani chwili dłużej, uciekłem trochę zbyt pośpiesznie. Leżeliśmy nieruchomo, ledwie mieszcząc się na noszach. Basia nadal miała zamknięte oczy, oddychała równo, głęboko. Kiedy zasnęła? Jeszcze w trakcie czy sekundę po? Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło. Wstałem, starając się jej nie obudzić, i najciszej jak umiałem poleciałem korytarzem pod prysznic. Woda była przerażająco zimna, ale nie zwracałem na to uwagi.

— Boże! — zawołałem. — Dziękuję, że pozwoliłeś mi przeżyć taką chwilę! Jesteś wielki!

Wróciłem do stołówki i ogarnięty natchnieniem napisałem do końca tekst o Pszczółce Mai. Wszyscy pacjenci uznali, że jest genialny.

Następnego dnia Basia miała wolne. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Dopiero wieczorem Mirek wyciągnął mnie do kibla na końcu korytarza. Z szerokiej nogawki piżamy wydobył sprytnie tam przywiązaną ćwiartkę.

— Pij! — powiedział. — Pij, bo jest za co.

— A co się stało?

Pogrążony w marzeniach o Basi zacząłem podejrzewać, że może spędził z nią resztę tamtej nocy.

— Wezwała mnie pani ordynator — rzekł Mirek. — Jestem świrem, kolego. To urzędowo stwierdzone.

— Naprawdę? — ucieszyłem się.

— Szykują dla mnie papiery. Teraz mogą mnie wszyscy prokuratorzy pocałować w dupę!

Piliśmy, pociągając na zmianę z butelki.

— Posiedzę tu trochę — entuzjazmował się Mirek — a potem wrócę do siebie na dzielnicę. Mówię ci, nie będzie ani jednej mordy, której nie obję.

— Głupi jesteś. Przecież wtedy przywiozą cię tu z powrotem.

— A czy tu jest źle? — Wziął ode mnie butelkę i opróżnił ją do końca. — Jeść dają. Wódencję zawsze człowiekowi jakiś życzliwy przyniesie... Kobotki są pod ręką... Dziś przywieźli taką jedną do ósemki. Ładna jak cholera, mówię ci, od pierwszej chwili zaczęła robić do mnie słodkie oczy.

— One wszystkie są chore umysłowo.

— Że niby wariatki? A tamte na zewnątrz to nie wariatki? Ja, bracie, nigdy kobiet nie rozumiałem i nigdy ich nie zrozumieć. One są z innej planety niż ja. Ale mimo to się lubimy.

Widać już wcześniej coś wypił, bo wpadł w nastrój euforyczny. Przyszłość jawiła mu się w jasnych barwach: pobyty w szpitalu przeplatane solidnym mordobiciem na dzielnicy. Nic więcej do szczęścia nie było mu potrzebne.

Następnego dnia był 1 Maja. Odsłonięto naszą gazetkę ścienną, a wszyscy ją czytali i oglądali. Co i raz ktoś do mnie przychodził i gratulował, ale nie obchodziło mnie to. Jak piesek łąziłem za Basią, która była wypoczęta, wesoła i jeszcze ładniejsza niż zwykle. Zachodziłem ją to z prawa, to z lewa i zaglądałem w oczy. Nie zwracała na mnie uwagi. Myślałem, że się tak tylko maskuje, czekałem na jakiś gest, uśmiech, cokolwiek, ale tratowała mnie, jakby nic między nami nie zaszło. W końcu lekarze poszli do domu, poczekałem, aż na korytarzu zrobi się pusto, i jak burza wpadłem do pokoju pielęgniarek. Basia siedziała na krześle i czytała „Przyjaciółkę”.

— Basiu! — zawołałem.

Spojrzała na mnie obojętnie.

— O co chodzi, Pawełku?

— Basiu, spójrz na mnie!

— Właśnie patrzę. Strasznie jesteś nakręcony. Dam ci tabletkę, co?

Zrozumiałem. Tamta chwila już się nie powtórzy. Chciała usnąć w czyichś ramionach, a ja przypadkiem siedziałem w stołówce, pisząc o tej idiotycznej Pszczółce Mai. Chciałem jej powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczy, jak bardzo ją kocham, że nie chcę żadnej innej, że nie chodzi o tę jedną noc, lecz o tysiące nocy i dni, że chcę się przy niej zestarzeć, zbudować dla niej dom, mieć z nią dzieci, same dziewczynki, wszystkie takie jak ona, że — choć za wcześnie o tym mówić — chcę być obok niej pochowany w cichej alejce pod wielkim wyrastającym z nas drzewem. Ale nim otworzyłem usta, Basia podeszła do szafy z lekarstwami, wyjęła z niej kopa w mózg i położyła mi go na dłoni. Ściskając tabletkę, wyszedłem z dyżurki, powlokłem się do stojącego w kącie stołówki kotła z kawą zbożową i łyknąłem to świństwo, bo w tym momencie chciałem umrzeć albo przynajmniej przestać myśleć.

Dwa dni później wezwała mnie pani ordynator. Siadłem na krzeselku naprzeciwko niej i patrzyłem, jak przekłada moje papiery. Sporo tego wysmażyli. Usiłowałem zajrzeć, co tam jest napisane, ale mój lekarz prowadzący pisał tak chaotycznie, że było to nie do odczytania. W końcu pani ordynator oderwała się od mojej karty i spojrzała na mnie zza okularów.

— Jutro po obchodzie dostanie pan wypis — powiedziała.

— Już jutro? — zdziwiłem się. — To znaczy... bardzo się cieszę.

— Obserwacja wykazała, że jest pan normalny. Powiedziałabym nawet: bardzo normalny.

— Ja?

— Oczywiście. Usiłował pan symulować... ale niezbyt udolnie. A już ten pomysł z Pszczółką Mają ostatecznie odsłonił pana profil psychiatryczny.

— Nie bardzo rozumiem...

Pani ordynator się uśmiechnęła.

— To był pomysł całkowicie racjonalny. Chory psychicznie nigdy by na to nie wpadł.

— Ale to był pomysł Mirka! — zawołałem rozpaczliwie. — A to przecież psychol!

Pani ordynator znów się uśmiechnęła, tym razem z politowaniem.

— Nawet jeśli pan Mirek to wymyślił, pan to zaakceptował. A pan Mirek jest istotnie chory... ale nie z tego powodu.

To mnie zaskoczyło. Przez cały czas byłem pewien, że Mirek jest normalny.

— Nie wiem, z jakiego powodu pan symulował, panie Pawle, i nie obchodzi mnie to. Jest pan człowiekiem bardzo inteligentnym i na pewno miał pan powód. Zresztą domyślałam się, ale to nie moja rzecz. Mam się wypowiedzieć jedynie w kwestii pańskiego zdrowia psychicznego. Orzeczenie jest jednoznaczne. Jest pan zdrowy.

Wstałem i bez słowa wyszedłem z gabinetu. Wszystko przepadło. Już nigdy nie uwolnię się od przeklętej kategorii „A”. Uciec za granicę? Nie puszczą. Ukrywać się? Ale gdzie? Ania, u której się kiedyś schroniłem, wyjechała. Innej mety nie miałem.

W nocy nie mogłem usnąć. Przewracałem się z boku na bok, aż nad ranem doszedłem do wniosku, że trudno, będę się cieszył życiem ile się da, a potem co będzie, to będzie. O świcie zdrzemnąłem się nieco, ale o szóstej obudził mnie Kazimierczak, który pytał, czy to prawda, że wychodzę, i czy nie wziąłbym listu do Najwyższej Izby Kontroli. Powiedziałem, że wezmę

i wysłę z pierwszej napotkanej poczty. Kazimierczak poszedł pisać list, a ja na śniadanie.

Mirek mnie pocieszał, że mam jeszcze trochę czasu i to nic, że teraz jestem normalny, bo każdy ma prawo ześwirować, żyjąc w Polsce Ludowej. Potem Basia zaprowadziła mnie do depozytu po ubranie. Szedłem za nią posłusznie jak piesek. Milczeliśmy. W depozycie już na mnie czekali, przebrałem się, oddałem piżamę. Basia miała na tym korytarzu jeszcze coś do załatwienia.

— Trafisz z powrotem na oddział? — spytała.

— Oczywiście — powiedziałem i nieśmiało wyciągnąłem w jej stronę rękę.

— Do widzenia, Basiu.

Podawała mi swoją. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

— Do widzenia, Pawełku.

Powiedziała to tak ciepło, że nagle wstąpiła we mnie nadzieja.

— A może...

Pokręciła przecząco głową. Odwróciła się i odeszła, cudownie kołysząc biodrami.

Gdy dotarłem na oddział, wypis już na mnie czekał. Uścisnąłem grabę Mirkowi, wziąłem od Kazimierczaka list i skinąłem głową Jureczkowi, który siedział zamyślony na korytarzu ze swoją dziewczyną i jak zwykle trzymali się za ręce. Gdy gruba salowa otworzyła mi drzwi, zbiegłem po schodach i znalazłem się na ulicy. Dotarłem do poczty, wysłałem list, a potem pobiegłem radośnie ku pełnemu wrażeń życiu, chcąc się nachapać jak najwięcej. Wojskowa Komenda Uzupełnień nie przypominała mi o swoim istnieniu. Czekala cierpliwie na swój czas. I doczekala się.

WROCLAW

Posłusznie melduję, że jestem



Informacja na wezwaniu była jasna. Miałem się stawić trzeciego stycznia, o godzinie ósmej rano w Państwowej Wyższej Szkole Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Ponieważ należało pożegnać się z przyjaciółmi, od świąt Bożego Narodzenia znajdowałem się w stanie upojenia alkoholowego. Po indywidualnych pożegnaniach doszło do pożegnania zbiorowego w sylwestra, które kontynuowaliśmy w Nowy Rok, a drugiego stycznia obudziłem się w nieznanym mi lokalu przytulony do dziewczyny, co do której mógłbym przysiąc, że ją widzę pierwszy raz na oczy. Wstałem i z trudem odnalazłem kuchnię, gdzie spotkałem kilka nieznanymi osób. Byli to osobnicy życzliwi, usadzili mnie przy stole, wcisnęli mi w dłoń butelkę piwa, które powoli spożywałem, i z każdą chwilą odczuwałem coraz większą ulgę. W tym czasie pojawiały się kolejne nieznanne osoby, aż w końcu ukazał się Wiktor Sójka, co w jakiś sposób tłumaczyło moją obecność w tym lokalu. Wiktor był rozczochrany, miał podbite oko, rozkwaszony nos, ale uśmiechał się radośnie.

— Znalazłem kobietę mojego życia — powiedział, siadając obok mnie z butelką piwa.

— Tutaj?

— Życie bywa niekiedy zaskakujące — rzekł Wiktor, unosząc butelkę do ust.

— A gdzie ona teraz jest?

— Śpi.

Postępowanie Wiktora wydało mi się cokolwiek niefrasobliwe.

— Na pewno sama?

— Nie jestem idiotą. Zostawiłem z nią Guciabę. Pilnuje jej. Obiecałem mu, że napiszę recenzję z jego tomiku, jak się już ukáže.

— A Guciaba nie... no wiesz...

Popatrzył na mnie jak na idiotę.

— Nie zauważyłeś? On jest inna orientacja.

— Aha. To co innego.

Przez chwilę piliśmy w milczeniu.

— Ty chyba jedziesz dzisiaj nocnym do Wrocławia? — rzekł wreszcie mój przyjaciel.

— Ano jadę.

— A masz jeszcze ten bilet?

To była interesująca kwestia. Przy sobie żadnych dokumentów nie miałem. Mogły być ewentualnie w mojej kurtce, ale gdzie ta kurtka? Dopiliśmy piwo i poszliśmy jej szukać.

W pokoju, gdzie słodko uśmiechnięta spała dziewczyna, którą przytulałem przez sen, była tylko jej kurtka. Ruszyliśmy do innych pokoi, skąd usiłowano nas przepędzić, bo przeszkadzaliśmy ludziom w ważnych i niecierpiących zwłoki sprawach, ale Wiktor nie zważał na nieprzyzwoite słowa, którymi nas obrzucano, tylko pracowicie przekopywał się przez stosy porzuconych ubrań. Obeszliśmy wszystkie pokoje, wróciliśmy do kuchni i wtedy się okazało, że moja kurtka wisi normalnie na wieszaku w przedpokoju. W wewnętrznej kieszeni był portfel, a w nim dowód

osobisty i wezwanie do stawienia się we Wrocławiu. Tylko przegródka, gdzie powinny znajdować się pieniądze, była pusta, ale nie przejąłem się tym zbytnio, bo Wiktor Sójka znalazł w kieszeni stówę i oświadczył, że dzisiaj w dniu tak uroczystym on stawia.

Wypiliśmy jeszcze po dwa piwa, a potem przyłączyła się do nas kobieta życia Wiktora i wciąż czekający na debiut poeta Guciaba. Wypiliśmy znowu po piwie i nieco chwiejnym krokiem opuściliśmy mieszkanie, w którym nikt z nas nie pamiętał, jak się znalazł.

Szliśmy przez miasto i co pewien czas wstępowaliśmy gdzieś na piwo. Bardzo chciałem spotkać kogoś znajomego, żeby się jeszcze raz pożegnać i posłuchać, jak użala się nad moim losem, ale kumpli po prostu wymiotło. Pewnie spali po noworocznych atrakcjach.

Odprowadziliśmy do domu dziewczynę, a potem Guciaba się zniechęcił i też poszedł do domu. Wiktor zmarznięty, z postawionym kołnierzem włókł się ze mną, szczękając zębami, ale jako dobry kumpel postanowił, że w tak trudnej chwili mnie nie opuści. Na Starówce spotkaliśmy Mariusza, który kupił w sklepie pół litra. Łaziliśmy to tu, to tam, szukając miejsca, gdzie można by je spokojnie wypić, ale znaleźliśmy tylko kolejny sklep, w którym Wiktor kupił słój ogórków konserwowych. Było cholernie zimno, więc wsiedliśmy do autobusu i pojechaliśmy na dworzec Warszawa Zachodnia, skąd za godzinę odjeżdżał pociąg do Szklarskiej Poręby przez Częstochowę, Opole, Wrocław i tak dalej.

Peron był pusty, zasypany śniegiem. Ukryliśmy się za zamkniętym na kłódkę niewielkim budynkiem i powolutku ciągnęliśmy z gwinta, zagryzając ogórkami. Potem Mariusz poszedł się odlać, ale wybrał złe miejsce i zgarnęli go SOK-iści. Z Wiktorem poszliśmy do bufetu, gdzie przyjaciel za ostatnie pieniądze kupił mi bułkę z serem, żeby mi nie było smutno po drodze. Gdy ją wpychałem do kieszeni, głośnik wycharczał

informację, że pociąg do Szklarskiej Poręby podstawia się na peronie trzecim. Udaliśmy się tam i rzeczywiście ponure ciemne wagony właśnie wtaczały się na stację. Uścisnąłem Wiktora, Wiktor mnie i wlałem do wagonu. Usiadłem przy oknie i patrzyłem, jak stojącego na peronie Wiktora z wolna zasypuje śnieg. Zrobiło mi się go żal. Szarpnąłem okno. O dziwo, uchyliło się nieco.

— Spierdalaj! — zawołałem. — Nie będziesz przecież tak stał.

Wiktor niezbyt inteligentnie zagapił się na pociąg.

— Może i racja — powiedział. — Spierdalam.

Uniósł rękę na pożegnanie, odwrócił się i znikł wśród płatków śniegu. Przez chwilę szarpałem się z oknem, które nie chciało się zamknąć, a potem siadłem i patrzyłem na śnieg. Do wagonu wsiadali coraz to nowi podróżni, kilku rozgościło się w moim przedziale.

Zjadłem kanapkę z serem, a potem poczułem, że wypity tego dnia alkohol powoli mnie obezwładnia i zapadam w sen. Szarpnęło, pociąg ruszył i wtoczył się w zimową noc.

— Jakby był Wrocław, niech mnie ktoś obudzi — wymamrotałem i przepadłem dla świata.

Obudziłem się bez niczyjej pomocy. Było ciemno. Pociąg stał na jakiejś stacji. Chciałem spytać, co to takiego, ale wszyscy w przedziale spali. Pociąg wolniutko ruszył i wtedy zobaczyłem tablicę „Opole Zachodnie”. Do Wrocławia był jeszcze kawałek. Siedziałem wtulony w kąt przy oknie, zasypiałem i budziłem się. W końcu pojawiły się światła wielkiego miasta. Wyszedłem na korytarz. Pociąg wjeżdżał pod ogromną kopułę dworca Wrocław Główny.

We Wrocławiu byłem już kilkakrotnie, generalnie miasto mi się podobało. Tego dnia było jednak mniej przyjemnie. Ledwo wszedłem do tunelu prowadzącego do hali dworcowej, przyczepił się do mnie ból głowy

będący skutkiem niezdrowego trybu życia w ostatnich dniach. Dotarłem do kiosku, kupiłem tabletki „z krzyżykiem” i połknąłem na sucho dwie naraz. Wyszedłem przed dworzec i skierowałem się w stronę przystanku autobusowego.

Ludzie jechali już do pracy i na przystanku było pełno zmarzniętych kobiet i mężczyzn.

— Na ulicę Czajkowskiego? — zagadnąłem tęgą kobietę w wełnianym berecie z pomponem.

— Pospieszny „A”. Do samego końca.

Wydawało mi się, że patrzy na mnie ze współczuciem, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, bo z bocznej ulicy wyjechał autobus pospieszny „A” i podjechał do przystanku. Wcisnąłem się do środka. W autobusie było ciepło i przyjemnie. Z radia obok kierowcy dobiegały dźwięki aktualnego przeboju. Ból głowy ustąpił. Znalazło się miejsce siedzące. Autobus wolno pustoszał. W końcu zostało kilkunastu pasażerów siedzących w różnych miejscach. Wszyscy byli mniej więcej w moim wieku, niewyspani, niepewni siebie, samotni. Zajechaliliśmy na pętlę. Wyszliśmy i poszliśmy wzdłuż długiego ceglatego muru w stronę bramy opatrzonej napisem „Wojsko Polskie”. Obok bramy była furтка, do której przylegał nieduży, parterowy budynek, na którym wisiała tabliczka: „Państwowa Wyższa Szkoła Wojsk Zmechanizowanych”.

Grupa młodych ludzi zwolniła, jakby chcąc odwlec moment przekroczenia bramy. Dotarliśmy do furtki, przeszliśmy przez nią, zobaczyliśmy otwarte okienko w budynku i siedzącego w głębi podoficera. Po kolei podawaliśmy mu nasze wezwania, a gdy przyszła moja kolej, powiedziałem:

— Melduję posłusznie, że jestem.

Spojrzał na mnie spode łba, najwyraźniej nie skumał, że to cytat ze Szwejka. W tym momencie złamałem pierwszą zasadę umundurowanych: nie wyróżniać się. Na swoje utrapienie miałem ją jeszcze łamać wielokrotnie.

Przeszliśmy obok budynku i zobaczyliśmy wielki plac i stojące wokół niego dwupiętrowe, jeszcze poniemieckie budynki koszarowe. Na nasze spotkanie wyszedł kolejny podoficer, który wskazał nam wejście do jednego z budynków. W środku panował półmrok, na ścianach lśniła jakaś obrzydliwa lamperia. Na środku pomieszczenia stał kolejny podoficer, który wygłosił do nas krótkie przemówienie:

— Zdejmujemy łachy, wszystko, majtki i buty też. Bierzemy z ławeczki papierowy worek, wkładamy łachy, bierzemy z parapetu sznurek, robimy paczkę. Wypisujemy swój adres długopisem, który leży koło sznurka. Paczkę układamy pod oknem. Wykonać!

Zaczęliśmy się rozbierać. W pomieszczeniu było cholernie zimno. Podoficer gdzieś znikł. Poukładaliśmy paczki pod oknem i staliśmy nadzy, szczękając zębami. Pojawił się kolejny trep, tym razem w stopniu sierżanta.

— Przechodzimy dalej — zakomenderował. — Nie tamujemy ruchu!

Posłusznie poszliśmy w stronę drzwi, które nam wskazano. Pomieszczenie, do którego weszliśmy, przedzielono na pół sięgającą sufitu siatką. W siatce co pewien czas były duże prostokątne jakby okna. Stali w nich szeregowcy, a przed nimi na wielkich stołach leżała ogólnowojskowa garderoba i buty. Nikt nikogo nie pytał o wzrost czy rozmiar obuwia. Wydawano jak leci. Każdy, kto został obdarowany, szedł po prostu w jakiś kąt i próbował się ubrać. Przeważnie nic nie pasowało, więc zaczęliśmy się wymieniać między sobą. Powstało zamieszanie, na które szeregowcy i dowodzący nimi następny sierżant patrzyli z niezmaconym spokojem. W końcu jakoś się ubraliśmy. Z mojego

munduru pasowała na mnie tylko bluza, spodnie były za małe i wpijały mi się w tyłek, a buty o dwa numery za duże. Majtki, które mi nieustannie spadały, były szyte na jakiegoś umundurowanego King Konga, ale musiałem je włożyć, bo nikt nie chciał się ze mną zamienić. Przy wyjściu z sali było lustro, w którym każdy mógł obejrzeć swoje nowe wcielenie. Wyglądałem wtedy jak typowy młody poeta, miałem długie włosy, wąsy i brodę. W dziwacznym, niedopasowanym mundurze wyglądałem komicznie i zarazem przerażająco, a ogólne wrażenie podkreślała o trzy numery za mała czapka wojskowa, którą z trudem utrzymywałem na czubku głowy. Inni nie wyglądali lepiej.

Wyszliśmy z budynku na piekielnie śliski chodniczek, który nas doprowadził do kolejnego budynku, gdzie urzędował fryzjer. Był to wybitny fachowiec wojskowy — strzygł bardzo szybko i każdy ostrzyżony wyglądał jak skończony kretyn. Oddałem się biernie w jego ręce. Zawarczał mi maszynką wokół głowy i wrzasnął:

— Następny!

Ostrzyżonych szybko przybywało. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Padał śnieg. Przez plac biegło kilku umundurowanych. Nic więcej.

W tym momencie za moimi plecami rozległ się krzyk. To siedzący na fryzjerskim fotelu nieduży poborowy bronił swoich wąsów. Fryzjer usiłował go chwycić za nos i zgolić mu je jednym ruchem, ale poborowy szarpał się jak ryba w sieci i usiłował przysunąć fryzjerowi w szczękę. Fryzjer rozglądał się rozpaczliwie za kimś, kto by mu przyszedł z pomocą, ale żadnego podoficera w pomieszczeniu nie było. Niewysoki poborowy ugryzł fryzjera w rękę, fryzjer go puścił i poborowy jednym susem zeskoczył z fotela i znikł wśród ostrzyżonych stojących po prawej stronie.

Fryzjer złapał się za ugryzione miejsce, przez chwilę patrzył ogłupiały przed siebie, a potem wrzasnął rozpaczliwie:

— Następny!

Kilka minut później wszyscy byli już ostrzyżeni i znów wyszliśmy na śliski chodniczek. Staliśmy tam, rozglądając się niepewnie wokół dobre pół godziny, a potem przyszedł jakiś kapral z naszymi Państwowej Wyższej Szkoły Wojsk Zmechanizowanych i poprowadził nas do stojącego nieco na uboczu budynku. Tu na pierwszym piętrze mieliśmy spędzić najbliższe pół roku.

— Do sal... rozejść się! — wydarł się kapral.

Po doświadczeniach w szpitalu psychiatrycznym wiedziałem, co robić. Natychmiast rzuciłem się pędem w stronę końca korytarza. Po lewej były drzwi do kibla, po prawej do jakiejś sali. Wpadłem tam i rzuciłem się na najbliższe łóżko. Za mną wpadła gromada poborowych, ale łózek starczyło tylko dla trzech. Intuicja mnie nie zawiodła. Sala na końcu korytarza była nieduża, czteroosobowa i maksymalnie oddalona od władzy wojskowej, która miała swoje gabinety na środku. Sąsiednie łóżko zajął — co mnie bardzo ucieszyło — ów poborowy, który z niezwykłą determinacją bronił swoich wąsów. Wyciągnąłem do niego rękę.

— Paweł Zabłocki.

— Andrzej Dwilli.

Chwilowo nikt nic od nas nie chciał, więc wyciągnęliśmy się na łózkach i zagapiliśmy się w sufit.

— Chujowo — powiedział Dwilli.

— Bardzo chujowo.

Tu konwersacja się urwała. Zapadła głęboka cisza, którą po mniej więcej dziesięciu minutach przerwał dobiegający z daleka ryk kaprała:

— Kompania... na korytarzu... w dwuszeregu... zbiórkaaaa!

Wyszliśmy na korytarz i ustawiliśmy się, jak nam kazano. Potem ustawiliśmy się jeszcze raz, tym razem według wzrostu. Podzielono nas na plutony: razem z Dwillim trafiliśmy do trzeciego, złożonego z najniższych, do którego należała na szczęście nasza część korytarza. Inni się przenosili i nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego najpierw kazano nam zajmować miejsca, a potem je zmieniać.

Gdy już każdy znalazł swoje miejsce w koszarowym świecie, zaprowadzono nas do stołówki na obiad. Tu też każdy musiał odnaleźć swoje miejsce, ale nasza czwórka uparcie trzymała się razem. To, co jedliśmy, nie było smaczne, ale nikt niczego lepszego po Szkole Wojsk Zmechanizowanych się nie spodziewał.

Po południu nas spisywano i robiono najróżniejsze wykazy. Wreszcie nadszedł wieczór. Śnieg przestał padać i na niebie pojawił się ogromny księżyc. Z Dwillim i wieloma innymi długo myliśmy korytarz. Wreszcie o dziesiątej pozwolono nam pójść spać.

Tu czekała nas niemiła niespodzianka. Gdy rozgrzani walką z brudem na korytarzu dotarliśmy do naszego zacisznego pokoiku, okazało się, że jest tam potwornie zimno. Rano kaloryfer jeszcze jako tako grzał, teraz odmówił posłuszeństwa. Wleźliśmy pod cienkie koce i próbowaliśmy się rozgrzać, ale to nic nie dało. Włożyliśmy na siebie wszystko, czym obdarzyła nas armia (z wyjątkiem butów), i znów wleźliśmy pod słynne wojskowe kocyki, które nie dają ciepła, za to nigdy nie można ich ułożyć wystarczająco równo. Było trochę cieplej i zmęczony wrażeniami pierwszego dnia w koszarach zasnąłem.

Obudziłem się mniej więcej po godzinie, czując, że zamarzam. Moi koledzy też nie spali. Kulili się na swoich łózkach, szczękając zębami. W końcu nie wytrzymaliśmy. Opuściliśmy nasz azyl i poszliśmy do podoficera dyżurnego kompanii siedzącego przy małym stoliku na środku

korytarza i zwróciliśmy mu delikatnie uwagę, że coś jest chyba nie tak. Podoficer dyżurny, niezbyt inteligentny z wyglądu kapral ze Zmechu, okazał zainteresowanie. Osobiście udał się z nami na koniec korytarza i stwierdził, że istotnie w sali jest zimno, ale nic na to nie może poradzić, albowiem jest noc, a wtedy życie w koszarach zamiera, więc nie pozostaje nam nic innego, jak przetrwać do rana.

Udaliśmy się do położonego naprzeciwko naszej sali kibla, gdzie na szczęście było ciepło. Rozsiedliśmy się na klozetach i owinięci kocami drzemaliśmy do rana.

O szóstej rano rozległ się upiorny dzwonek, a potem podoficer dyżurny wyrzucił wszystkich na tak zwaną zaprawę poranną. Ogromna ilość osobników w ogólnowojskowych spodniach i koszulkach gimnastycznych biegła wśród coraz obficie padającego śniegu dookoła placu. Było z minus dziesięć, ale po doświadczeniach minionej nocy było nam naprawdę wszystko jedno. Potem myliśmy się w wodzie, która była zimniejsza od lodu na placu apelowym, a następnie zapędzono nas na śniadanie, które składało się z szaroburej, obrzydliwej w smaku brei.

Podoficer dyżurny okazał się człowiekiem energicznym. Gdy wróciliśmy, niosąc w brzuchach niebezpiecznie bulgocącą breję, w naszym pokoju znajdował się już hydraulik. Na razie siedział na krzeselku, patrzył na kaloryfer i się zastanawiał. Gdy wezwano nasz pluton, byśmy się ustawili w dwuszeręgu, nadal siedział i myślał. Opuściliśmy korytarz pełni nadziei, że gdy nas nie będzie, dozna błysku geniuszu.

Tego dnia dopisało nam szczęście. Poranne zajęcia były w sali. Prowadził je siwy, wąsaty podpułkownik, jak sam się przedstawił: stary frontowiec. Podpułkownik wybrał sobie natychmiast żołnierza, który miał nosić za nim teczkę oraz plansze przedstawiające różne warianty taktycznego wykończenia nieprzyjaciela. Był nim niejaki Kwiatkowski, najwyższy

w naszym plutonie, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego. Wąsaty frontowiec lubił wszystko dokładnie objaśniać, więc i tym razem uzasadnił swój wybór.

— Ja, kochanieńcy, bardzo lubię długich. Jak nasz batalion szedł spod Lenino do Berlina, ja miał kolegę, co też był długi. Jednej nocy my spali, a tu szli czołgi i długiego najechali. Długi wrzasnął, a ja uciekłem. Dlatego ja lubię długich.

W ten sposób poznaliśmy podstawową zasadę taktyki: zawsze mieć przy sobie długiego, który wrzaśnie w odpowiedniej chwili.

Zajęcia trwały bez końca. Siedzieliśmy z Dwillim w ostatnim rzędzie i kryjąc się za plecami kolegów, próbowaliśmy drzemać. Z tego co nam tłumaczył w śpiewnej kresowej mowie stary frontowiec, nie zapamiętałem absolutnie nic. Miałem nadzieję, że na razie wojna nie wybuchnie i tego rodzaju wiedza nie będzie mi potrzebna.

Gdy po obiedzie wróciliśmy do naszej sali, okazało się, że kaloryfer jest rozkręcony, a hydraulik nadal siedzi na krzeselku i myśli. Potem zjawił się dowódca naszego plutonu, podporucznik Żuraw. Na jego widok stanęliśmy nieudolnie na baczność, ale nie zwrócił na nas uwagi, tylko klepnął w ramię hydraulika i spytał:

— No i co?

— No i chuj — odpowiedział hydraulik, budząc się z głębokiego zamyślenia.

— Ale co jest grane?

— Nie wiem. — Hydraulik rozłożył ręce. — Powinno grzać, a nie grzeje.

— A jakby pan, panie Rysiu, skreślił to z powrotem, to może by zaczęło.

— Chuj to wie — stwierdził filozoficznie pan Rysio. — Może zacznie, a może nie zacznie.

— No to skreśl pan.

Pan Rysio wziął się do skręcania. Ponieważ chwilowo nikt nas nigdzie nie gonił, staliśmy za jego plecami i patrzyliśmy mu na ręce. W końcu kaloryfer został skręcony. Czekaliśmy cierpliwie, aż zacznie się nagrzewać. Ale nie zaczął. Wezwano nas do dwuszeregu i zapędzono ma musztrę.

Tego popołudnia pan Rysio jeszcze trzy razy rozkręcał i skręcał kaloryfer, a o dwudziestą drugą, gdy w koszarach zgodnie z regulaminem zamierało życie, okazało się, że w naszej sali jest jeszcze zimniej niż poprzedniej nocy. Tym razem nawet nie próbowaliśmy kłaść się spać, tylko od razu poszliśmy do kibla, gdzie przesiedzieliśmy do rana. Następnego dnia, gdy byliśmy na zajęciach, w naszym pokoju zebrała się komisja, w której uczestniczyli dowódca kompanii, dowódca plutonu oraz specjalnie wezwany z tej okazji oficer dyżurny. Po długich i burzliwych obradach ustalano, że nasza sala zostanie zamknięta, opieczętowana i uznana za nieistniejącą, a my znajdziemy sobie miejsca gdzie indziej.

Z wielkim żalem opuściliśmy nasz mały, niekrępujący pokoik i powlekliśmy się do sali, gdzie wszystkie co lepsze miejsca były zajęte. Zajęliśmy z Dwillim piętrowe łóżko stojące na środku. Dwilli wolał górę i natychmiast tam wlażł. Ja ułożyłem się na dole.

— Mam to w dupie — powiedział Dwilli. — Dobranoc.

— Pięknych cywilnych snów, Dwilli.

Mieliśmy przechlapane, ale przynajmniej było ciepło. To też coś.

Rozdział 8

Wielki bieg



— Żołnierze! — powiedział podporucznik Żuraw. — Dziś pobiegniecie na kilometr.

Podporucznikowi towarzyszył kapral ze Zmechu, który trzymał w ręce zeszyt.

— Start jest tu — kontynuował nasz dowódca. — Meta też jest tu.

— Skoro start i meta są w tym samym miejscu, to po co biegniemy? — spytał cicho Dwilli, który stał za moimi plecami.

— Biegniemy przed siebie, za magazynem mundurowym skręcamy w prawo, obiegamy dookoła plac apelowy, na wysokości aresztu skręcamy w stronę kantyny, obiegamy ją dwa razy, biegniemy do budynku numer trzy, na wysokości drzwi wejściowych skręcamy w lewo, znów obiegamy dookoła plac apelowy, obiegamy trzy razy magazyn mundurowy i meldujemy się tutaj.

— Czy mógłby obywatel porucznik powtórzyć? — spytał Kwiatkowski, który rwał się do biegu, ale zapamiętanie tak skomplikowanej trasy przekraczało jego możliwości intelektualne.

Żuraw cierpliwie i dokładnie powtórzył, po czym dodał:

— Obecny tu kapral podchorąży Lipka będzie zapisywał wyniki, które ja będę chwytał na tym oto stoperze — tu podporucznik okazał stoper. — Żeby kapral wiedział, kto dobiegł do mety, każdy głośno i wyraźnie poda swoje nazwisko. Dam przykład. Powiedzmy, metę mija Kwiatkowski.

Tu porucznik, a za nim my wszyscy zagapiliśmy się na Kwiatkowskiego. Patrzył na nas ogłupiały, bo nie skumał, o co chodzi.

— No, Kwiatkowski — rzekł z miłym uśmiechem podporucznik. — Mijacie metę i co robicie?

Kwiatkowski otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

— Podajecie głośno i wyraźnie swoje nazwisko — powiedział podporucznik Żuraw, który był człowiekiem wyjątkowo cierpliwym.

W oczach Kwiatkowskiego pojawił się błysk zrozumienia. Otworzył usta i wydarł się tak, że słyszać go było w całej dzielnicy Psie Pole:

— Kwiatkowski!

— Bardzo dobrze — pochwalił go podporucznik. — A teraz... do biegu... gotowi... start!

Rzuciliśmy się w stronę magazynu mundurowego. Pierwszy pędził Kwiatkowski, a za nim zwartą gromadą reszta plutonu. Gdy zaczęliśmy okrążyć plac apelowy, pluton wyciągnął się w długi szereg, którego awangardę stanowił Kwiatkowski, a ariergardę Dwilli i ja. Kiedy dotarliśmy do aresztu, Kwiatkowski obiegał po raz drugi kantinę, a odległość między mną i Dwillim a poprzedzającą nas grupką znacznie się powiększyła.

— Wiem, o co tu chodzi — powiedział zasapany Dwilli. — O ustalenie prymusa i ofiary, czyli tak zwanego szweja.

Spojrzałem na poprzedzającą nas grupkę, która oddalała się coraz bardziej.

— Wychodzi na to, że szwej to jeden z nas — powiedziałem. — Kwestia tylko który. Będziemy się ścigać?

Dwilli zwolnił.

— To by im dało za dużo satysfakcji. Dwie ofermi kompanijne walczące ze sobą, kto będzie szwejem, a kto wiceszwejem.

— Rzucimy monetę?

— Nie. Przybiegniemy razem i równiutko krzykniemy nasze nazwiska. W ten sposób będą mieli jednego szweja w dwóch osobach.

— A tego nie chcą?

— Nie, bo to komplikuje sytuację.

Wolniutko, truchcikiem posuwaliśmy się do przodu. Kwiatkowski już dawno krzyknął co należało, inni też meldowali się na mecie, a my pokonywaliśmy z godnością plac apelowy. Cały pluton stał już na mecie i czekał.

— Szybciej! — wrzasnął na nas podporucznik Żuraw.

Nie przyspieszyliśmy. Nawet zwolniliśmy nieco, bo przecież szwej pokonujący oszałamiającą odległość tysiąca metrów ma prawo opaść z sił. Koledzy zaczęli marznąć, podskakiwali, przytupywali, a nam było ciepłutko, ani żeśmy się nie spocili, ani nam serca nie waliły jak młoty, biegliśmy tak, jak poważny człowiek biec powinien, bez szaleństw, z wdziękiem, nie dbając o metę. Zbliżając się do podporucznika, jeszcze zwolniliśmy i wyrównaliśmy krok, aby żaden z nas nie przybiegł wcześniej od kolegi, a przed samą metą wzięliśmy się dla pewności za ręce i tak wbiegliśmy na właściwą płytę chodnikową i wrzasnęliśmy chórem:

— Dwilocki!

Po czym zatrzymaliśmy się i kapral Lipka zapisał nasze nazwiska w zeszycie, a obok kompromitujący czas, jaki udało nam się osiągnąć. Podporucznik Żuraw patrzył na nas z nienawiścią, a nam zrobiło się lżej na

duszy. Od początku było wiadomo, że Dwilli i ja wylosujemy szweja, i teraz nasze przeznaczenie się wypełniło.

Pluton ustawił się w dwusereg, potem utworzył czwórki i ruszyliśmy w stronę naszego budynku. Szliśmy na końcu. To wcale nie było takie złe. Idąc na końcu, znajdowaliśmy się najdalej jak można od podporucznika i Kwiatkowskiego, którzy szli na czele. To był duży plus.

Na kompanii jako szwejów zapędzono nas od razu do czyszczenia kibla. Nasi koledzy nieźle go obesrali. Próbowałem otworzyć okno, ale Dwilli się sprzeciwił. Wolał egzystować w śmierdzącym cieple niż na pozbawionym zapachu mrozie.

— Smród jest naturalnym elementem ludzkiej egzystencji — dowodził. — Każdy musi doznać rozkoszy wypróżnienia albo przynajmniej uwolnić gazy. Srają i generałowie. Juliusz Cezar wydawał z siebie fetor, podobnie jak jego kochanka Kleopatra. Także Josif Wissarionowicz Stalin udawał się do klopa i jego ochroniarze mieli okazję wwąchać się w to, co wydobywało się z satrapy uważanego przez Rosjan za boga. A wyobraźmy sobie bunkier Hitlera w ostatnich dniach wojny. Wprawdzie działała tam wentylacja, ale Führer miał kłopoty gastryczne i musiał dawać upust swoim przypadłościom. Towarzyszący mu dygnitarze wiedzieli, że zbliża się koniec, i zaznaczali to stosownym zapachem. Delikatne bączki puszczała Ewa Braun i liczne maszynistki, kucharka i personel pomocniczy. Pierdzieli dziarsko adiutanci. Srali w portki ze strachu dekownicy. Zostały po nich jakieś kości, kawałek szczęki, czapka, rękawiczki, ale zapach ulotnił się i znikł wraz z Trzecią Rzeszą. Podobnie nikt nie zadał sobie trudu, żeby zachować w kryształowej fiolce fetor Wolfganga Amadeusza Mozarta czy Franza Kafki. A przecież byłoby bardzo interesujące sprawdzić, czy się różnią, czy przeciwnie, są do siebie podobne, czy istnieje coś takiego, jak odór geniuszu, a może pisarze i kompozytorzy są zupełnie odmienni pod

tym względem? Są i inne ważne pytania: czy artysta malujący Madonnę z Dzieciątkiem wydaje inne zapachy od malującego martwą naturę? Wszak uczucia mistyczne powinny mieć jakiś wpływ. Tak czy inaczej fetor jest rzeczą ulotną: albo znika, albo przyzwyczajamy się do niego i przestajemy go zauważać.

Tak perorował Dwilli, siedząc na desce jednego z kibli, a ja zrozumiałem nagle, że już nie czuję ogólnowojskowego smrodu i nie doznaję związanych z nim mdłości. W kiblu było zaciszenie i przyjemnie.

— Może jednak weźmiemy się za to czyszczenie — powiedziałem.

— Możemy — zgodził się Dwilli. — Na początek zrobimy to z grubsza, bo wiadomo, że i tak każą nam poprawiać.

Oczyściliśmy jako tako muszle klozetowe i zapaliliśmy papierosy. Wtedy wpadł do kibla podporucznik Żuraw.

— Był rozkaz, że wolno palić?! — wrzasnął od drzwi.

— Nie było, obywatelu poruczniku — odparł Dwilli. — Ale rozkaz zabraniający palenia też nie został wydany.

Podporucznik zamyślił się nad tą kwestią regulaminową, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Rzucił się do najbliższej muszli klozetowej. Podniósł deskę i wrzasnął:

— Kurwa! Ale syf!

— Też to zauważyłem, obywatelu poruczniku — powiedziałem. — Śmierdzi jak jasna cholera.

— Wyczyścić mi to porządnie, ale już! — wrzasnął Żuraw i z tymi słowami wypadł za drzwi.

Teraz zabraliśmy się z Dwillim do dokładniejszego czyszczenia. Kible zaczęły lśnić w świetle samotnej, wiszącej pod sufitem żarówki, umyliśmy też podłogę. Gdy wykręcałem szmatę, do kibla znowu wpadł nasz dowódca i od razu poleciał do najbliższej muszli.

— Kurwa! Ale syf! — wrzasnął. — Wyczyścić mi to porządnie!

— Tak jest, obywatelu poruczniku! — zawołał dziarsko Dwilli, ale oficer chyba go nie słyszał, bo już znikł za drzwiami.

— No i co teraz? — spytałem.

— Zapalimy sobie — rzekł Dwilli, rozsiadając się na kiblu i wydymając paczkę extra mocnych z filtrem.

— Nie czyścimy?

— Przecież już jest wyczyszczone. To tylko taki rytuał. On robi swoje, a my swoje. Jest przekonany, że właśnie nas gnoi.

— A tobie jak się wydaje?

— Myślę, że kibel to jedno z lepszych miejsc w tych pierdolonych koszarach. Chłopaki męczą się z tym korytarzem, wszyscy się na nich gapią i nie mogą przestać nawet na chwilę, choć korytarz już dawno jest czysty. A my siedzimy sobie wygodnie, jaramy extra mocne i mamy wszystko w dupie. Smrodu już nie czujemy, mamy ciepło, możemy prowadzić inteligentne rozmowy na różne tematy.

— Chcesz przekonać samego siebie, że los szweja nie jest taki zły?

— Tego nigdy się nie dowiemy, Pawełku. Obaj jesteśmy stuprocentowymi szwejami. I nigdy nie będziemy kim innym.

Dwilli rozsiadł się jeszcze wygodniej. Przyciągnął do siebie wiadro z brudną wodą i na wszelki wypadek trzymał je w pogotowiu. Ja zadowolilem się szmatą. Po jakimś czasie usłyszeliśmy energiczne kroki na korytarzu. Wzięliśmy się do roboty.

Podporucznik Żuraw wpadł do kibla, nawet na nas nie spojrzał, tylko poleciał wprost do muszli, podniósł deskę i wrzasnął:

— Kurwa! Ale syf! Czyścić, bo zgnijecie w kryminale!

I wypadł na korytarz.

Znów usiedliśmy na kiblach i siedzieliśmy zadowoleni z tej wieczornej chwili wytchnienia. Dwilli spojrział na zegarek.

— Za piętnaście dziesiąta — rzekł. — Teraz kible okażą się czyste.

Wziął swoje wiadro, a ja szmatę. Po chwili wpadł podporucznik Żuraw, pobiegł do muszli, podniósł deskę i przez chwilę badał meandry urządzenia do srania.

— Nooo... może być — powiedział wreszcie — Odmaszerować!

Odmaszerowaliśmy pod krany z zimną wodą. Wszyscy myli się w milczeniu, marząc tylko o jednym: żeby się położyć i zasnąć. Potem poszliśmy do sali. Dwilli wdrapał się na swoje łóżko a ja ułożyłem się na swoim.

— Dwilli, skąd znasz tak dobrze psychikę umundurowanych?

— Oni tego nie wymyślili — rzekł Dwilli. — Nauczyli ich w szkole wojskowej. To powtarzany od setek lat we wszystkich armiach świata rytuał, opisany w wielu książkach. Oni wciąż wierzą, że to działa. W sumie to zdumiewające.

Dwilli nie miał racji. W koszarach nic nie było zdumiewające. Było tylko nudne i męczące. Z tą myślą usnąłem.

Rano udaliśmy się na minipoligon. Pluton szedł dziarsko, a my z Dwillim wlekliśmy się na końcu obciążeni: Dwilli ręcznym karabinem maszynowym systemu niejakiego Diegtiariowa, a ja ciężką jak cholera skrzynką z amunicją. Dźwiganie różnych rzeczy jest podstawowym zadaniem szweja. Według umundurowanych ma to być osobnik osamotniony, powszechnie pogardzany, wiecznie spocony, zziajany i nieszczęśliwy. Niezbyt pasowaliśmy do tego modelu. Po pierwsze było nas dwóch, wystarczaliśmy sami sobie i nie odczuwaliśmy potrzeby kontaktu z resztą plutonu. Po drugie Dwilli, który był skromnej postury, nie dawał po sobie poznać, że diegtiariew jest dla niego jakimkolwiek

problemem. Szedł wyprostowany, z uśmiechem rozglądając się wokół. Nie chciałem być gorszy, więc i ja dźwigałem tę cholernie ciężką skrzynkę z uśmiechem. Na tle naszych kolegów, którzy raczej ciężko znosili służbę wojskową, wyglądaliśmy na bardzo zadowolonych. Zadowolony szwej to coś, co umundurowanym nie mieści się pod czapkę. W dodatku zaczęliśmy zauważać, że bycie szwejem ma pozytywne strony.

Szwej nigdzie się nie spieszy, z nikim się nie ściga, zawsze jest ostatni i tym samym najmniej zmęczony.

Szwej zawsze ostatni wkłada maskę przeciwigazową i pierwszy ją zdejmuje.

Szwej na nikogo nie donosi.

Szwej nie podlizuje się trepom, bo jego rola tego nie wymaga.

Po szweju nikt się niczego nie spodziewa, więc nie ma go za co opierdalać. Szwej jest opierdalany tylko za to, że jest szwejem, a to szybko przestaje robić na nim wrażenie.

Mój przyjaciel Dwilli dokonał rzeczy w dziejach szwejestwa niesłychanej. Cieszył się szacunkiem. Dlaczego? Bo całą swoją osobą dawał do zrozumienia, że ma Ludowe Wojsko Polskie i Układ Warszawski w dupie. Robił to całkowicie jawnie, a równocześnie w niczym nie naruszał regulaminu. Dlatego nasi kumple, którzy biegali w awangardzie, wypruwali sobie żyły podczas czołgania przez pełzanie i dawali z siebie wszystko na zajęciach z musztry, nigdy nie zapomnieli powiedzieć:

— Cześć, Dwilli.

— Siema, Dwilli.

— Co słychać, Dwilli?

Na mnie szacunek spływał mniejszy, bo byłem tylko kumplem Dwillego, ale i do mnie lgnęli, bo potrzebowali odrobiny luzu, by się nieco pocieszyć w swej ciężkiej żołnierskiej doli.

Raz zresztą udało mi się zabłysnąć na polu ogólnowojskowym. Strzelaliśmy do tarczy z kbk AK, czyli tak zwanego kałasznikowa. Strzelanie nie było mi obce, jako nastolatek miałem wiatrówkę, z której strzelaliśmy z kolegami nieraz przez pół dnia. Oko miałem dobre, strzelać lubiłem, więc nic dziwnego, że miałem jedną dziesiątkę, dwie dziewiątki i dwie ósemki. Podporucznika Żurawia mój wynik kompletnie zaskoczył. Miał już swoich faworytów, którzy we wszystkim byli najlepsi. A tu się okazało, że szwej strzela najlepiej, a Kwiatkowski wali do tarczy z oddaniem, ale zdecydowanie niecelnie. Podporucznik niechętnie udzielił mi pochwały, a po powrocie na kompanię, żeby mi się nie przewróciło w głowie, kazał mi wyczyścić całą broń użytą na strzelnicy. Czyściłem cierpliwie, śpiewając sobie na pocieszenie pieśni partyzanckie, piosenki ludowe i znane mi pozycje z repertuaru patriotycznego.

Potem przyszedł Dwilli i zaczął mi pomagać, a równocześnie śmiał się ze mnie, że jestem kompletnym idiotą, bo człowiek rozsądny, gdy go umundurują, nigdy nie pokazuje, że coś potrafi, i słusznie za moją pychę zostałem ukarany.

Nie zgadzałem się z nim. Dlaczego odbierać sobie tę chwilę satysfakcji na strzelnicy wojskowej, zwłaszcza że miałem głębokie przekonanie, iż strzelam lepiej niż oni wszyscy razem wzięci?

A jednak to Dwilli miał rację, o czym przekonałem się podczas strzelania z erkaemu Diegtiariowa, które miało miejsce trzy tygodnie później. Nie strzelaliśmy do okrągłych tarcz, tylko do wbitych w ziemię tabliczek przedstawiających sylwetkę przyczajonego nieprzyjaciela. Nie wiem, dlaczego, ale gdy spojrzałem na ową tarczę przez muszkę i szczerbinkę, zobaczyłem żywego człowieka. Zdawałem sobie sprawę, że to kawałek sklejk, ale nie mogłem nacisnąć spustu. Podniosłem się ze stanowiska ogniowego i zameldowałem podporucznikowi, że proszę o zmianę tarczy

na okrągłą z zaznaczonym na czarno kółkiem pośrodku. Żuraw wytrzeszczył na mnie gały i w żaden sposób nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi.

— On mi za bardzo przypomina człowieka — powiedziałem.

— Ma przypominać człowieka — rzekł podporucznik. — O to właśnie chodzi.

— Ale ja do człowieka nie mogę.

— Przecież to nie nasz. To parszywy imperialista, a może nawet faszysta. Jak takiego nie zabić?

— Mimo to nie mogę.

— Oglądaliście *Czterech pancernych i psa*?

— Oglądałem.

— Należeliście do Klubu Pancernych?

— Nie.

— Nie szkodzi. Macie być jak Janek Kos albo Gustlik Jeleń. Serią w jego faszystowski pysk!

— Ale to mimo wszystko istota ludzka.

— Jaka tam istota! Czekajcie, a może wy jesteście jakiś pierdolony świadek Jehowy...

— Nie jestem świadkiem Jehowy.

— No to bierzcie erkaem systemu towarzysza Diegtiariowa i walcie w imperialistyczną mordę.

— Nie mogę.

Podporucznik się zamyślił.

— Znaczy się, rozumiem, odmawiacie wykonania rozkazu? — spytał podejrzenie słodkim tonem.

Nie bardzo wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Równocześnie zauważyłem, że Dwilli wyciągał dłoń i wykonuje nią ruch z dołu do góry.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

— Bo jeżeli odmawiacie wykonania rozkazu — kontynuował podporucznik Żuraw — traficie do aresztu, skąd was przyprowadzimy z powrotem tutaj i wręczymy wam tego samego „towarzysza diegtariewa”, a jak znowu odmówicie, wyślemy was do Orzysza, do kompanii karnej.

O tym Orzyszu już to i owo słyszeliśmy i nie brzmiało to zachęcająco. Usiłowałem znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Dwilli powtórzył swój ruch i nagle zrozumiałem, o co biega.

— Dobrze — powiedziałem. — Obywatel porucznik mnie przekonał. Wygarnę serię w tę nieprzyjacielską fizjonomię.

— Bardzo dobrze — odparł podporucznik Żuraw tonem, który wskazywał, że czeka na oklaski, a gdy nie nastąpiły, zakomenderował: — Na stanowisko ogniowe marsz!

Ułożyłem się na stanowisku. Przytuliłem chłodną kolbę diegtariowa do policzka, wymierzyłem dobre pół metra nad czubkiem hełmu imperialisty zrobionego ze sklejki i nacisnąłem spust. Z drzewa, które chroniło faszystę w swym cieniu, posypały się liście. Kwiatkowski, który stał na końcu strzelnicy i sprawdzał wyniki, popędził w tamtą stronę.

— Pudło! — wrzasnął. — Zero punktów!

Podporucznik Żuraw zrozumiał, że został zrobiony w konia.

— Jaja sobie robicie!? — wrzasnął na mnie.

— Ależ skąd, obywatelu poruczniku. Zgrałem przyrządy celownicze dokładnie między oczami tej kanalii i wygarnąłem z całego serca. Widać coś poszło nie tak.

Żuraw patrzył na mnie z wściekłością, ale było oczywiste, że rozkaz został wykonany. A że nie trafiłem? W końcu byłem szwejem, a że szwej nie trafia w tarczę, to oczywiste jak to, że po nocy następuje dzień.

Utworzyliśmy czwórki i zmierzaliśmy w stronę koszar. Podporucznik szedł na początku i wciąż przeżywał to, co go spotkało. My z Dwillim na końcu. Czułem satysfakcję, że darowałem życie imperialiście. Owszem, był ze sklejki, ale od czegoś trzeba zacząć.

Rozdział 9

It



Bycie szwejem ma pewną złą stronę. Nie dają człowiekowi przepustek. To w sumie logiczne, bo na przepustkę trzeba sobie zasłużyć, a szwej nigdy na nic nie zasługuje. Ale jednak trochę przykro.

Wskutek braku przepustek poświęcaliśmy z Dwillim niedziele na odsypianie zaległości z całego tygodnia. Gdy już nie mogliśmy spać, czytaliśmy, co na szczęście nie było zabronione, szczególnie od czasu, gdy wytłumaczyliśmy podporucznikowi Żurawiewowi, że Gabriel García Márquez to znany południowoamerykański komunista, wróg amerykańskiego imperializmu i człowiek wprost zakochany w Leonidzie Breżniewie. Zaczęliśmy od Márqueza, bo gdyby sprawdził, mniej więcej wyszłoby na nasze. Po Márquezie czytaliśmy innych komunistów z tamtego obszaru: Borgesa, Carpentiera, Sábato, Llose, a następnie przeczuciliśmy się na znanych rosyjskich komunistów: Mandelsztama, Babla i Bułhakowa. Spędzanie koszarowych niedziel w tak doborowym towarzystwie było miłe i pouczające, więc braku przepustek specjalnie nie odczuwałem. Do momentu kiedy przyszedł list od It.

It poznałem latem poprzedniego roku na Famie w Świnoujściu. Była to osoba miejscowa, ale bardzo łąsa na kulturę. Łaziła z imprezy na imprezę

i na jednej z nich wpadliśmy na siebie. It naprawdę miała na imię Irenka, ale nazywałem ją It, bo stanowiła pośredni etap ewolucji. Nieduża, drobna, z nieco zadartym noskiem i niewinną minką wyglądała jak dziecko. A równocześnie to, jak się poruszała, jak siadała, jak niby mimowolnie ocierała się o mnie, było tak kobiece, że szybko oszalałem na jej punkcie. Wtedy It mnie porzuciła i zaczęła wędrować z imprezy na imprezę z innym artystą studenckim. Było to przykre i poniżające, zwłaszcza że do niczego między nami nie doszło. Męczyła mnie zazdrość, czułem się niesłusznie odepchnięty, ale ostatecznie okazałem się mężczyzną i zapomniałem o It. A teraz ni stąd, ni zowąd, dziewięć miesięcy po tamtych wydarzeniach, przysłała list na mój warszawski adres, a moja mama przesłała mi go do Wrocławia. Nim otworzyłem list, w mojej głowie urodziła się teoria spiskowa: pewnie It urodziła dziecko tamtemu artyście studenckiemu, a teraz chce, żebym to ja został jego tatusiem. Ale nie. List był ciepły, pełen tajemniczego nastroju, jaki zawsze wokół siebie rozsiewała. It pisała, że właściwie na tej Fami interesowałem ją tylko ja, a artysta studencki miał jedynie wywołać we mnie zazdrość. Teraz, kiedy minęło już tyle pustych i samotnych miesięcy, It nie może o mnie zapomnieć i ma nadzieję, że się na nią nie gniewam, więc może byśmy się gdzieś spotkali: w Warszawie albo w Świnoujściu, albo w połowie drogi.

Nie wierzyłem w ani jedno jej słowo. Jednak leżąc w niedzielę na wąskim ogólnowojskowym łóżku, miło było myśleć o It. Wyobrażałem sobie zimowe, puste i nudne Świnoujście z It siedzącą przy oknie, za którym nie ma nic barwnego ani ciekawego, marzącą o dalekim, pełnym atrakcji świecie, w którym zawsze pragnęła się znaleźć, co zresztą było niemożliwe, bo ten świat istniał tylko w jej wyobraźni.

Odpisałem jej ciepło i delikatnie, że też ją często wspominam, ale nasze spotkanie nie może dojść do skutku, bo jestem we Wrocławiu w wojsku

i nie dostaję przepustek.

It natychmiast odpisała, że przyjedzie do Wrocławia. Odpisałem jej, że to bez sensu, bo, jak już wspomniałem, mam zakaz opuszczania koszar. It napisała, że za mną tęskni, więc i tak przyjedzie. I podała datę.

Cholernie głupia sytuacja. Usiedliśmy z Dwillim w kiblu, żeby się naradzić, co w tej sytuacji robić.

— Jest tylko jedno wyjście — powiedział Dwilli. — Lewizna.

— Skok przez mur?

— No pewnie.

Po obiedzie nikt nas wyjątkowo nie ganiał, więc poszliśmy obejrzeć mur. Znaleźliśmy całkiem niezłe miejsce. Mur skręcał pod kątem prostym, a za murem rósł sporych rozmiarów dąb i jedna z gałęzi sięgała aż na teren koszar. Przy pomocy serdecznego kolegi zamiar był możliwy do wykonania.

— A jak stamtąd wrócę?

— Po prostu staniesz jej na ramionach.

— Nie znasz It. Jest drobniutka. Nie utrzyma mnie.

— No to poradzisz sobie inaczej — rzekł Dwilli, który z zasady niczym się nie przejmował.

— A jak nie dam rady?

— To wejdiesz po prostu przez bramę. Co, nie wpuszczą cię?

— Zgnoją mnie za to.

Popatrzył na mnie jak na kosmitę.

— Człowieku, jesteś szwejem. Co ci jeszcze mogą zrobić?

Istotnie. Szweja nie da się zgnoić. Szwej już jest zgnojony. Że też sam na to nie wpadłem.

Tydzień poprzedzający przyjazd It minął na zwykłych zajęciach. Czyściłem kibel, nosiłem skrzynkę z amunicją. Koledzy z plutonu już

przesiaki mentalnością człowieka umundurowanego. Pędzili jak szaleni przez zasieki z drutu kolczastego. Dusili się w maskach przeciwgazowych. Czołgali się, jakby nigdy w życiu nic innego nie robili. My z Dwillim uczestniczyliśmy w ich zabawach, ale po swojemu, powoli, rozważnie, żeby się za bardzo nie spocić. Dowódców szlag trafiał. Darli się na nas, poganiali, czasem człowiek oberwał tęgiego kopniaka w tyłek, ale nie przyspieszaliśmy, bo już nie wypadało przyspieszyć. Trepy usiłowały napuścić na nas kolegów, ale kiepsko im to szło, bo nigdy o nic nikogo nie prosiliśmy, a szacunek dla Dwillego jeszcze wzrósł. Wyścigowcy na wpół uduszeni w maskach przeciwgazowych wieczorami leżeli do Dwillego jak ćmy do światła i zwierzali mu się ze swoich problemów. Uważałem, że szkoda czasu na gadanie z unurzonymi w zupactwie kretynami, ale Dwilli zawsze okazywał im życzliwość i cierpliwie wyjaśniał niepojęte meandry życia.

Nadszedł dzień przyjazdu It. Napisała mi dokładnie, którym pociągiem przyjedzie, w którym hotelu się zatrzyma i że będzie za mną tęsknić w pokoju 347, na trzecim piętrze.

Do za dwadzieścia dziesiąta sprzątaliśmy kibel, potem się umyliśmy, rozebraliśmy, zgasło światło, koledzy umęczeni żołnierskim trudem natychmiast zasnęli, a my się ubraliśmy i w samych skarpetach, trzymając buty w dłoniach, wyrzeliśmy na korytarz. Dyżurny spał z głową ułożoną na telefonie, wspierając policzek na słuchawce. Przemknęliśmy się do schodów i ruszyliśmy w dół. Drzwi do ulokowanej na parterze pierwszej kompanii były zamknięte, zbiegliśmy jeszcze parę schodków i wydostaliśmy się przed budynek. Było pusto i cicho, ale nie wkładaliśmy jeszcze butów, pobiegliśmy w skarpetkach, które błyskawicznie nasiąkły lodowatą wodą, do końca budynku, ukryliśmy się w cieniu, włożyliśmy buty i starając się cały czas trzymać trawy, która tłumiała nasze kroki,

ruszyliśmy w stronę muru. Gdzieś tu musieli stać wartownicy, ale nie zauważyliśmy ani jednego. W parę chwil byliśmy przy murze. Wdrapałem się na ramiona Dwillego i przejechałem dłonią po szczycie muru. Szkła ani drutu kolczastego nie było. Wspiąłem się na górę i znieruchomiałem. Z odległości mniej więcej czterdziestu metrów patrzył na mnie wartownik. Na jego piersi lśnił załadowany ostrą amunicją kbk AK. Gapiłem się na niego, a on na mnie. W końcu wyraźnie zniecierpliwiony wykonał ręką ruch, który mógł oznaczać tylko jedno: „Spierdalaj, człowieku!”.

Na łeb na szyję poleciałem w krzaki po drugiej stronie muru. Upadek nie był zbyt bolesny, zebrałem się szybko i lekko utykając, pobiegłem ulicą w stronę śródmieścia. Po drodze dogoniła mnie taksówka. To była naprawdę fartowna noc.

Po dwudziestu minutach wszedłem do hotelowego hallu. Z recepcji patrzył na mnie siwowłoso, godnie wyglądający mężczyzna.

— Dobry wieczór — powiedziałem.

Skinął mi głową. Zapewne nie pierwszy raz widział żołnierza w polowym mundurze wchodzącego tu w środku nocy. A może z zasady niczemu się nie dziwił. Zachęcony jego życzliwością ruszyłem w stronę schodów i mimo że obok była winda, dziarsko wbiegłem na trzecie piętro. It musiała przez cały czas stać przy drzwiach, bo nim do nich dotarłem, uchyliły się cicho i wpadłem w jej ramiona. Ogarnąłem ją całą, poczułem zapach jej włosów jakże inny od wszelkich koszarowych zapachów.

Zdjąłem kurtkę. Siedzieliśmy na łóżku objęci, co pewien czas się całowaliśmy, coś mówiliśmy, sam nie wiem co. Za hotelowym oknem zegar wybił północ. It wstała i zgasiła światło. W pokoju nie było całkiem ciemno, bo na sąsiednich budynkach pulsowały neony. W ich kolorowych światłach widziałem, jak It wolno zdejmuje bluzeczkę, zsuwa spódnicę, rajstopy... Podeszła do mnie siedzącego jak idiota na łóżku i wtuliła się.

Poczułem pod opuszkami palców jej delikatną skórę. Przesuwałem wolno ręce wzdłuż jej pleców, a It głaskała mnie po głowie. Potem się pochyliła i znów się całowaliśmy. Powolutku rozpinalem jej biustonosz, a gdy mi się to udało, It westchnęła głęboko i od tej chwili jej oddech stał się nierówny, coraz bardziej spazmatyczny, a ja wolniutko, milimetr po milimetrze zsuwałem jej majteczki, aż osunęły się na podłogę. It zaczęła rozpinąć mi koszulę, ale kiepsko jej to szło, więc wstałem i pospiesznie pozbyłem się munduru. Staliśmy przytuleni do siebie, nadzy. Poczułem, że drobna, delikatna dłoń It wędruje w dół po moim biodrze, a potem dotknęła tego, do czego zmierzała, i głaskała delikatnie, jakby chciała się z tym oswoić i zaprzyjaźnić. Ułożyliśmy się na łóżku. Otworzyła się przede mną, a ja nagle poczułem się onieśmielony, sam nie wiem dlaczego.

— No chodź — szepnęła It. — Chodź wreszcie.

Nie wiem, jak długo ani ile razy kochaliśmy się otuleni światłami migających neonów. Nic nie istniało. Tylko ona i ja. Nawet nie zauważyłem, kiedy za oknem pojaśniało.

— Musisz już iść — powiedziała It.

— Nie wrócę tam. Uciekniemy gdzieś razem.

— To nie ma sensu — odparła i pogłaskała mnie po głowie. — Odpękasz swoje i będziemy razem, a tak złapią cię, wsadzą za dezercję i będę czekała Bóg wie jak długo.

— Chodź — powiedziałem, przyciągając ją do siebie.

Spojrzała na zegarek, który był jedyną częścią garderoby, jaką miała na sobie.

— Jest dwadzieścia pięć po piątej. Musisz iść. Jestem córką oficera. Znam się na tym.

Niechętnie wstałem z łóżka i poszedłem pod prysznic. Znów chciałem się z nią kochać, ale wypchnęła mnie z łazienki, pomogła mi się ubierać,

a potem zadzwoniła do recepcji, żeby nam wezwali taksówkę. Gdy zbiegliśmy po schodach, taksówka już czekała. Była za dwie szóstą. Podałem taksówkarzowi adres Zmechu. Spojrzał na zegarek i dodał gazu. Przytuliliśmy się do siebie i patrzyliśmy w okno na budzące się miasto. Taksówkarz zerknął na nas przez wsteczne lustro.

— Pod bramę czy pod mur? — zapytał.

— Pod mur.

Podjechał w miejsce idealne. Spokojna uliczka, pusto, obok zakręt. Wyskoczyliśmy z It z samochodu. Stanęliśmy i zagapiliśmy się na mur. Był za wysoki jak na moje możliwości. Taksiarz podszedł do nas i zrobił z dłoni tak zwany koszyczek.

— Dawaj nogę.

— Dzięki — powiedziałem.

— Nie ma sprawy. Też byłem w woju.

Chwycił moją stopę i mocno mnie podrzucił. Jeszcze ujrzałem patrzące na mnie niebieskie oczy It i poleciałem na drugą stronę.

Od strony placu apelowego dobiegał tupot buciorów. Rzuciłem się na oślep w tę stronę, nie dbając o to, czy mnie ktoś widzi czy nie. Dotarłem do węgła budynku nr 2 i ostrożnie wyjrzałem. Na placu ustawiały się pododdziały, ale naszej kompanii jeszcze nie było. Stałem za węglem i czekałem. Wreszcie nadeszli. Minął mnie pierwszy pluton, drugi, potem zapatrzony w ogólnowojskową przestrzeń podporucznik Żuraw, a gdy dotarł do mnie ostatni szereg naszego, wyskoczyłem zza węgła i dołączyłem do Dwillego. Ucieszył się na mój widok.

— Na razie nikt się nie połapał — szepnął. — Na zbiórce powiedziałem, że rzygasz w kiblu.

Kompania skręciła w prawo i wolno, dostojnie wkraczała na plac apelowy. Maszerowaliśmy równo, najpierw przed siebie, potem w miejscu,

aż stanęliśmy.

— No i jak było? — spytał Dwilli.

— Nie powiem ci.

— Nawet mnie, najlepszemu kumplowi?

— Tego się nie da opowiedzieć, Dwilli.

— Baaaczność! — wrzasnął komendant szkoły.

Wyprostowałem się dumnie. Nikt z nich nie przeżył dziś takiej nocy jak ja.

Rozdział 10

Telewizor



Następnego dnia zadzwonili z biura przepustek, że czeka na mnie jakaś dziewczyna.

— To ona — powiedziałem do Dwillego. — Chodź, zobaczysz, jak wygląda.

I popędziliśmy obaj przez plac apelowy.

W biurze przepustek na ławeczce siedziała sobie skromnie It, a mający akurat tam służbę szeregowcy gapili się na nią pożądliwie. Obok It stał spory pakunek, na który początkowo nie zwróciłem uwagi. Przeszliśmy do pokoju, który był przeznaczony do przyjmowania takich niezapowiedzianych wizyt. It przytuliła się do mnie, a potem całowaliśmy się długo, zapominając o całym świecie oraz Dwillim, który siadł sobie na stojącej w kącie ławeczce i cierpliwie czekał, aż skończymy. Później gadaliśmy bez ładu i składu, It wypytywała Dwillego, kim jest, gdzie mieszka, czy ma dziewczynę, która za nim tęskni, na co Dwilli, który z natury był skryty, odpowiadał wymijająco, ale żartobliwie. Tak się rozgadali ze sobą, że zacząłem być zazdrosny. W końcu przyłazł podoficer dyżurujący na biurze przepustek i ogłosił koniec wizyty.

— Przyniosłam coś dla ciebie — powiedziała It, pokazując mi ów pokaźny pakunek.

— Co to jest?

— Telewizor. Taki mały, rosyjski, nazywa się Junost.

— Telewizor? — zdziwiłem się. — A po co mi telewizor?

— Żebyś sobie patrzył i żeby ci było wesoło — powiedziała It, wspinając się na palce i całując mnie w usta. — I tak w ogóle.

Odwróciła się i pomaszerowała do drzwi. Usłyszeliśmy zza ściany pełne żalu westchnienie szeregowców mających służbę, a potem szybkie kroki It na chodniku. Odmeldowaliśmy się i ruszyliśmy w stronę kompanii. Niosłem ten jej telewizor i czułem się jak kretyn.

— Co jej przyszło do głowy, żeby mi dawać telewizor? — wściekałem się.

— Przyda się — powiedział Dwilli. — Pomoże mi rozwiązać pewien problem emocjonalny. Nazwę też ma ładną, „junost” znaczy „młodość”. Czy jest coś piękniejszego od młodości?

Nie powiedział, do czego mu się przyda ruski telewizor, a ja nie pytałem. Myślałem o tym, że It jedzie teraz w stronę dworca Wrocław Główny, i tak strasznie chciałem być z nią. Dotarliśmy na kompanię, schowaliśmy telewizor pod łóżko i pomaszerowaliśmy do naszego kibla, by po raz kolejny udawać, że go pucujemy na błysk.

We czwartek cały dzień ganiano nas po poligonie w ramach tak zwanych ćwiczeń taktycznych. Oczywiście nie należeliśmy do tych, którzy się czymś wyróżnili. Godzinę przesiedzieliśmy ukryci w lasku, a gdy nas stamtąd wypędzono, znaleźliśmy sobie azyl w opuszczonej, wykopanej nieco na uboczu transzei, gdzie z nudów rozważaliśmy różne problemy intelektualne, ze szczególnym uwzględnieniem *Procesu* Kafki.

W piątek rano mieliśmy zajęcia ze starym frontowcem, który lubił długich. Przez godzinę mówił mętnie, ale nie wiem o czym, bo co chwila przysypiałem. Potem przeszedł do zagadnienia wykorzystania wiedzy teoretycznej na polu walki i niespodziewanie zaczął dowodzić, że Państwowa Wyższa Szkoła Wojsk Zmechanizowanych jest jedną z najlepszych uczelni wojskowych na świecie. Wytrzeszczyliśmy na niego gały, bo mieliśmy o Zmechu całkiem przeciwne zdanie. Widząc, że nie znajduje w naszym plutonie zrozumienia, stary wiarus rozzłościł się i kazał Kwiatkowskiemu sprawdzić, czy nie ma kogoś na korytarzu. Nikogo tam nie było. Frontowiec sięgnął za szafę i wydobył stamtąd potwornie zakurzone zdjęcie w ramkach i za szkłem. Usunął kurz rękawem munduru i pokazał nam je z tryumfem. Przedstawiało ono nieznanego nikomu młodego uśmiechniętego podporucznika.

— To jest... — tu stary frontowiec wymienił nazwisko. — W czasie wojny prał Arabów, aż dudniło.

— Arabów? — zdziwił się niejaki Kuciata, który zawsze chciał wszystko wiedzieć dokładnie. — Jakich Arabów?

— Jako major armii izraelskiej. — Stary frontowiec mimo woli ściszył głos. — Uczyłem go. Od początku wyróżniał się zdolnościami taktycznymi. Wyjrzyj no, Kwiatkowski, czy nikogo tam nie ma.

Na korytarzu nadal nikogo nie było, więc frontowiec znów sięgnął za szafę i wydobył jeszcze bardziej zakurzone zdjęcie przedstawiające innego podporucznika.

— To jest... — znów wymienił nazwisko, ścierając równocześnie kurz drugim rękawem. — Jako dowódca artylerii rozwalał w wojnie sześciodniowej sowieckie czołgi niczym tekturowe pudełka.

Mówił to z wielkim entuzjazmem, jakiego nikt by się nie spodziewał po człowieku, który osobiście przeszedł piechotą szlak bojowy od Lenino do

Berlina.

— A ten — powiedział, wyjmując zza innej szafy trzecią fotografię — jako dowódca baterii przeciwlotniczych tak walił w sowieckie myśliwce, że aż pierze leciało. Wyjrzyj no, Kwiatkowski.

Kwiatkowski wyjrzał i zameldował, że nikogo nie ma.

— Wszyscy trzej byli tu u nas prymusami — mówił stary frontowiec. — Ukończyli studia z wyróżnieniem. Potem, jak się okazało, że walczymy z syjonizmem, dostałem rozkaz, żeby te portrety wyrzucić, ale schowałem je za szafą. Czasem wyjmuję i pokazuję, żeby nowe pokolenie zobaczyło ludzi, którzy rozslawili naszą uczelnię na całym Bliskim Wschodzie.

Ostrożnie powpychał portrety za szafy, po czym oz- najmił:

— Koniec zajęć!

I uśmiechnął się jak uczeń, który właśnie spłatał figla radzie pedagogicznej.

My też się do niego uśmiechnęliśmy, choć do tej pory raczej nikt, poza skończonymi lizusami, nie uśmiechał się do trepów.

Dopiero tego dnia po południu wydobyliśmy spod łóżka telewizor i obejrzeliliśmy go dokładnie. Był nieduży, ale całkiem zgrabny.

— Postawimy go tam w kącie, żebyśmy go mieli w zasięgu wzroku — orzekł Dwilli.

— A to nie jest zabronione?

— Pytałem. Wyobraź sobie, że nie jest. Radioodbiorników nie wolno mieć, bo jeszcze żołnierze zaczęliby słuchać Wolnej Europy, ale na temat telewizorów nic w regulaminie Zmechu nie ma. Znaczy wolno.

— I tak nie dadzą nam oglądać.

— Nie o to chodzi — rzekł Dwilli. — Codziennie o 19.30 gonią nas do świetlicy na *Dziennik Telewizyjny*. Szlag mnie trafia, że gonią i każą się

gapić na te bzdury. A teraz, kiedy mamy telewizor w sali, nie będą nas mogli gonić.

— Oglądać i tak będzie trzeba.

— Włączyć telewizor — uściślił Dwilli. — Włączyć włączymy, a co do oglądania, to całkiem inna rzecz.

Nie byłem pewien, czy ma rację. W końcu rzecz w przymusowym oglądaniu *Dziennika*, a nie w tym, gdzie się to robi. Ale nie spierałem się z Dwillim, niech ma swoją przyjemność.

Problem *Dziennika* ujawnił się już tego wieczoru. Punktualnie o 19.25 dyżurny na korytarzu się rozdarł:

— Na *Dziennik*... na korytarzu... w dwuszeregu... zbiórka!

Bo żołnierz, by obejrzeć *Dziennik Telewizyjny*, musi się najpierw ustawić w dwuszeregu. Oczywiście, prawda?

Z korytarza dobiegało zaciekle tupanie, a my z Dwillim włączyliśmy telewizorek, rozsiedliśmy się wygodnie na krzesłach i ani myśleliśmy wziąć udział w zbiorowym marszu do świetlicy. Nasi koledzy z sali przez chwilę wahali się, co robić, ale ostatecznie strach przed podpadnięciem zwyciężył i wypadli na korytarz. Dobiegał stamtąd nerwowy tupot, a my z Dwillim oglądaliśmy sobie w spokoju zakończenie *Dobranocki* z udziałem *Piaskowego Dziadka*, zwanego także nudnym tetrykiem z NRD. W czasie napisów końcowych drzwi sali otworzyły się gwałtownie i pojawił się w nich Kuciata, który tego dnia był dyżurnym kompanii.

— Co jest?! — wrzasnął. — Na dziennik!

— Właśnie zabieramy się do oglądania. — Dwilli wskazał na telewizorek.

Kuciata zagapił się głupio, a że wpieniało nas, że tak nad nami stoi, Dwilli powiedział życzliwie, ale do- bitnie:

— Spierdalaj.

Kuciata był tak zdezorientowany, że spierdolił. W tym momencie po raz pierwszy ucieszyłem się, że It podarowała mi telewizor.

Dyżurny kompanii nie miał zamiaru się od nas odczepić. Po chwili wrócił z szefem kompanii, sierżantem sztabowym Miarką.

— Co to, kurwa, bunt?! — wrzasnął na nas Miarka, który był człowiekiem konkretnym.

— A gdzie tam, obywatelu sierżancie. — Dwilli grzecznie wstał z krzeselka i przyjął postawę nieco zbliżoną do zasadniczej. — Sprawa przedstawia się tak: jest rozkaz oglądać *Dziennik Telewizyjny* i my go właśnie oglądamy.

Miarka popatrzył na ekran telewizorka, gdzie towarzysz Gierek przyglądał się krowie, i podrapał się w głowę.

— Może oglądacie, a może nie oglądacie — rzekł filozoficznie. — Ale jeśli nawet oglądacie, to nie w miejscu do tego przeznaczonym.

— Sprawdziłem w regulaminie szkoły — powiedział Dwilli. — Nie ma tam ani słowa o tym, gdzie ma być oglądany *Dziennik Telewizyjny*.

— Aha — powiedział Miarka.

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co teraz powiedzieć, aż wpadł na pomysł, który najwyraźniej uznał za genialny.

— A na ten telewizorek to macie, dajmy na to, zezwolenie? — spytał pewien, że żadnego zezwolenia nie mamy, bo gdybyśmy o nie wystąpili, nasze pismo musiałyby przejść przez jego ręce.

— W regulaminie szkoły jest mowa o wyjątkowym udzielaniu zezwolenia na posiadanie radioodbiornika. O telewizorach nic tam nie ma — wyjaśnił Dwilli.

Sierżant sztabowy Miarka nie znał na tyle regulaminu szkoły, żeby wiedzieć, czy Dwilli mówi prawdę, czy nie. Dlatego nic już nie mówiąc, zrobił w tył zwrot i wyszedł, a Kuciata za nim.

Znów się rozsiedliśmy na krzesłach i zagapiliśmy na *Dziennik*. Oglądany w naszej sali wydał mi się jakiś ciekawszy, bardziej dynamiczny, nawet wiadomości były jakby odrobinę lepsze. To znaczy, te z zagranicy, bo wiadomości dotyczące Polski były zawsze znakomite. Oglądanie dziennika wprowadziło nas w dobry humor i gdy prosto z sali poszliśmy do naszego kibla, czyścić muszle, śpiewaliśmy chórem sprośne piosenki ludowe oraz przyśpiewki alkoholowe, aż przyleciał sierżant Miarka i kazał nam zamknąć mordę, więc już ciszej zaczęliśmy śpiewać utwory patriotyczne.

Po dwóch dniach koledzy z sali zauważyli, że nikt nas nie wsadza do paki za oglądanie *Dziennika* w sali, i przyłączyli się do nas. Zrobiło się jeszcze przyjemniej, bo mogliśmy komentować bieżące wydarzenia polityczne oraz wygląd pojawiających się na ekranie osób. Podporucznik Żuraw i sierżant Miarka udawali, że nie przyjmują mojego telewizora do wiadomości. Wkrótce zaczęli się u nas pojawiać koledzy z innych sal. Przychodzili wcześniej i oglądali *Pszczółkę Maję*, *Piaskowego Dziadka* i inne *Dobranocki*. Działały na nich kojąco. Na koniec w świetlicy oglądała *Dziennik* zdecydowana mniejszość, a w naszej sali kłębił się tłum żołnierzy, którym nie przeszkadzało, że muszą oglądać *Dobranockę* i *Dziennik* na stojąco oraz że ekran telewizora Junost jest mały i z pewnej odległości w ogóle nie widać nie tylko *Piaskowego Dziadka*, ale nawet wypełniającego sobą cały ekran spikera. To obudziło czujność trepów. Kilka razy w czasie dziennika zajrzał do naszej sali dowódca kompanii, wszyscy wtedy zrywali się z miejsc i przyjmowali postawę zasadniczą, ale porucznik Kujawa nic nie mówił, gestem nakazywał nam, byśmy usiedli, i wychodził. Żołnierze z dalszych sal zaczęli przychodzić jeszcze przed *Dobranocką*, żeby zająć lepsze miejsca, a przy okazji załapać się na końcówkę nadawanego o tej porze programu przyrodniczego. Tylko dwa

krzesła ustawione tuż przed telewizorem były nietykalne. Co wieczór zasiadaliśmy na nich z dumą Dwilli i ja.

Jednak to, co piękne, nie trwa nigdy zbyt długo. Po trzech tygodniach o dziewiętnastej piętnaście wparował do naszej sali sierżant Miarka i odczytał nam nowy rozkaz komendanta szkoły zabraniający żołnierzom posiadania telewizorów. Następnie brutalnie przerwał oglądanie *Piaskowego Dziadka* i zabrał telewizor do swojego gabinetu.

Na to już nic nie mogliśmy poradzić. Napisałem do It o tym, co się stało, i moja dziewczyna zareagowała wzorowo. Napisała do komendanta szkoły, że to jej telewizor, który mi tylko pożyczyła, a w zaistniałej sytuacji nie zgadza się, żeby w odbiornik marki Junost gapił się nieznany jej osobiście sierżant Miarka, i domaga się stanowczo zwrotu wyżej wymienionego (telewizora, nie sierżanta). Mieliśmy nadzieję, że dostanę rozkaz dostarczenia telewizora właścicielce i przy okazji spędzę z nią kolejną upojną noc.

Komendant szkoły nie wykazał jednak zrozumienia dla moich potrzeb erotycznych. Odpisał It, że nie ma przeszkód, by się zgłosiła po telewizor w godzinach urzędowych. It się zgłosiła, mogliśmy się przy okazji zobaczyć, ale starczyło nam czasu tylko na bardzo, bardzo długi pocałunek. Nic więcej.

Sprawa z telewizorem zmieniła naszą pozycję w kompanii. Nadal byliśmy szwejami, ale równocześnie uznano Dwillego i mnie za element zagrażający dyscyplinie wojskowej i postanowiono nas złamać. Ganimano nas po przyszkolnym minipoligonie, kazano bez końca padać i wstawać, wpuszczano w masce pgaz. do zadymionego pomieszczenia i ryglowano drzwi. Oprócz naszego kibla przydzielono nam również sracz na drugim końcu korytarza. Nie było lekko, ale wiedzieliśmy, że wykonamy każdy

rozkaz, zniesiemy wszystkie kopniaki w tyłek, a z najgorszego błota wstaniemy z miłym uśmiechem na twarzy i zapytamy:

— Co teraz, obywatelu poruczniku?

Po trzech dniach podporucznik Żuraw miał nas dość i przekazał dręczenie sierżantowi Miarce. Miarka wytrzymał dwa dni i przekazał nas Kwiatkowskiemu, który w tym czasie zdążył awansować na starszego kaprała. Kwiatkowskiego olewaliśmy równo. Najpierw poleciał na skargę do Żurawia, ale ten powiedział mu, że ma sobie sam z nami poradzić, więc Kwiatkowski przekazał nas Kuciacie, który był dowódcą naszej drużyny. Kuciata wyprowadził nas na minipoligon i wydał rozkaz:

— Padnij!

— Sam sobie padnij — odpowiedział Dwilli. — Masz dwa wyjścia, Kuciata: albo natychmiast przestajesz udawać trepa, albo jak wyjdiesz z woja, to dostaniesz od nas taki wpierdol, jakiego jeszcze nikt nigdy nie dostał.

Kuciata był o głowę wyższy od Dwillego, ale mój koleżka przemawiał takim tonem, że zrobiło to na dowódcy drużyny wrażenie.

— Nie będę udawał trepa — rzekł. — I co teraz?

— Znamy takie zaciszne miejsce w lesku niedaleko — powiedział Dwilli. — Siądziemy tam sobie, zajaramy i pogadamy o życiu. Stoi?

— Może być — zgodził się Kuciata.

I tak przesiedzieliśmy w lesku dziesięć dni, opowiadając sobie różne, przeważnie zmyślane, zdarzenia z życia naszego i naszych przyjaciół. Przesiedzielibyśmy nawet miesiąc, gdyby Kuciata nie był armii potrzebny do czego innego. Gnojenie nas dobiegło końca.

Przygody plutonu E



It rozgościła się w moim życiu na całego. Pisała do mnie długie, poetyckie listy, a ja regularnie wysyłałem do niej płomienne epistoły, pełne niedwuznacznych aluzji. Dwilli początkowo się ze mnie śmiał, a potem nie wytrzymał i zaczął uczestniczyć w mojej epistolarnej erupcji uczuć: pisał listy razem ze mną i niejeden fragment, który wzruszył siedzącą w swoim pokoiku w Świnoujściu It do łez, pochodził od mego przyjaciela. Dwilli umiał pięknie pisać do kobiet, nawet jeśli nie był nimi osobiście zainteresowany. Te listy sprawiły, że coraz bardziej tęskniłem za It, a ona za mną. Niestety nie było jak się spotkać. Ciężył na mnie nieustanny zakaz opuszczania koszar, a w dodatku podporucznik Żuraw znalazł sobie w naszym plutonie kilku kapusiów, którzy śledzili każdy krok wszystkich pozostałych, a mój i Dwillego w szczególności. Byli to ludzie wykształceni, odcytani w najszlachetniejszej literaturze, a prymitywny trep bez trudu owinął ich sobie wokół palca. Służyli mu, łasili się, podlizywali, kapowali, a gdyby tego zażądał, codziennie o świcie całowaliby go w dupę. Obrzydliwość.

Sytuacja była beznadziejna, ale pojawiło się światełko w tunelu. Pewnego dnia wlokąc się przez koszary (nauczyliśmy się z Dwillim znikać

z oczu i łązić w kółko po naszym więzieniu, udając, że maszerujemy gdzieś w niezwykle ważnej sprawie), zobaczyliśmy wykonany odręcznie plakat. Nieznany nam trep w randze kapitana zawiadamiał, że odbędzie się przegląd artystycznych zespołów żołnierskich, a konkretnie teatrów, kabaretów, grup muzycznych itp. Żołnierze, którzy zorganizują te zespoły, zostaną nagrodzeni pięciodniowym urlopem. Przeczytaliśmy dwa razy ogłoszenie, a potem pomaszerowaliśmy do Żurawia i oznajmiliśmy mu, że chcemy zrobić kabaret. Podporucznik był mocno sceptyczny wobec naszego pomysłu i powiedział, że inni też mają prawo się zgłosić, a wtedy on zdecyduje, komu powierzy tak odpowiedzialne zadanie. Wróciliśmy do czyszczenia kibla, a Żuraw zaczął szukać kogoś, kto mu robi kabaret, ewentualnie teatr. Nikt się nie zgłaszał. Nawet kapusie nie chcieli robić kabaretu, bo po co się wychylać, a Kwiatkowski, który twierdził, że on ewentualnie mógłby, wykazał się kompletnym brakiem możliwości intelektualnych. Zostaliśmy tylko Dwilli i ja. Obaj mieliśmy pustkę w głowie i czekaliśmy na błysk geniuszu. I następnego dnia Dwilli taki błysk zobaczył.

— Posłuchaj — powiedział. — Wystąpi cały pluton, ale tylko my będziemy mieli role.

— Chyba się nie zgodzą.

— Nie będą mieli nic do roboty. Tylko maszerować w kółko i śpiewać piosenki wojskowe. Te same, które śpiewają, idąc na plac apelowy, *Zosieńkę* i inne takie. Maszerować umieją. Śpiewać jako tako też.

— A dokąd oni będą tak szli?

— Muszę ci opowiedzieć od początku. To będzie się nazywało „Przygody plutonu E”.

— E? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Egzekucyjnego — wyjaśnił Dwilli. — Ten pluton idzie przez świat, szukając kogoś, na kim mógłby dokonać egzekucji, ale jest po wojnie i nikogo nie znajduje. W końcu pluton dochodzi do końca świata. Dzieli się na dwa pododdziały, które stają naprzeciwko siebie i wzajemnie dokonują na sobie egzekucji.

— Wątpię, żeby trepom się to spodobało.

— Artysty nie obchodzi, co sobie pomyśli odbiorca. Przekazuje swoją wizję, czy odbiorca jej pragnie, czy nie.

— Ale tu chodzi o urlop.

— Urlop ma być przyznany za samo zrobienie spektaklu. O jego przesłaniu ideowym nic na plakacie nie napisali.

Nie wydawało mi się, żeby miał rację. Z drugiej strony jego wizja bardzo mi się podobała.

— Zorientują się w czasie prób i w ogóle nie dopuszczą do spektaklu.

— Gównu się zorientują. Próby będą polegać na tym, że pluton chodzi i śpiewa. Naczelnym zapiewająką zrobimy Kwiatkowskiego. Dureń będzie się darł jak opętany. Nasze role przygotowujemy sobie tu, w kiblu. Na czele plutonu E idą Napoleon i jego wierny dobośz. Ja zagram Napoleona, a ty dobosza.

— A ja nie mógłbym Napoleona?

— Nie, bo ja jestem niższy.

Po to mu był potrzebny Napoleon. Ale niech będzie. Dobosz to też jest ktoś.

— Rzecz się dzieje podczas odwrotu spod Moskwy — kontynuował Dwilli. — Całą armię trafił szlag, został tylko pluton egzekucyjny, który miał rozstrzeliwać dezertków, ale dezertkami okazali się wszyscy. Honor uratowali tylko polegli.

— Trochę smutne jak na kabaret.

— Bo to będzie kabaret awangardowy. Wszystko jest poważne i nikt się nie śmieje.

— Aha.

— Napoleon opowiada, że zmarnował swoje życie. Ciągłe włóczył się po świecie i zabijał, a to Włochów, a to Hiszpanów, a to Austriaków, a to Rosjan. W końcu zaczęło go to nudzić, ale sprawy zaszły tak daleko, że już nie mógł przestać. A przecież na świecie jest wiele rzeczy sprawiających o wiele większą satysfakcję.

— A dobośz? Mówi coś?

— Oczywiście. Nie zgadza się z Napoleonem. Mówi, że był szczęśliwy, gdy stał u boku cesarza i bębniąc, wzywał żołnierzy do boju. Nie wyobraża sobie nic piękniejszego na świecie.

— No to ciężki kretyn z niego.

— To kwestia punktu widzenia. W każdym razie teraz, gdy zmierzają obaj do kresu, dobośz czuje się szczęśliwy i dziękuje Bogu, że obdarzył go tak wspaniałym życiem, w którym niósł wysoko ich sztandar. O cholera, o tym zapomniałem!

— O czym?

— O sztandarze. Dobosz z przodu ma bęben, a z tyłu do pleców przywiązano mu drzewce sztandaru. Musimy zrobić sztandar.

— A ileż to roboty? Wystarczą trzy kawałki kolorowego płótna.

— To nie może być francuski sztandar.

— Dlaczego?

— Bo wtedy spektakl nie będzie miał charakteru uniwersalnego. Pluton E musi mieć swój sztandar. Niepodobny do żadnego innego.

Zaczęliśmy się zastanawiać, jaki to ma być sztandar. Tym razem ja wykazałem się odrobiną geniuszu.

— Słuchaj, Dwilli — powiedziałem. — W zeszłym roku na Famie w Świnoujściu mój przyjaciel, awangardowy rzeźbiarz Paweł Freisler, chodził po mieście ze swoim osobistym sztandarem: białym w czarne kropki.

— Piękny! — zachwycił się Dwilli. — Pasuje do naszego plutonu jak ulał. Jak myślisz, zgodzi się, żeby ten sztandar znów załopotał?

Tego nie byłem do końca pewien.

— To świetny artysta, ale dziwny facet — powiedziałem. — Może mieć różne pomysły. Na przykład, że udostępni sztandar, ale to on osobiście będzie go niósł. Albo żeby z prośbą o udostępnienie sztandaru zwrócił się do niego w stosownym piśmie minister obrony narodowej, a on wywiesi to pismo w jakiejś galerii... a potem w innych galeriach w kraju i za granicą.

— To niedobrze — zmartwił się Dwilli. — Lepiej wymyślmy inny sztandar.

Myśleliśmy dzień, drugi, trzeci, obejrzelismy w bibliotece atlas z flagami różnych krajów, potem książkę z herbami i nic. Żaden inny sztandar nie pasował do plutonu E.

— Słuchaj — powiedział Dwilli. — Czy to będzie bardzo przykre dla twojego sumienia, jeśli użyjemy białego sztandaru w czarne kropki, a temu Freislerowi nic nie powiemy?

— Będzie przykre, ale ostatecznie...

— Przecież on się nigdy o tym nie dowie — kusił Dwilli. — A gdyby się nawet dowiedział, powinien się ucieszyć. Na plakacie napiszemy wielkimi literami: projekt sztandaru Paweł Freisler. To jak?

— Niech będzie — zgodziłem się, choć nie miałem czystego sumienia.

Napisałem długi list do It, która widziała na Famie sztandar Freislera. Prosiłem, żeby wykonała jak najdokładniejszą kopię i przysłała albo dla

większego bezpieczeństwa przywiozła mi go do Wrocławia. Przy okazji opisałem jej cały spektakl, tak jak go Dwilli wymyślił.

Rozpoczęliśmy próby i już następnego dnia zaczęła mnie męczyć pewna kwestia. Myślałem o tym przez cały dzień, a następnego postanowiłem pogadać z Dwillim jak przyjaciel z przyjacielem.

— Słuchaj — powiedziałem. — Czy ten dobosz musi być umundurowany?

— Oczywiście — odparł Dwilli. — Jakżeby inaczej.

— A czy to nie mógłby być jakiś inny rodzaj dobosza?

Popatrzył na mnie jak na wariata.

— Możesz mi wyjaśnić, o co ci konkretnie chodzi?

— Mówiłem ci, że nienawidzę mundurów. Od paru miesięcy siedzę zamknięty w tych szmatach jak w jakimś więzieniu. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł je zdjąć choć na czas spektaklu.

— Ale na scenie będziesz miał inny mundur. Napoleoński.

— Mundur to mundur.

Dwilli się zamyślił.

— Twoje podejście jest bez sensu — orzekł. — Człowiek rodzi się w jakiejś rodzinie, zaczynają go uczyć mówić w jakimś języku...

— I co z tego?

— To już jest mundur. Nie rozumiesz? Wychowuje się w jakimś kraju, który każą mu kochać, w jakiejś kulturze, którą uważa za swoją, rodzice prowadzą go do swojego kościoła, gdzie go uczą, w co ma wierzyć...

— To też jest twoim zdaniem mundur?

— A co innego? Ale to wszystko głupstwa. Najgorszym mundurem jest twoje ciało.

— Moje ciało to ja.

— Na pewno? Nie wydaje ci się czasami, że ono jest czymś innym, nawet trochę obcym, że ty, ten prawdziwy, jesteś gdzieś w środku uwięziony w tym niby to twoim ciele?

Nie patrzyłem na to od tej strony. Ale teraz, gdy Dwilli o tym powiedział, pomyślałem, że ma rację.

— Z biegiem lat twoje ciało się starzeje, coraz gorzej ci służy, a ty siedzisz w środku i nie możesz nic na to poradzić. W końcu, krzycząc z rozpaczy, razem z nim znikasz na zawsze.

— A jak to się ma do naszego spektaklu?

— Nie ma znaczenia, czy masz na sobie to, co ci podarowało Ludowe Wojsko Polskie, czy nie. Nosisz swój mundur od narodzin do śmierci.

Przygębilo mnie to i bez dalszej dyskusji przyjąłem rolę napoleońskiego dobosza.

Po tygodniu zjawiała się It, przywiozła sztandar starannie zwinięty i schowany w dużym blaszanym pudełku po ciastkach oraz płytę zespołu The Doors. Na płycie był utwór *Unknown Soldier*, w środku którego słyszeć marsz plutonu egzekucyjnego, wydawane po angielsku komendy, a na końcu salwę. Dwilli był zachwycony. Oczywiście ani sztandaru, ani płyty, ani scenariusza nikomu nie pokazaliśmy, tylko przystąpiliśmy do oficjalnych prób.

Nadzór nad naszą działalnością powierzono sierżantowi Miarce, który generalnie działalność teatralno-kabaretową miał w dupie, a życzenie tylko jedno: „żeby nie było z tego jakiego burdłu”. Było to spójne z życiową filozofią sierżanta, który, od kiedy znalazł się w koszarach, tropił burdle, wykrywał burdle i likwidował burdle, a przede wszystkim starał się burdli unikać i zachowywać spokój. Oficjalne próby były okropnie nudne. W rogu placu apelowego Dwilli narysował kredą na asfalcie niezbyt duży prostokąt i nasz pluton łąził po nim w kółko, rycząc: „Przyjedź, mamu, na przysięgę.

Zaproszenie wysłał szef...”. Albo: „Tylko w polu biały krzyż nie pamięta już, kto pod nim śpi”. Albo: „Witaj nam, Polsko. Myśmy są wojsko białoczerwone”. Albo co innego.

Pluton włókł się noga za nogą i nie wykazywał żadnego entuzjazmu, co Dwillemu nie przeszkadzało, bo entuzjazmu scenariusz nie przewidywał. Po jakimś czasie oddaliśmy kolegów śpiewaków w ręce Kwiatkowskiego, a sami udaliśmy się do kibla, gdzie pracowicie ćwiczyliśmy nasze dialogi.

Oprócz narzekania na zmarnowane na polach bitew życie Napoleon wspominał różne kobiety, z którymi miał do czynienia, i dochodził do wniosku, że wszystkie były do siebie podobne, chciały od niego władzy i pieniędzy, z wyjątkiem jednej, która spędzając perwersyjne noce z cesarzem, poświęcała się dla swojej ojczyzny, Polski. W odpowiedzi dobosz wspomina jedyną markietankę, z którą miał przez te lata do czynienia, była to istna diablica, tyle że zaraziła go francą, podobnie jak setki, a może tysiące innych żołnierzy. W drugiej części cesarz wspomina swoich generałów, którzy byli z reguły skończonymi idiotami i gdyby ich słuchał, klęska nastąpiłaby ładnych parę lat wcześniej. Dobosz przeciwnie, wychwala swojego dowódcę, który zawsze kazał mu bębnić, kiedy należało. Raz tylko pod Borodino bęben nasiąkł wodą, jego dźwięk nie był taki, jak powinien, i wszyscy wiedzą, jak to się ostatecznie skończyło. Krótko mówiąc, cesarz uważał, że bitwy wygrywa się inteligencją i sprytem, a dobosz, że dzięki stanowczemu, miarowemu i przymuszającemu do poświęcenia się za cesarza bębnieniu. Tak to mniej więcej wyglądało.

W tym czasie It latała po Wrocławiu, starając się wypożyczyć dla nas stroje cesarza i dobosza, co się ostatecznie udało.

Nadszedł dzień konkursu. Nasz spektakl miał się odbyć po obiedzie. Gdy inne pododdziały ze spokojem oddawały się konsumpcji, ustawialiśmy na

scenie piętrowe ogólnowojskowe łóżka, między którymi miał maszerować pluton E. Potem zaczął się spektakl. Pierwsza piosenka wykonana przez naszych maszerujących kolegów („Witaj nam, Polsko. Myśmy są wojsko biało-czerwone”) przeszła bez efektu. Pół sali ziewało i starało się znaleźć wygodną pozycję, by zdrzemnąć się godzinę. Ale pojawienie się Dwillego w stroju Napoleona i mnie z wielkim bębniem przed sobą i drzewcem od białego sztandaru w czarne kropki przywiązany do pleców zrobiło na widowni wrażenie. Dalej napięcie nieustannie rosło, aż wreszcie, gdy pluton podzielił się na dwa pododdziały, które wycelowały do siebie (nie było to ćwiczone, ale koledzy stanęli na wysokości zadania), a następnie rozległ się fragment utworu zespołu The Doors, na widowni zapadła martwa cisza. Rozległa się salwa i równocześnie zgasło światło. Staliśmy w ciemności i po chwili rozległy się narastające, spazmatyczne oklaski. Zapaliło się światło i oświetliło komendanta szkoły, który próbując ogarnąć wzrokiem widownię, wrzeszczał:

— Który tu, kurwa, klaszcze?!

Oklaski natychmiast umilkły. Kłanialiśmy się z Dwillim znieruchomiełej widowni, a za naszymi plecami stali koledzy, którzy nie wiedzieli, czy wolno się kłaniać, czy nie, więc mimo woli przyjęli postawę zasadniczą. Potem zeszliśmy ze sceny i od razu zostaliśmy aresztowani. Wyprowadzano nas z sali. W scenicznych strojach cesarza i dobosza szliśmy przez plac apelowy w stronę stojącego na uboczu budynku aresztu. Zerwał się wiatr i przymocowany do moich pleców biały sztandar w czarne kropki załopotał radośnie w samym środku koszar. Wracający do swoich kompanii żołnierze unosili kciuki w górę, uśmiechali się do nas serdecznie, dając do zrozumienia, że było cudownie, fantastycznie, że nigdy nie było w Zmechu takiego awangardowego kabaretu i już nigdy nie będzie, a ja myślałem, że to jest mój najszczęśliwszy dzień w życiu. Wepchnięto nas do celi. Z ulgą

zdjąłem z siebie ciężki jak jasna cholera bęben, a Dwilli uwolnił mnie od sztandaru. Położyliśmy się na pryczach i w milczeniu przeżywaliśmy sukces.

Następny dzień spędziliśmy też w celi, nikt nas o niczym nie informował, ale jeść dawali. Leżeliśmy sobie na pryczach, było ciepło i przyjemnie. Zza okna dobiegało zaciekle tupanie pododdziałów, które gdzieś maszerowały, a nas to ani trochę nie obchodziło. Wieczorem profos kazał nam oczyścić kibel, ale byliśmy jedynymi więźniami, więc sprzątaliśmy właściwie po sobie, co zrobiliśmy szybko i z wielką wprawą.

Kolejny dzień upłynął podobnie i doszliśmy do wniosku, że areszt jest najlepszym z możliwych miejsc w koszarach. Byliśmy idiotami, że do tej pory nie robiliśmy nic, żeby tu trafić. Trzeciego dnia około południa wkroczył do naszej celi sierżant Miarka. Miał ponurą minę i podkrążone oczy. Zapewne ostatniej nocy pił długo, wytrwale i bez nadziei, że to cokolwiek zmieni.

— Jesteście oskarżeni o pacyfizm — rzekł od progu.

— To idiotyczne, obywatelu sierżancie — powiedział Dwilli.

— Nikt się was, Dwilli, o zdanie nie pyta — wyjaśnił Miarka. — Dowódca kompanii mówi, że to jest sprawa dla prokuratury wojskowej.

Milczeliśmy, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Teraz staniecie przed komisją — kontynuował sierżant. — Tylko żebyście się, kurwa, zachowywali przyzwoicie.

— Ale jest jeden problem, obywatelu sierżancie — powiedziałem. — Nie jesteśmy umundurowani.

Miarka jakby dopiero w tej chwili zauważył, że Dwilli nadal ma na sobie strój Napoleona, a ja napoleońskiego dobosza.

— Mam was doprowadzić bezzwłocznie — powiedział. — Komisja już się zbiera. Pójdziecie w tym, co macie na sobie. Może to nawet lepiej. To

będzie, jak to mówią, ten... no... kampus delecti.

— No a to? — Dwilli wskazał stojący w kącie sztandar i leżący pod nim bęben.

— To też jest kampus delecti — oświadczył Miarka. — Idziemy.

Wymaszerowaliśmy z aresztu. Dwilli niósł wysoko nad głową jeden *corpus delicti* — biały sztandar w czarne kropki, a ja dźwigałem drugi — bęben. Sierżant szedł kilka kroków przed nami z miną równocześnie zbolalą i marsową.

— No i co teraz? — szepnąłem do Dwillego.

— Człowieku, zostałeś w koszarach oskarżony o pacyfizm. Przecież to zaszczyt. Ciesz się.

No tak. To chyba rzeczywiście był powód do dumy.

Weszliśmy do budynku, w którym rezydował komendant szkoły, wdrapaliśmy się po schodach na pierwsze piętro i wprowadzono nas do dużej sali, gdzie głównym meblem był stół prezydialny, a główną ozdobą wiszący nad nim portret ministra obrony generała Jaruzelskiego. Komisja już czekała. Na środku siedział nieznany nam pułkownik, a obok niego inni wysocy oficerowie, wśród których rozpoznaliśmy kilku naszych wykładowców, między innymi starego frontowca, który siedział skromnie z boku i dłuwał zapalką w zębie. Pułkownik przez dłuższą chwilę przyglądał nam się z nieopisaną pogardą, a potem rzekł:

— Zhańbiliście mundur żołnierza Ludowego Wojska Polskiego.

Był to oczywisty absurd, bo podczas hańbienia akurat nie mieliśmy na sobie mundurów.

— Obraziliście honor żołnierzy, którzy bohatersko przeszli szlak bojowy od Lenino do Berlina.

Pułkownik wpadł w rodzaj egzaltacji i zaczął szczegółowo wyliczać, jak to naraziliśmy na szwank tradycję oręża polskiego, rozpoczętą bitwą pod

Grunwaldem, kontynuowaną przez Emilię Plater i Piotra Wysockiego, jak ośmieszyliśmy Romualda Traugutta i Andrzeja Potebnię, a zwłaszcza jak zdradziecko napluliśmy na grób generała Świerczewskiego, który za wolność waszą, a także naszą padł w Bieszczadach ścięty kulą takich jak my. Pułkownik wyliczył o wiele więcej nazwisk, których nie zdołałem zapamiętać, aż w końcu opadł z sił oraz ogólnowojskowego uniesienia i zamilkł, a tę chwilę ciszy wykorzystał stary frontowiec, który już wydłubał z zęba to, co mu tam przeszkadzało, i spytał śpiewnie, a zarazem dobrotliwie:

— Wstydzici się, podchorążowie, a?

— Wstydzimy się — przyznał Dwilli. — Ale, obywatelu pułkowniku, obawiam się, że zaszło nieporozumienie.

Siedzący za stołem prezydialnym zmechowscy dostojnicy zagapili się w nas jak sroka w gnat.

— Ostrze naszej satyry — kontynuował Dwilli — było wymierzone w burżuazyjną Francję, a mówiąc szerzej, w NATO, które jest, jak wiadomo, naszym wrogiem. Postać Napoleona symbolizuje tych, którzy chcieliby napaść na Związek Radziecki i całą wspólnotę socjalistyczną, by utrudnić nieunikniony marsz postępowej ludzkości. Postać dobosza symbolizuje tych, którzy imperialistom podbijają bębenka, tu szczególnie chcieliśmy napiętnować rewanżystowską propagandę Radia Wolna Europa mającego swoją siedzibę we wrogim wszystkim uczciwym Polakom Monachium, oraz Głos Ameryki umieszczony wiadomo gdzie i pod czyimi auspicjami.

W oczach prezydium pojawiły się przebliski zrozumienia.

— Ale...! — Dwilli podniósł głos. — Te nikczemne tendencje, jak pokazuje rozwój akcji naszego spektaklu, prowadzą siły imperialistyczne i towarzyszących im propagandowych ujadaczy na manowce.

— Ta, kochanieńcy — wtrącił stary frontowiec. — Ta może i oni imperialiści, ali nasi piosenki śpiewawszy.

— Musieli — rzekł Dwilli — bo koledzy tak szybko by się nie nauczyli innych, a po drugie, to by nie było dobrze, gdyby żołnierze w polskich mundurach śpiewali piosenki marszowe Bundeswehry.

To było trochę karkołomne rozumowanie, ale stary frontowiec zamilkł.

— Ostatnia scena nawiązuje do znanego i bardzo celnego powiedzenia: imperialiści sami nam sprzedadzą sznur, na którym ich powiesimy. W naszym spektaklu imperialistyczna swołocz zrozumiał, że nic i nikt nie jest w stanie pokonać Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Układu Warszawskiego, unicestwia sama siebie, co równocześnie jest karą za ich wredne knowania.

Dwilli skończył. Zapadła cisza, w której stary frontowiec wydobył z pudełka kolejną zapalną i zaczął nią dłużyć w innym zębie. Pułkownik patrzył na Dwilliego i szukał w jego przemówieniu luki ideologicznej. Ale chyba nie znalazł, bo rzekł:

— Dwa tygodnie ścisłego aresztu. Odmaszerować!

Wzięliśmy nasz sztandar i prowadzeni przez sierżanta Miarkę ruszyliśmy z powrotem. Słońce wyszło zza chmur, kroczyliśmy dumnie i godnie, ciesząc się na te dwa tygodnie siedzenia w pace. Bo czego może chcieć szwey? Żeby go gdzieś zamknęli i dali mu święty spokój. Nic więcej.

Skazano nas na areszt, ale tego było podporucznikowi Żurawiewowi za mało. Następnego dnia pojawił się w naszej celi i spytał:

— Dwilli, macie pozwolenie na noszenie wąsów?

— Tak jest, obywatelu poruczniku.

— No to już nie macie tego pozwolenia. Jutro was widzę bez wąsów.

Wykonał wzorowe w tył zwrot i znikł za drzwiami.

Dla Dwillego musiał to być cios, bo siadł na swojej pryczy i przez cały dzień mało się odzywał. Wieczorem wziął golarkę i prowadzony przez profosa poszedł do kibla wykonać rozkaz. Gdy wrócił, ledwie go poznałem. Dwilli wyglądał po prostu śmiesznie. Miał maleńkie, dziecinne usteczka, które sprawiały, że przypominał naburmuszonego chłopczyka. Starałem się na niego nie patrzeć, a on położył się szybko, odwrócił twarzą do ściany i nakrył głowę kocem. Następnego dnia też tak leżał, wreszcie we wtorek około południa pogodził się z losem, wstał i starał się zachowywać normalnie.

Zdumiewające, jak wiele może zależeć od wąsów. Z wąsami Dwilli był facetem, który wszystko ma w dupie i nic nie jest w stanie go złamać. Bez wąsów stał się małym, żalonym szwejem, którego każdy może gnoić, ile mu się żywnie podoba. Czas jednak na wszystko pomaga. Powoli zacząłem się przyzwyczajać do jego nowego wyglądu, choć czułem, że teraz to ja będę musiał bronić Dwillego, tak jak do tej pory on mnie bronił. To mi zresztą sprawiło niespodziewaną satysfakcję.

Dwa tygodnie minęły szybko i przyjemnie, a gdy opuściliśmy areszt, wszystko wyglądało inaczej. Wprawdzie dalej czyściliśmy kibel kompanijny, dźwigaliśmy diegtiariowa i skrzynki z amunicją, ale opowieść o przygodach plutonu E rozeszła się szeroko po koszarach. Gadano o tym tu i ówdzie na mieście, a nawet można było przypuszczać, że sprawa dotarła do Ministerstwa Obrony Narodowej. Dwilli nawet bez wąsów pozostał dla wielu bohaterem.

Była jednak pewna okoliczność, która odbierała nam radość z sukcesu. Szkolenie w Zmechu dobiegało końca, przygotowywano egzaminy, a ci, którzy je szczęśliwie zdadzą, mieli awansować na trepów i rozjechać się po różnych jednostkach, by zmuszać tamtejszych szeregowców do szorowania kibli, dźwigania diegtiariowa i szarpania się ze skrzynkami z amunicją. My

z Dwillim nie mogliśmy zdać tego egzaminu, co zresztą było słuszne i sprawiedliwe, bo na trepów w najmniejszym stopniu się nie nadawaliśmy i powierzenie nam tak ważnych stanowisk wojskowych groziło katastrofą. Wiedzieliśmy, że nas rozdzielią i wyślą do zapomnianych przez Boga i ludzi jednostek bojowych usytuowanych przy granicy z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Powiedziałem o tym It, która znów wpadła do Wrocławia i próbowała mnie wyciągnąć choć na chwilę z koszar, tłumacząc każdemu, kto chciał jej słuchać, że jest w ciąży i potrzebuje mnie natychmiast w ważnych sprawach rodzinnych. Trepy słuchały It jak monotonnie padającego deszczu, a potem oznajmiły jej, że nie jest pierwszą idiotką, która zaszła w ciążę ze szwejem, i niech nie liczy, że cokolwiek jej się z tego powodu należy. W końcu It nawymyślała sierżantowi z biura przepustek, ale i to nie pomogło. Na wieść, że zapewne wkrótce trafię do Żar albo Żagania, It się nieco zbulwersowała, bo ze Świnoujścia to było wprawdzie bliżej, ale połączenie gorsze. Poza tym nasz związek mimo mojego zakazu opuszczania koszar rozwijał się burzliwie, a It coraz częściej przesiadywała w Warszawie, gdzie usiłowała uwić dla nas gniazdko, w wolnych chwilach zaprzyjaźniając się z moją mamusią.

Mamusia na wieść o tym, że mają mnie wysłać do Żagania, wpadła w histerię. Rzuciła się na książkę telefoniczną i wyszukała w niej jakąś niezmiernie ważną instytucję wojskową. Następnego dnia pojechała do owej instytucji, wdarła się do gabinetu jakiegoś generała, padła przed nim na kolana i zalała się łzami. Generał, który zgłupiał od tego wszystkiego, podniósł mamusię, usadził w fotelu i zaczął wypytywać, o co konkretnie chodzi. Mamusia poinformowała, że jeśli zostanę wysłany do Żagania, to ona umrze, ja umrę, a przy okazji umrze It, która jest taka młoda i śliczna, a także dziecko, które nosi w łonie (wcale nie nosiła), i to on, generał,

będzie winien temu, że dokona się matkobójstwo i dzieciobójstwo zarazem. Generał, który nic nie rozumiał, ale bardzo pragnął pozbyć się mamusi, obiecał jej, że zrobi, co w ludzkiej mocy, na co mamusia najpierw usiłowała namolnie całować go po rękach, a następnie oświadczyła, że ona tu jeszcze wróci, co wprowało generała w takie przerażenie, że kazał natychmiast sprowadzić drogą służbową moje papiery.

W tym czasie zdawaliśmy z Dwillim egzaminy, których mieliśmy nie zdać. Było to zajęcie bezstresowe i relaksujące. Gdy nas zawiadomiono, że nie otrzymaliśmy z egzaminów ocen zadowalających, uśmiechaliśmy się pogodnie i poszliśmy czyścić nasz zacny kibel, w którym odbyliśmy tyle dyskusji filozoficznych, literackich i światopoglądowych. Potem się okazało, że Dwilli jedzie do Żagania, a ja do Opola, i zrobiło mi się przykro, bo do tej pory zawsze byliśmy razem i nasz los był taki sam, ale czy moja histeryczna mamusia mogła to zrozumieć?

Rozliczyliśmy się z tego, co dała nam armia, i znów znalazłem się na dworcu Wrocław Główny. Pociąg Dwillego odjeżdżał wcześniej. Poszliśmy na trzeci peron i stanęliśmy obok budki z dropsami i gazetami. Milczeliśmy, no bo co tu powiedzieć. Dopiero gdy zapowiedziano pociąg, odezwałem się:

— Dwilli, daj mi jakiś namiar na siebie.

Mój kolega szwej popatrzył na mnie ze smutkiem.

— Będę chciał o tym zapomnieć — powiedział. — A ty byś mi przypominał.

Pociąg wjechał na tor tuż obok nas i zatrzymał się. Dwilli klepnął mnie w ramię.

— Cześć, stary, może nas jeszcze kiedyś powołają do plutonu E.

Wskoczył na stopień wagonu.

— Odjazd! — wrzasnął konduktor.

Pociąg ruszył. Wolno wyjeżdżał spod kopuły wrocławskiego dworca. Dwilli, który wciąż stał na stopniu, stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż znikł zupełnie.

OPOLE

Pion polityczny



Między wyjazdem z Wrocławia a przybyciem do Opola pojawił się wreszcie ów upragniony kilkudniowy urlop. W Warszawie czekała na mnie It, która do tego czasu całkiem się tam zadomowiła i przesiadywała na Ursynowie, u mojej mamusi, z którą jakimś cudem znalazła wspólny język. Wsiadłem na dworcu Warszawa Centralna i jak najszybciej stamtąd zwałem, by uniknąć patroli Wojskowej Służby Wewnętrznej. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wpaść do Wiktora Sójki i upić się z radości w trupa, ale miłość zwyciężyła. Pojechałem na Ursynów.

Moja mamusia dopiero co się tam przeprowadziła. Dojechałem do pętli, odnalazłem ulicę noszącą złowrobną nazwę „Puszczyka” i powędrowałem wśród nieforemnych wytworów socjalizmu, zastanawiając się, gdzie może być blok oznaczony numerem 20. I nagle zauważyłem, że na budynku zamykającym tę niby-ulicę, na trzecim piętrze powiewa biały sztandar w czarne kropki.

Skąd wziął się sztandar? Otóż gdy It przygotowywała chorągiew dla plutonu E, pierwsza wersja nie była zbyt udana. It zrobiła kopię, która została potem zarekwirowana, jako dowód w sprawie o pacyfizm. Ten

pierwszy, można powiedzieć: dziewiczy sztandar, łopotał radośnie na wietrze, na moje powitanie. To było naprawdę piękne.

Urlop spędzaliśmy z It przeważnie w łóżku, uznając, że to najlepsze miejsce na świecie. Potem ruszyłem do Opola. Dotarłem tam około ósmej rano i udałem się do komendy garnizonu, czy czegoś w tym rodzaju, w każdym razie była to instytucja zarządzająca zasobami żołnierskimi w Opolu i okolicach. Przez jakiś czas siedziałem na korytarzu, czekając, aż ktoś mnie przyjmie, co było bardzo niewygodne, bo wszyscy byli tu ode mnie starsi stopniem, więc musiałem się co chwila zrywać i oddawać honory. Wreszcie wezwał mnie jakiś major, dla którego moje przybycie do Opola stanowiło całkowitą zagadkę.

— No i co my z wami zrobimy? — zafrasował się, przeglądając moje papiery. — Do niczego się, kurwa, nie nadajecie.

Była to święta prawda, ale nie przytaknałem, tylko dalej stałem przed majorem w postawie mniej więcej zasadniczej.

— Może was dadzą do pionu politycznego... — rozważał major. — Zresztą, nie moja sprawa. Pojedźcie do jednostki 333–27 i niech tam sobie robią z wami, co chcą.

Wyszedłem na korytarz, gdzie nadal zrywałem się co chwila, by oddawać honory, a w tym czasie pisarz majora wysmażył pismo kierujące mnie do wiadomej jednostki.

Koszary, w których miałem kontynuować karierę wojskową, znajdowały się na obrzeżach Opola. Na pierwszy rzut oka robiły nawet nie najgorsze wrażenie. Na biurze przepustek ziewał znudzony sierżant, który z niezmaconym spokojem wysłał mnie do jednego z budynków, gdzie urzędował inny major pełniący funkcję szefa sztabu. Wygląd miał jowialny, ale był o wiele mniej kulturalny od majora z garnizonu.

— Kurwa! — zawołał. — Kogo mi tu przysyłają! Może jeszcze macie wyższe studia?

— Mam, obywatelu majorze.

— O w mordę! Jeszcze i to! No i co ja mam z wami, kurwa, zrobić?!

Wziął głęboki oddech, co wykorzystałem, żeby włączyć się do dyskusji.

— Obywatel major w garnizonie powiedział, że mam iść do pionu politycznego — stwierdziłem. — Miał dzwonić w tej sprawie. Nie wiem... dzwonił czy nie?

Oczywiście było to kłamstwo, ale bardzo mi zależało, żeby trafić do pionu politycznego i przestać biegać po poligonie z diegtiariewem albo ze skrzynką z amunicją. Major kupił ten kit.

— Do pionu politycznego... — Podrapał się w głowę. — No, może to jest myśl...

Pochylił się nad leżącymi na biurku papierami i zaczął w nich grzebać.

— Zameldujecie się w drugim batalionie u kapitana Króla — powiedział. — Odmaszerować.

Drugi batalion odnalazłem bez większego trudu. Wszedłem do budynku, potem do korytarza na parterze, gdzie zastałem dyżurnego kompanii.

— Mam się zameldować u kapitana Króla — oznajmiłem.

Dyżurny oderwał się od stolika, wyszedł ze mną za drzwi i pokazał mi korytarzyk odchodzący w bok od schodów, nieco niżej od wysokiego parteru.

— W tym korytarzyku — powiedział. — Pierwsze drzwi na prawo.

Na drzwiach wisiała niewielka tabliczka z napisem „kpt. Stanisław Król z-ca dowódcy batalionu ds. politycznych”. Delikatnie zapukałem.

— Wejść! — odezwał się głos wewnątrz gabinetu.

Wszedłem i wyrecytowałem:

— Obywatelu kapitanie, starszy szeregowy Paweł Zabłocki melduje się.

Za biurkiem siedział niewysoki, szczupły mężczyzna i przyglądał mi się badawczo. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

— A o co konkretnie chodzi? — spytał.

— Dostałem rozkaz zameldowania się u obywatela kapitana.

— Od kogo?

— Od obywatela majora.

— Od szefa sztabu?

— Tak jest.

Król sięgnął po stojący na biurku telefon i wykręcił dwucyfrowy numer.

— Kapitan Król... — zameldował do słuchawki, a potem przez dłuższą chwilę słuchał, co major ma mu do powiedzenia. Później odłożył słuchawkę i jeszcze raz mi się przyjrzał.

— Pójdziecie na pierwsze piętro i zameldujecie się u sierżanta Lutni, który się zajmuje sztabem batalionu. On wam przydzieli łóżko i tak dalej. Dziś macie wolne, jutro po śniadaniu meldujecie się w moim gabinecie. Jasne?

— Tak jest, obywatelu kapitanie.

Król pochylił się nad papierami i przestał mnie zauważać. Trzasnąłem obcasami i wyszedłem na korytarz.

Sierżanta Lutnię zastałem przeżuwającego ogromny kawał kiełbasy. Spojrzał na mnie wściekle i przełykając kolejny kęs, wymamrotał:

— Wypierdalać.

Wyszedłem na korytarz i cierpliwie czekałem, aż upora się z posiłkiem. Gdy to uczynił, okazał się człowiekiem wyjątkowo jak na trepa uprzejmym. Przydzielił mi łóżko, szafkę i zapomniał o moim istnieniu. Ponieważ spędziłem ostatni tydzień w łóżku, ale snu zaznałem niewiele, postanowiłem odrobić zaległości. Ułożyłem się wygodnie i zasnąłem. Obudziłem się w środku nocy. To wprost nie do uwierzenia, ale nikt mnie

nie obudził, żeby zagonić do czyszczenia kibla. Wokół mnie spali spokojnie szeregowcy, starsi szeregowcy i kaprale. Wyszedłem na korytarz. Dyżurny spał z głową opartą na stoliku. W porównaniu ze Zmechem w jednostce 333–27 panował oszałamiający spokój.

Rano sytuacja wróciła do normy. Obudzili nas, ustawili w dwuszeregu i wygonili na zaprawę. Ale i tu nikt nas nie poganiał i nie darł na nas mordy. Truchtaliśmy wolno wokół placu apelowego. Już w połowie pierwszego okrążenia zrobiło się nas wyraźnie mniej. Nikt na to nie zwrócił uwagi. Potem było mycie i zdecydowanie niesmaczne śniadanie, a następnie udałem się do gabinetu kapitana Króla.

Gabinet był zamknięty. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, oparłem się o ścianę naprzeciwko drzwi i czekałem. Po chwili do korytarzyka wpadł nieznany mi osobnik z czterema gwiazdkami. Wyprężyłem się i oddałem mu honory, ale przeszedł obok, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. Dotarł do drzwi umieszczonych na końcu korytarzyka, nerwowo nacisnął klamkę, ale i te drzwi okazały się zamknięte. Szarpnął klamkę jeszcze kilka razy, a widząc, że nie przynosi to żadnego skutku, odwrócił się do mnie i wrzasnął:

— Gdzie jest ten pierdolony Karolek?!

Nie miałem pojęcia, co to za jeden ten Karolek, a tym bardziej, gdzie może się znajdować, więc zameldowałem:

— Nie wiem, obywatelu kapitanie.

— Jak to, kurwa, nie wiecie!? — wrzasnął, nadal szarpiąc się z klamką.

— Znaleźć mi go, ale już!

Poleciałem na pierwsze piętro, gdzie był rozlokowany sztab batalionu, do którego ów Karolek niewątpliwie powinien należeć. Zostałem tam podoficera dyżurnego w randze kaprała, który ziewał, patrząc w sufit.

— Jeden kapitan, tam na dole, pyta, gdzie jest Karolek.

— A, Koń... — Kaprał się uśmiechnął. — Nie ma co go szukać. Przecież sam dał mu urlop.

— No to co powiedzieć?

— Prawdę — rzekł kaprał, ziewając. — Ale nie przejmuj się, koleś. Co dwa tygodnie jest taka afera.

Powędrowałem na dół.

— Melduję, obywatelu kapitanie — odezwałem się do Konia, który z wciekłością kopał drzwi — że Karolek jest na urlopie.

— Kto temu skurwysynowi dał urlop?!

— Podobno obywatel kapitan — powiedziałem, patrząc w podłogę na znak, że ubolewam nad zaistniałą sytuacją.

W tym momencie na korytarzyku pojawił się kapitan Król. Spojrzał na kopiącego w drzwi swojego gabinetu Konia i uśmiechnął się szeroko.

— Karolek znowu na urlopie? — spytał.

— Zabiję tego gnoja!

— Nie zabijesz, bo bez niego nie poradziłbyś sobie z batalionem — rzekł pogodnie Król. — Zabrał klucz od gabinetu ze sobą do Krakowa czy zostawił go w szafce?

— A cholera go wie! — Koń przestał kopać w drzwi i ograniczył swoją aktywność do szarpania klamką.

— Idźcie, Zabłocki — powiedział Król. — Przeszukajcie szufladę w szafce tego drania.

Pomaszerowałem z powrotem na piętro, gdzie pełniący dyżur kaprał na mój widok przestał ziewać i uśmiechnął się radośnie.

— Które jest łóżko Karolka? — spytałem.

— Najlepsze — rzekł podoficer dyżurny. — W kącie pod oknem.

Poszliśmy razem do szafki Karolka i zaczęliśmy penetrować szufladę. Było tam sporo ciekawych rzeczy. Dwa numery duńskiego pisma

pornograficznego, dziewięć prezerwatyw, *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego, czerwony balonik, a na samym dnie spoczywał klucz z doczepioną do niego blaszką, na której wytłoczono napis: „D-ca bat”. Porwałem klucz, pobiegłem na dół i wręczyłem go Koniowi. Szarpał się przez chwilę z zamkiem, ale ostatecznie otworzył drzwi i wkroczył z ulgą do swojego gabinetu. Kapitan Król, a za nim ja wkroczyliśmy do sąsiedniego. Rozpoczęło się urzędowanie.

Moje obowiązki jako pisarza zastępcy dowódcy batalionu ds. politycznych były nieskomplikowane. Po śniadaniu miałem otworzyć gabinet i czekać. Potem nadchodził Król i wymienialiśmy uwagi na temat pogody. W tym czasie gotowałem grzałką wodę i robiłem kapitanowi kawę. Gdy ją pił, udawałem się do budynku naprzeciwko i przynosiłem stamtąd gazety przeznaczone dla naszego batalionu. Były to „Trybuna Ludu”, „Żołnierz Wolności” i „Trybuna Opolska”. Odkładałem po trzy gazety dla kapitana, dla Konia i dla siebie (potem także dla Karolka). Kapitan zapalał papierosa i zabierał się do czytania gazet, a ja dzieliłem pozostałe na cztery kupki (zostawały już tylko „Trybuna Ludu” i „Żołnierz Wolności”) dla pierwszej, drugiej i trzeciej kompanii oraz dla sztabu batalionu. Dokonawszy tego, roznosiłem gazety po piętrach, a gdy wracałem do gabinetu, kapitan właśnie kończył lekturę i udawał się na zajęcia polityczne, które prowadził. Wtedy robiłem sobie kawę, czytałem gazety, a gdy się naczylałem, pisałem dla kapitana konspekty do zajęć na jutro, bo z tych moich konspektów był rozliczany. Około pierwszej kapitan wracał i siedł na chwilę do Konia, by wymienić z nim kilka uwag na temat bieżącej sytuacji w pułku. Wracał punktualnie o 13.30, przynosząc ze sobą zapach koniaku. Wkładał płaszcz, czapkę i udawał się do domu, powierzając mi klucz do gabinetu. Czy można sobie wyobrazić bardziej monotonne i spokojniejsze życie w koszarach? Błogosławiłem majora

z garnizonu, który podsunął mi myśl, żeby się umieścić w pionie politycznym.

Tak w spokoju przeżyłem dwa dni. Poznałem kolegów z sali, którzy na ogół okazali się luzakami. Byli to żołnierze bez przydziału, zatrudnieni w magazynie broni, magazynie mundurowym, w kuchni, w domu kultury, w którym odrobiny kultury nie było, i w innych równie ważnych instytucjach koszarowych. Każdy z nich miał swojego szefa, przeważnie sierżanta, który zwykle bywał nieobecny albo nietrzeźwy. W gruncie rzeczy to moi koledzy z sali zarządzali różnymi magazynami, z których powoli i dyskretnie wyprzedawali mienie wojskowe, przeznaczając uzyskane w ten sposób dochody na alkohol, pokera i inne przyjemności. Dotyczyło to zwłaszcza magazynu mundurowego, którego szef był nieustannie pijany i już trzy lata temu stracił orientację, co się w powierzonym mu magazynie znajduje.

Trzeciego dnia obudziłem się, czując, że ktoś mnie obserwuje. Przed moim łóżkiem stał niewysoki blondynek. Czapkę wojskową miał założoną na bakier, a spod niej wymykały się zdecydowanie za długie, jak na żołnierza, kręcone włosy. Widząc, że się obudziłem, uśmiechał się szeroko, wyciągnął w moją stronę rękę i powiedział:

— Karolek.

Siadłem na łóżku i uścisnąłem mu dłoń.

— Paweł — przedstawiłem się. — Paweł Zabłocki.

Wiszący na ścianie zegar pokazywał, że jest za piętnaście szósta. Koledzy spali, oddychając spokojnie i z uśmiechem na ustach. Zapewne śniło im się, że doszczętnie ogałają magazyn mundurowy.

— Co tu robisz? — spytał Karolek, który najwyraźniej dopiero co przybył do koszar.

— Jestem przydzielony do kapitana Króla.

Skrzywił się z niesmakiem.

— Dlaczego akurat do Króla?

— A bo ja wiem?

— Jesteś partyjny czy jak?

Najwyraźniej podejrzewał, że łączy mnie z Królem jedność moralno-polityczna. Szybko mu wytłumaczyłem, że bardzo się myli, i opowiedziałem pokrótce swoje dzieje. Gdy wyjaśniłem, jak trafiłem do pionu politycznego, pokiwał głową z uznaniem.

— Jesteś inteligentny. To już coś.

— Staram się.

— Tyle że taki... inteligencik po studiach... nie wiadomo, czy nie będzie kapował — powiedział niby do siebie Karolek.

— Pewnie, że nie będę — oburzyłem się.

Chyba mi uwierzył.

— Bo wiesz... — uśmiechnął się — tu się czasem robi interesy. Jakby ktoś miał zakapować, to mu lepiej od razu łeb odstrzelić.

Mimo łagodnego uśmiechu na jego twarzy czułem, że należy to ostrzeżenie traktować bardzo poważnie.

— Z natury jestem ślepy i głuchy — powiedziałem. — Chyba że mnie ktoś poprosi. Wtedy widzę i słyszę.

Karolek znów się uśmiechnął.

— Chyba się dogadamy — rzekł i w tym momencie na korytarzu zabrzączał przeraźliwy dzwonek, a na jego dźwięk nałożył się krzyk podoficera dyżurnego:

— Pobudka! Wstawać! Wychodzić na zaprawę!

Koledzy ze sztabu obudzili się i zaczęli hałaśliwie witać z Karolkiem. Ja wkładałem buty, żeby biec na zaprawę.

— A ty gdzie? — zgromił mnie Karolek. — Sztab na końcu, a na końcu sztabu ty i ja.

Stałem obok łóżka i czekałem, aż Karolek będzie łaskaw opuścić salę. Koledzy zbierali się wolno. Do sali zajrzał kaprał, podoficer dyżurny.

— Spierdalaj! — powiedział do niego Karolek, który tak jak ja był starszym szeregowcem. — No już, wypad!

Podoficer znikł za drzwiami. Załoga magazynu mundurowego z wolna wkładała spodnie.

— No dobrze — powiedział Karolek. — Wolno i ostrożnie możemy iść.

Na zaprawę poranną wychodziło się w podkoszulkach, ale Karolek wyszedł na korytarz w pełnym umundurowaniu. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Trzy plutony drugiej kompanii, która miała swoje sale na tym samym korytarzu, stały już w dwuszeregu. Sztab dołączył z godnością. Chciałem się ustawić jak poprzednio, według wzrostu, ale Karolek przytrzymał mnie za łokieć.

— Mówiłem. My na końcu.

Stanęliśmy na końcu i wtedy podoficer dyżurny wydał komendę:

— Biegiem marsz!

Druga kompania z dzikim tupotem rzuciła się w dół po schodach. Za nią wolno i bez entuzjazmu ruszył sztab, a na jego końcu my z Karolkiem. Dotarliśmy na parter, a potem ruszyliśmy w stronę korytarzyka, przy którym urzędowali Koń i Król.

— Skręcamy — zakomenderował Karolek i skręcił w korytarzyk, a ja za nim.

Tupot biegnących z wolna cichł.

— Ponieważ jesteś nowy, robisz kawę — powiedział Karolek.

— Tylko że nie mam klucza od gabinetu — stropiłem się.

— Jak to nie masz? Król ci nie dał?

— Dał, tylko zostawiłem go w sali. W szafce.

Popatrzył na mnie jak na idiotę.

— Idziesz do gabinetu i nie bierzesz ze sobą klucza?

— No, bo zwykle biegnę na zaprawę, potem się myję, golę, idę na śniadanie i dopiero później otwieram gabinet.

Oczy Karolka zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— Naprawdę latałeś dokoła placu? — spytał.

— No... tak. A co miałem robić?

— Jesteś kompletnym idiotą, w dodatku niewyszkolonym — oznajmił Karolek. — Trudno, dziś ja robię kawę.

Wyjął z kieszeni klucz i otworzył gabinet dowódcy batalionu. Weszliśmy do środka. Karolek włączył jednopalnikową kuchenkę elektryczną, na której stał emaliowany na czerwono czajnik.

— Siadaj — polecił, moszcząc się wygodnie w fotelu dowódcy batalionu. — Spróbuję ci wytłumaczyć podstawowe rzeczy.

Usiadłem na twardym krześle stojącym przed biurkiem.

— Człowiek normalny — rzekł Karolek — nie może się zrywać tak nagle i lecieć na jakąś tam zaprawę. To rujnuje system nerwowy. Należy wstawać wolno, spokojnie i rozważnie...

— Ale jak to zrobić w wojsku?

— My, czyli sztab, mamy tu w koszarach miejsca, w których możemy spokojnie rozpocząć dzień. Co należy zrobić? Odpowiednio się przygotować. Po pierwsze, żeby nie golić się rano, należy ogolić się wieczorem. Po drugie, należy zostawić w powierzonym nam gabinecie czy magazynie kurtkę, czapkę i pas, czyli te części munduru, których nie zabiera się na zaprawę. Dalej to już proste. Zamiast na plac apelowy udajemy się do naszych gabinetów, uzupełniamy garderobę, spokojnie pijemy kawę naszych przełożonych i udajemy się na śniadanie. Koledzy

z sali mają nieco gorzej, muszą wybiec na dwór i dobiec do swoich magazynów. Ale to naprawdę nie jest aż tak daleko.

— Tylko że trzeba jeszcze posłać łóżka — zauważyłem.

— Są szeregowcy, którzy się tym zajmują. Robią to dobrowolnie. W zamian za swoje usługi zostali przydzieleni do kuchni, gdzie mało co robią i w dodatku mogą się najeść do syta. Wszystko jest zorganizowane.

Rzeczywiście, rano z Karolkiem był miły i spokojny, a kawa, którą wypijaliśmy Koniowi, znakomita. Wyraziłem nawet uznanie dla dowódcy batalionu, że umiał nabyć tak wyborny gatunek.

— Gównu tam umiał — rzekł Karolek. — To ja kupiłem tę kawę, oczywiście za jego pieniądze. Koń nawet nie jest w stanie zapamiętać, jak ona się nazywa.

Dopiliśmy kawę i poszliśmy na śniadanie. Było tak samo podłe jak poprzednio, ale smakowało jakby lepiej. To prawda, że raptowne zrywanie się z łóżka i bezsensowne bieganie wokół placu źle wpływa na system nerwowy.

Rozdział 13

Biznes



Po śniadaniu z ciekawością oczekiwałem przybycia Konia, który wedle mojej wiedzy o wojsku powinien opierdolić Karolka jak burą sukę. Nic takiego nie nastąpiło. Na widok swego pisarza Koń się rozpromienił i zawołał:

— Karolek! Gdzie byłeś, kanalio!?

— Na urlopie — odpowiedział Karolek obrażonym tonem. — Każde dziecko o tym wie.

— A kto ci tego urlopu udzielił, łajdaku?

— Obywatel kapitan. Wystarczy sprawdzić podpis.

— Jak zwykle sfalszowany.

— Wobec tego radzę się zwrócić do prokuratury wojskowej.

Koń nie miał oczywiście zamiaru zwracać się do prokuratury, więc zmienił temat.

— To może przynajmniej wiesz, kto z naszego batalionu ma jutro służbę i która kompania ma wartę?

— Oczywiście, że wiem. Obywatel kapitan pozwoli?

Koń wstał z fotela i siadł na stojącym obok biurka krzeselku, a Karolek zajął jego miejsce. Otworzył szufladę biurka i grzebał w niej przez pewien

czas.

— Oficera dyżurnego ma podporucznik Maciąg, a wartę ma jutro trzecia kompania.

Koń patrzył na swego podwładnego ze zdumieniem.

— Gdzie to było napisane?

— Tu, na tej karteczce.

Karolek wyjął z szuflady świstek papieru i pomachał nim w powietrzu.

— A dlaczego ja jej nie znalazłem?

— Nie wiem — rzekł pogodnie Karolek. — To jest kwestia osobistej koncentracji uwagi.

Koń nigdy nie słyszał o osobistej koncentracji uwagi, więc zamilkł. Karolek nie myślał podnieść tyłka z fotela dowódcy batalionu, zatem siedzieli tak dalej, starszy szeregowiec rozparty w fotelu, a kapitan skromnie na krawędzi twardego krzeselka. Potem zadzwonił telefon. Szef sztabu wzywał Konia i Króla na naradę. Skorzystaliśmy z Karolkiem z okazji i zrobiliśmy sobie kolejną kawę. Byłem oszołomiony. Wydawało mi się, że znalazłem się w zupełnie innej armii, w innym kraju, a może nawet w innej galaktyce.

— Jesteś niesamowity — powiedziałem do Karolka. — Jak ty to robisz?

— Stara taktyka i w gruncie rzeczy bardzo prosta. Tu w Opolu nazywamy to uzależnianiem trepa. Człowiek zostaje pisarzem, tak jak ty teraz. Najpierw się starasz, wyręczasz swojego szefa, w czym tylko się da. Trep jest oczywiście uszczęśliwiony, siedzi beczynn timer, pali papierosy i patrzy tępo w sufit. Po jakimś czasie przestaje się w czymkolwiek orientować. Jest całkowicie zdany na ciebie. Jeśli cię nie ma, jest przerażony. Wtedy rozpoczynamy ujeżdżanie trepa. Musi się zgodzić na wszystko, bo co bez ciebie robi. Gdybym chciał, mógłbym powiedzieć Koniowi, żeby spadał z gabinetu, bo sobie sprowadziłem płatną laskę, i on

by poszedł. Nie może się na mnie za bardzo wydrzeć, bo się jeszcze obrażę. Nie może mnie wsadzić do aresztu, bo by mu się świat zawalił. Po prostu jadę sobie na trepie tam, gdzie mi się spodoba.

— I ja mógłbym z Królem tak samo?

Karolek się zamyślił.

— Z Królem nie — powiedział. — Król jest inteligentny. Cały pułk się go boi. Potrafi na kogoś donieść, że się źle wyrażał o Układzie Warszawskim albo dowódcy okręgu wojskowego. Robi to na zimno. Ktoś mu się sprzeciwi albo po prostu mu się nie spodoba i ciach, znika gdzieś w zielonym garnizonie.

— A mnie się wydał całkiem kulturalny.

— Bo on jest kulturalny. Ja się z nim nawet dość lubię. Szanuję jego inteligencję, on szanuje moją i nie wchodzimy sobie w drogę. Wydaje mi się, że sprawia mu przyjemność patrzeć, jak ujeżdżam Konia.

— Czyli nie wyrzuciłbyś go z gabinetu, gdyby miała przyjść do ciebie kobitka wiadomej profesji?

— Króla? Na pewno nie. Powiedziałbym: Obywatelu kapitanie, ma tu przyjść taka jedna. Nie zechciałby obywatel kapitan skorzystać? Ja płacę.

Roześmialiśmy się obaj. Wypiliśmy kawę, potem pokazałem Karolkowi zdjęcie It, a on mi pokazał zdjęcia kilkunastu pełnych uroku dziewcząt, z którymi aktualnie utrzymywał kontakty.

Wreszcie Koń wrócił z narady. Król wprost ze sztabu poszedł na zajęcia. Zostawiłem uchylone drzwi, bo słuchanie rozmów Karolka z Koniem sprawiało mi nieprawdopodobną wprost przyjemność.

Przez chwilę w sąsiednim gabinecie panowała cisza, a potem rozległ się głos Karolka:

— No, i co tam na tej naradzie?

— Tajemnica wojskowa — odpowiedział Koń.

— Może być tajemnica — rzekł Karolek — ale jak nie będę wiedział wcześniej, co jest grane, znowu się zrobi bałagan.

Zapadła cisza. Zapewne Koń rozważał skutki bałaganu.

— Jedziemy na poligon — oznajmił wreszcie dowódca batalionu.

— Na który?

— Do Trzemeszna.

— Kiedy?

— Tajemnica wojskowa.

— Jak obywatel kapitan chce. Ja jadę na pięciodniowy urlop.

— Przecież dopiero wróciłeś.

— Należy mi się następny. Zaraz sobie wypiszę...

— Za tydzień — rzekł Koń. — Tylko proszę cię, zachowaj to dla siebie.

— A czy ja kiedyś cokolwiek wygadałem? — zachnął się Karolek. — Już prędzej obywatel kapitan.

— Ja?

— A kto?

W sąsiednim gabinecie znów zapadła cisza.

— Kawa się kończy — powiedział Koń.

— Jak obywatel kapitan da pieniądze, mogę kupić. Ale dopiero po południu.

— Dlaczego?

— Bo najpierw muszę doprowadzić do porządku ten pieprzony batalion.

Znów zapadła cisza.

— No to jak nie ma kawy... — powiedział wreszcie Koń — to może ja już pójdę do domu.

— Niech obywatel kapitan idzie. I tak się obywatel kapitan na nic nie przyda.

Usłyszałem, jak Koń wolno, szurając nogami, zmierza korytarzykiem do wyjścia. Muszę powiedzieć, że zrobiło mi się go żal.

Po południu Karolek posłał po kawę jednego z szeregowców, który z wielką chęcią przeleciał się po mieście, a sam zwołał naradę w sprawie poligonu. Narada odbyła się w gabinecie Konia i przybyli na nią pisarze z różnych batalionów oraz szeregowcy zatrudnieni w najrozmaitszych magazynach. Każdy siadł, gdzie mógł: na biurku, na krześle albo na podłodze. Było to doborowe towarzystwo. Wszyscy mieli włosy o wiele za długie, pasy opuszczone na jaja, a w całej postawie luz i spokój typowy u facetów, dla których nie ma rzeczy niemożliwych, a poza tym zasadniczo wszystko im wisi.

— Koledzy — zagaił Karolek. — Za tydzień jedziemy do Trzemeszna.

Wśród zgromadzonych podniósł się radosny gwar. W odróżnieniu od zwykłych żołnierzy ta gromada cwaniaczków pasożytujących na zdrowym ciele armii bardzo lubiła jeździć na poligon.

— Jestem za tym — kontynuował Karolek — żeby Cybulski pojechał tam zaraz i zebrał od miejscowej ludności zamówienia, ile chcą wojskowych spodni, kurtek, butów i tak dalej. Proponuję Cybulskiego, bo jest z mojego batalionu i mogę mu od razu wypisać urlop. Jak ruszy dziś wieczorem, na rano tam będzie.

Cybulski, szef magazynu mundurowego, który siedział na podłodze w kącie, oświadczył, że jak najchętniej pojedzie, bo zna tam pewną dziewczynę o niebanalnych piersiach i bardzo już za tymi piersiami tęskni.

— Nie zapomnij wypytać — rzekł Trzeciak z pułkowego magazynu uzbrojenia — ile chcą granatów. Muszę wiedzieć z góry, żeby mi się potem wszystko zgadzało.

— Po co im granaty? — spytałem z głupia frant.

Spojrzeli na mnie z politowaniem.

— Do połowu ryb — wyjaśnił Trzeciak. — Tam są państwowe stawy rybne. Wrzuca się granat, wszystko wypływa i cała gmina obżera się i handluje rybami na prawo i lewo.

— No i dobrze byłoby wiedzieć względem części samochodowych — rzekł Pałyga, najlepszy mechanik w pułku. — Czy chcą tylko części, czy mam dla nich otworzyć polowy warsztat samochodowy?

Cybulski zapisał sobie wszystko starannie na karteczce, żeby o niczym nie zapomnieć.

— Teraz kwestia przejazdu — zabrał głos Karolek. — W którym magazynie są materace?

— U mnie — powiedział wyjątkowo chudy szeregowiec siedzący na biurku. — Mam ich od cholery i trochę, próbowałem się części pozbyć, ale nie schodzą.

— Dostarczysz je do odpowiednich wagonów. Nie będziemy przecież leżeli na twardych dechach przez tyle godzin. Aha, będzie potrzebna ciężarówka, żeby zawieźć te materace do pociągu. Pałyga, załatwisz?

— Nie ma sprawy.

— Wódkę na drogę sam kupię.

— I karty — dorzucił chudy z magazynu z materacami. — Od tego grania od rana do wieczora tak się zdarły, że coś okropnego.

— Będą i karty — obiecał Karolek. — Aha, Cybulski, pójdziesz „Pod Dęby” i powiesz, że nadjeżdżamy. Niech nam przygotują ustronny pokój z damską obsługą.

— Jasne — powiedział Cybulski i zapisał na karteczce.

Na tym narada się skończyła. Przyjaciele Karolka powoli ruszyli w stronę swoich magazynów.

— No i co? — powiedział bardzo z siebie zadowolony Karolek, klepiąc mnie w ramię. — Teraz już wiesz, kto tu rządzi?

— Robi wrażenie — przyznałem. — Przykro mi tylko, że nie mogę się na nic przydać.

— Możesz — ocenił Karolek. — Zajmij czymś tego twojego kapitana. On jest o wiele za bystry, jak na trepa. Wprawdzie mam z nim niepisany pakt o nieagresji, ale wolałbym, żeby się nie zorientował, co tu się święci.

— Spróbuję coś wymyślić.

Sprawa była skomplikowana, bo mój szef zasadniczo niczym się nie interesował. Nie obchodziło go wojsko, zagadnienia polityczne, które wpajał żołnierzom, śmiertelnie go nudziły, gazety czytał, bo trzeba było czymś wypełnić czas. Przychodził do koszar, kiedy miał przyjść, i wychodził, kiedy miał wyjść. Nie upijał się, nie łąził do kantyny, żeby poklepać po tyłku pracującą tam panią Asię. Według tego, co mi mówił Karolek, jego mieszkanie było urządzone przeciętnie i podobnie przeciętna, niemal zlewająca się z tłem była żona Króla, która zapewne podobnie jak on zawsze wzorowo wywiązywała się z obowiązków żony, włączając w to obowiązek małżeński. Co może takiego gościa podkreślić? Myślałem i myślałem, ale dopiero pod wieczór doznałem iluminacji. Kapitan lubił się pozytywnie wyróżnić, zrobić coś, czego inni nie zrobili. Poza tym chciał jak najszybciej awansować na stopień majora, a zakończyć karierę jako generał. Na tym oparłem moją koncepcję.

Następnego dnia, gdy w spokoju przeczytaliśmy nasze gazety, zwróciłem się do Króla z następującą kwestią:

— Obywatelu kapitanie, chciałbym spytać, co obywatel kapitan sądzi w kwestii szlaku bojowego.

— Czego? — zdziwił się Król.

— W tym budynku na parterze mamy wyobrażony szlak bojowy od Lenino do Berlina.

— No, jest tam i co z tego?

— Ten szlak bojowy, obywatelu kapitanie, jest zrobiony byle jak. Kolory są wyblakłe, kompozycja niezadowalająca, a ekspresja, za przeproszeniem, żadna.

Król popatrzył na mnie jak na wariata.

— Wy, Zabłocki, to jesteście typowy inteligent — powiedział. — Chodźcie i szukacie dziury w całym. Ten szlak bojowy nie jest po to, żeby miał kompozycję i ekspresję. On jest tam po to, żeby tam był. Rozumiecie?

— Ale można by to zrobić o wiele lepiej.

— A po co? Stara wojskowa zasada brzmi: Każdy, kto coś robi, robi kłopoty. A kto nic nie robi, nie robi kłopotów. Ja nie robię. I wam radzę to samo.

Tu trzeba zaznaczyć, że kapitan Król przemawiał do mnie jak na stosunki wojskowe bardzo uprzejmie i z niezwykłą życzliwością. Jakoś polubił mnie w czasie wspólnej lektury „Trybuny Ludu” i „Żołnierza Wolności”. Postanowiłem to wykorzystać.

— Chodzi o coś innego, obywatelu kapitanie. Chciałbym, żeby człowiek tak inteligentny jak obywatel kapitan zwrócił na siebie uwagę.

— A po co? Ciszej jedziesz, dalej dojedziesz — rzekł sentencjonalnie Król, ale zauważyłem, że wzmianka o inteligencji sprawiła mu przyjemność.

— To mogłoby spowodować szybszy awans obywatela kapitana na stopień majora.

— Albo degradację.

— Jestem pewien, że awans.

Popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

— A tak zasadniczo to o co wam chodzi?

— To proste, obywatelu kapitanie. Zrobimy tu na parterze wzorowy szlak bojowy. Będą tam nasze czołgi...

— I radzieckie — dodał kapitan.

— Oczywiście. Będą nasi żołnierze dobijający bagnetami wrażeń faszystów.

— I sojusznicy.

— No pewnie. Krótko mówiąc, będzie idea, wzniosłość, kompozycja i ekspresja.

— A co rozumiecie pod słowem „zrobimy”?

— No, że ja zrobię, a obywatel kapitan będzie nadzorował moją pracę.

— A na cholerę mi to?

— Jak już skończę, każę... to znaczy... każemy zrobić taki sam szlak bojowy na pierwszym i drugim piętrze.

— Powiedzmy, i co z tego?

— Powstanie pewien wzorzec. W wojsku często dodaje się nazwisko: karabin automatyczny jest Kałasznikowa, erkaem Diegtiariowa, a to będzie szlak bojowy projektu kapitana Króla.

— Głupota i tyle — ocenił kapitan, ale widziałem, że rybka połknęła haczyk.

— Jak już taki szlak bojowy będzie na wszystkich piętrach, obywatel kapitan zaprosi dowódcę pułku i zaproponuje, żeby takie szlaki bojowe zrobiono w całej jednostce.

— Nie wiem, czy major to łyknie.

— Dlaczego miałyby nie chcieć, żeby w całym pułku były porządne szlaki bojowe od Lenino do Berlina?

— W sumie racja. Dlaczego nie?

— Potem sprawa powinna nabrać tempa. W ślad za naszym pułkiem inne jednostki wojskowe w Opolu i okolicy powinny wprowadzić takie szlaki bojowe. Po nich cały okręg wojskowy, a ostatecznie w całej Polsce, a nawet

tu i ówdzie w Układzie Warszawskim zawisłyby szlaki bojowe według projektu kapitana Króla.

— Myślicie, że to możliwe?

— Oczywiście. Przecież każda jednostka wojskowa potrzebuje porządnego szlaku bojowego. Wystarczy tylko odpowiedni rozkaz.

Król się zamyślił.

— Takie coś jak szlak bojowy powinno być ujednolicone na szczęblu Ministerstwa Obrony Narodowej — rzekł. — Tylko, widzicie, z tym projektowaniem... Owszem, w kwestii szkolenia politycznego i generalnie w kwestiach ideologicznych to ja owszem, ale jeśli chodzi o projektowanie, to nie za bardzo...

— Ja obywatelowi kapitanowi to zaprojektuję.

Popatrzył na mnie prawie przyjaźnie.

— I nie będziecie mieli za złe, że zostaniecie... jakby to powiedzieć... wyeliminowani?

— Obywatelu kapitanie, ja kariery wojskowej nie zrobię. Co innego obywatel kapitan. Już widzę oczyma duszy, jak razem z ekspansją szlaku bojowego obywatel kapitan awansuje na majora, podpułkownika, pułkownika, a w końcu generała. To będzie zresztą awans całkowicie zasłużony.

Król się zastanawiał.

— I nie powiecie nikomu, że to wszystko wy, a nie ja?

— A po co miałbym mówić? Pójdę do cywila i ślad po mnie zaginie.

— W takim razie bierzcie się za ten szlak bojowy.

Gdy Karolek pracowicie przygotowywał plan zaopatrzenia mieszkańców Trzemeszna i okolic w ubiór i sprzęt wojskowy, ja wędrowałem od biblioteki do biblioteki, szukając książek ze zdjęciami różnych wydarzeń na szlaku bojowym od Lenino do Berlina. Codziennie pokazywałem te zdjęcia

Królowi, wybieraliśmy — niekiedy długo dyskutując — najlepsze z nich, potem szedłem do szefa sztabu i odbijałem je na ksero. Kapitan załatwił dwóch żołnierzy uzdolnionych plastycznie, jednego z kompanii czołgów i drugiego z kuchni, którzy mieli pomagać w naszym dziele. Postanowiliśmy zrobić od razu cztery szlaki bojowe. Po jednym na każde piętro naszego budynku i na korytarz prowadzący do gabinetu dowódcy pułku.

Król początkowo pełen dystansu wobec mojej idei z każdym dniem był nią coraz bardziej przejęty. Nawet gazet już nie czytał, tylko pracowicie oglądał po kilka razy zgromadzone przeze mnie materiały, spierając się, który nazista ze zdjęcia jest lepiej przebity bagnetem. Ostatecznie wybór padł na faszystę z paskudną krzywą głową, którego przebijał pucołowaty, dziarski Polak wspólnie z doklejonym do niego wielkim, barczystym, choć na pierwszy rzut oka niezbyt inteligentnym czerwonoarmistą. Król tak się zapamiętał w szlaku bojowym, że musiałem za niego prowadzić zajęcia, z czego zarówno ja, jak i żołnierze, którzy te zajęcia odbywali, byliśmy zadowoleni. Najważniejsze, że mój szef znajdował się w takim stanie ducha, iż w ogóle nie zauważył tłumu szeregowców z różnych magazynów, którzy codziennie przychodzili do Karolka i szeptem konferowali z nim na naszym korytarzyku. W ten sposób tydzień, który pozostał do wyjazdu, minął nam jak z bicia trzask.

Trzemeszno

Dwudziestego lipca nastąpił wymarsz na bocznice kolejową w celu załadunku pułku do pociągu. Oczywiście my z Karolkiem nie maszerowaliśmy, bo maszerowanie dokądkolwiek było poniżej godności pisarza dowódcy batalionu. Siedzieliśmy w gabinecie Konia (który wymaszerował) z plecakami pełnymi niezwyklej wagi dokumentów, którymi mieliśmy się opiekować w drodze na poligon. Oczywiście te dokumenty były tam na chuj potrzebne, Karolek wymyślił je, żeby wszyscy się od nas odczepili i nie wydawali nam żadnych poleceń. Plecaki ustawiliśmy w kącie i piliśmy sobie wolniutko zakupioną przez Konia kawę. Ponieważ przebywałem w pułku od niedawna, denerwowałem się trochę, czy transport wojskowy nie odjedzie przypadkiem bez nas, ale Karolek mnie uspokajał, że nigdy się nie zdarzyło, by jakikolwiek transport wojskowy odjechał bez niego, a gdyby nawet tak się stało, to nawet lepiej, bo musielibyśmy się udać do Trzemeszna indywidualnie i na pewno spotkałyby nas po drodze liczne atrakcje. Dopiliśmy kawę, przez chwilę Karolek opowiadał mi o swojej pierwszej miłości (spotkał ją w przedszkolu, w grupie młodszaków), a potem pod nasz budynek zajechała ciężarówka. Zamknęliśmy, a potem zapieczętowaliśmy gabinety Konia i Króla i wyszliśmy na plac apelowy. Obok ciężarówki stał szeroko uśmiechnięty Cybulski.

— Mamy wszystko — powiedział na widok Karolka.

— Bardzo dobrze — rzekł Karolek, kierując się w stronę szoferki. — Ładujcie się na pakę, chłopaki.

Podaliśmy kolegom nasze plecaki, a potem wleźliśmy z Cybulskim na pakę ciężarówki. Była wypełniona mundurami polowymi, materacami, a za szoferką stał rząd pomalowanych na zielono skrzynek, w których zapewne były granaty. Cybulski był bardzo zadowolony z siebie. Rozsiadł się na stercie mundurów i radośnie pogwizdywał.

— Nikt nie zauważy zniknięcia aż tylu mundurów? — spytałem, rozglądając się wokół.

— Tych mundurów nie ma — rzekł Cybulski i dalej pogwizdywał.

— Przecież tu są.

— Tu są. Ale w ewidencji ich nie ma.

— A co się z nimi stało?

— Zostały wydane żołnierzom, których mundury były w różnych okolicznościach zniszczone lub poważnie uszkodzone w czasie ostatniego roku. Mam na każdy mundur stosowne oświadczenie żołnierza z jego własnoręcznym podpisem.

— Aż tyle mundurów zostało zniszczonych? — pokręciłem głową.

— Wojsko to znój — orzekł Cybulski. — A mundury mamy marne, podobno szyją je w Rosji. Nic dziwnego, że nie wytrzymują trudów szkolenia.

To było proste, logiczne i przekonujące.

— A granaty? — spytałem. — Też ich nie ma?

— Granaty są. Ale potem znikną.

— W jaki sposób?

— Zostaną zużyte do ćwiczeń z rzutu granatem w warunkach poligonu.

— To w jaki sposób sprzedacie je miłośnikom rybo- łówstwa?

— Ćwiczenia się nie odbędą.

— Dlaczego?

— Ponieważ okaże się, że ktoś przez pomyłkę nie zapakował do pociągu granatów.

— Przecież zaraz je zapakujemy.

— Ale nie musimy o tym krzyczeć na cały pułk.

Rozumowanie było słuszne, ale i tak miałem wątpliwości.

— Przecież w końcu wykryją brak tych granatów.

— Nie. Ponieważ w papierach będzie napisane, że ćwiczenia z rzutu granatem w warunkach poligonu się odbyły. Karolek o to zadba, bo te ćwiczenia, co się nie odbędą, a mimo to odbędą, przeprowadzi wasz batalion.

Dotarliśmy na bocznice. Wagon sztabu drugiego batalionu był podczepiony jako ostatni. Kłopot w tym, że kręcił się przed nim mocno zdenerwowany Koń.

— Karolek, ty gnido! — wrzasnął na widok swego totumfackiego. — Gdzie się podziewałeś, do jasnej cholery?!

— Ciężarówka się zepsuła — skłamał z niezmaconym spokojem Karolek. — Ale udało się zreperować.

Siedzieliśmy z Cybulskim na pace i nie bardzo wiedzieliśmy, co robić. Nie mogliśmy przecież wypakowywać nieistniejących mundurów na oczach Konia. Karolek rozejrzał się wokół i rzekł:

— Odejźmy na chwilę, obywatelu kapitanie.

— Niby dlaczego? — Koń zrobił się podejrzliwy.

— Chłopaki będą wypakowywać skrzynki z minami przeciwczołgowymi. Nigdy nie wiadomo, czy któraś od wstrząsu nie wybuchnie. A jak jedna, to wszystkie. Szkoda byłoby umierać w tak młodym wieku.

To przekonało Konia. Ruszyli razem w stronę elektrowozu. Koledzy, którzy mieli podróżować z nami, wyskoczyli z wagonu. Natychmiast zapakowaliśmy do środka mundury, materace, granaty oraz nasze ważne papiery.

Wnętrze wagonu towarowego nie wyglądało zbyt zachęcająco. Środek był pusty, a po obu bokach znajdowały się szerokie, drewniane półki, na których mieliśmy spać. To musiało być niezbyt przyjemne. Ale gdy się ułożyło na tych dechach wojskowe materace, a na nich koce, które przezorny Cybulski też zabrał z magazynu, zrobiło się od razu przyjemniej i bardziej swojsko. Ułożyliśmy się wygodnie. Trzeciak wydobył karty i rozglądał się za partnerami do pokerka. Pałyga zaczął grać na harmonijce ustnej *With a Little Help from My Friends*. W drzwiach wagonu pojawił się Karolek. Stanął na szerokim stopniu, wychylił się niebezpiecznie i wrzasnął ile sił w płucach:

— Oodjazz!

Pociąg wolno i majestatycznie ruszył.

Podróż minęła nam jak z bicza trzaśł, głównie wskutek wielu butelek alkoholu, które Trzeciak poukrywał sprytnie w skrzynkach z granatami. Odśpiewaliśmy wiele pieśni wojskowych, cywilnych oraz nieprzyzwoitych, a potem usnęliśmy jak dzieci na naszych materacach.

Rankiem obudził nas ciężki kac i wrzask jakiegoś trepa, który tuż obok naszego wagonu informował wszystkich, że stoimy na boczniczy obok stacji kolejowej Trzemeszno. Otworzyłem drzwi, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i obejrzeć sobie to słynne miejsce. Mówienie o stacji było nieco na wyrost, bo opodał ujrzałem wąziutki peron i odrapany parterowy budynek, na którym wisiała lekko pordzewiała tablica z nazwą miejscowości. Poza tym po obu stronach torów był las, z którego dobiegał śpiew ptaków. Po mnie obudził się Karolek. Nieco chwiejnie wylazł

z wagonu, wszedł do lasu i przez dłuższy czas pozbywał się z organizmu nadmiaru alkoholu. Potem wlaź z powrotem i zaczął budzić Pałygę. Pałydze śniło się chyba coś niezwykle pięknego, bo wymachiwał pięściami na wszystkie strony i za nic nie chciał otworzyć oczu. Dopiero gdy Karolek zrzucił go z półki na podłogę, ocknął się.

— Co jest? — wymamrotał.

— Leć, skombinuj ciężarówkę — powiedział Karolek. — Musimy jakoś zabrać to wszystko.

Pałyga w dosadnych słowach poinformował wagon, co myśli o Karolku, ale poszedł. Powoli wstawali pozostali, szli do lasu, a potem wszyscy zaczęliśmy się rozglądać za czymś do jedzenia. Wyjeżdżając z koszar, mieliśmy jedzenia w bród, ale w nocy wszystko zostało skonsumowane jako zakąska.

— Później się nażrecie — rzekł Karolek. — Biznes przede wszystkim.

Od strony odrapanego budynku z tablicą „Trzemeszno” zbliżała się w naszym kierunku ciężarówka. Jechała nieco zygzakiem. Zaczęliśmy wyładowywać mundury, granaty i materace. Pałyga zajechał pod wagon z takim fasonem, że zahaczył o zwrotnicę, która wlaźła pod przedni zderzak i za nic nie chciała wyleźć. Szarpał się z nim rozpaczliwie, a my tymczasem pakowaliśmy cierpliwie na pakę to, czego Cybulski, Trzeciak i Karolek pozbawili armię. Pałyga patrzył na nas ponuro. W końcu zrobiło nam się go żal i poszliśmy całą gromadą wyciągać zwrotnicę spod zderzaka. To było niewykonalne. Wściekły Pałyga odkręcił pogięty zderzak, rzucił go na pakę i pojechaliśmy.

Przez cały dzień rozstawialiśmy namioty, umieszczaliśmy w nich nasze dobro wspólne, a wieczorem zdarzyło się nieszczęście: dowódca pierwszego batalionu zabrał nam ciężarówkę. Podobno od początku była na ich stanie i bardzo się zdziwili, gdy znikła. Utrata ciężarówki zdenerwowała

Karolka. Przestał urządzać swój namiot i ruszył przez poligon, szukając jakiegoś środka transportu. Początkowo szedł pieszo, aż trafił na cywilnego grzybiarza z rowerem. Karolek poinformował go, że znajduje się na terenie wojskowym, gdzie łatwo może zostać zastrzelony, i pożyczył od niego rower. Grzybiarz się trochę sprzeciwiał, ale dostał propozycję nie do odrzucenia: albo pożycza rower i spada ze swoimi grzybami, albo Karolek napuści na niego znajdującą się opo- dal artylerię.

Na rowerze Karolek objechał wszystkie miejsca, gdzie można było zdobyć ciężarówkę, i nie odniósł sukcesu. Okazało się, że przez pomyłkę połowa ciężarówek została w Opolu i teraz wszyscy wyrywali sobie te nieliczne, które dotarły do Trzemeszna. Karolek klął na wszystko i wszystkich, pedałowal tam i z powrotem po poligonie, szukając wyjścia z sytuacji. I jak zwykle znalazł.

Jeden ze skotów czwartego batalionu zepsuł się w momencie wyładunku. Jego kierowca siedział zadowolony pod drzewem i cieszył się życiem. Karolek przysiadł się do niego. Wyjął z kieszeni munduru piersiówkę i obaj pociągnęli po łyku. Potem Karolek zaczął przekonywać kierowcę, że należy zepsuty pojazd zaholować do punktu naprawy sprzętu wojskowego. Kierowca uśmiechnął się na to i powiedział, że takiego punktu nie ma. Karolek zgodził się, że owszem, nie ma, ale on, Karolek, zaraz go zorganizuje. Potem pociągnęli jeszcze po łyku i odnaleźli kierowcę innego skota, z którym opróżnili piersiówkę do końca, a następnie zaholowali zepsuty pojazd aż do naszych namiotów. Karolek obudził Pałygę i rzekł do niego:

— Pałyga, jesteś najlepszym mechanikiem w pułku, nie?

— Jestem najlepszym mechanikiem w Opolu — rzekł z godnością Pałyga. — A może nawet w całej Polsce.

— Niech ci będzie, że w całej Europie.

Pałygę trochę to zaskoczyło. Podrapał się w głowę, zastanawiając się, co powiedzieć.

— W Azji też trudno znaleźć kogoś lepszego — rzekł skromnie.

— Skoro tak, to musisz na jutro rano uruchomić tego skota.

— Zrobi się — zapewnił Pałyga.

Przebrał się w kombinezon roboczy i zaczął grzebać w silniku.

Rano obudził nas warkot. Skot był przygotowany do akcji. Karolek napakował do niego mundurów i granatów, a potem razem z kierowcą, Cybulskim i Trzeciakiem, wyruszył na objazd okolicy. Ja zostałem, żeby informować Konia i Króla, że wszystko jest w najlepszym porządku, a Karolek jest tylko chwilowo nieobecny.

Obaj nasi dowódcy zjawili się około dziewiątej. Nie przejęli się nieobecnością Karolka i dzielnie poprowadzili batalion do ataku na wyimaginowanego nieprzyjaciela. Mnie zostawiono w spokoju, bo ktoś musiał pilnować ważnych papierów, które nie wiadomo po co zabraliśmy z Opola.

Rozłożyłem sobie materac pod drzewem i wyciągnąłem się wygodnie. Z oddali dobiegły odgłosy serii z kbk AK, odzywały się armaty, a nade mną wolno przesuwwały się chmury. W koronie drzewa odzywał się jakiś ptak, a gdy milkły wystrzały, rozlegało się cierpliwe stukanie dzięcioła. Zrobiło mi się tak błogo i przyjemnie, że było mi zupełnie obojętne, iż mam na sobie mundur i należę do jakiejś tam armii, która bez sensu biega po poligonie. Potem moje myśli powędrowały w kierunku Karolka. Wyobraziłem sobie skota stojącego pośrodku wsi, otoczonego przez miejscową ludność, która pracowicie wybiera dla siebie mundury, przymierza je w pobliskich krzakach i targuje się z Karolkiem. Chłopy żartują, Karolek opowiada sprośne dowcipy, kobity chichoczą domyślnie, a tymczasem Trzeciak z boku dyskretnie sprzedaje amatorom ryb z PGR-

owskich stawów granaty, napominając ich przy okazji, by nie chodzili z granatami do pobliskiej gospody ani na zabawę, bo granat to tylko granat, nigdy nie wiadomo, czy sam z siebie nie wybuchnie, poza tym, jak człowiek jest nawalony, może zapomnieć, że po wyciągnięciu zawlecзки należy granat wyrzucić. Potem na horyzoncie pojawia się ciężarówka, Karolek pospiesznie pakuje towar do skota i zamyka drzwi. Ciężarówka wjeżdża do wsi, wysiada z niej trep w randze porucznika i zaczyna się dziwić, co wóz bojowy robi tak daleko od poligonu. Karolek tłumaczy mu cierpliwie, że skot zaczął się psuć na poligonie, więc został odesłany na tyły, ale nie dotarł tam, gdzie powinien, bo właśnie w tej wsi zepsuł się ostatecznie. Trepa kojarzy Karolka, więc jest zdziwiony, dlaczego Karolek, który jest z drugiego batalionu, dowodzi skotem z czwartego batalionu, na co Karolek odpowiada, że on nic nie wie, jest tylko starszym szeregowcem, co mu każą, to robi, a w tak skomplikowanej kwestii powinien się wypowiedzieć Koń jako dowódca batalionu. Dociekliwy trep widząc, że Konia nie ma w zasięgu wzroku, wsiada do ciężarówki i odjeżdża, a Karolek otwiera tylne drzwi skota i wydobywa na światło dzienne ogólnowojskowe kurtki, spodnie, buty, skarpetki, onuce, majtki, słowem wszystko, co zapobiegliwy zarządca magazynu mundurowego ma ludności cywilnej do zaoferowania, a Trzeciak otwiera łomem kolejną skrzynkę z granatami.

Potem zacząłem sobie wyobrażać kolejne przygody Karolka, aż usnąłem spokojnie jak dziecko. Obudził mnie nieprzyjemny dźwięk klaksonu. Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą faceta w hełmie siedzącego na -mo- tocyklu.

— Tu jest drugi batalion!?

— Tu — potwierdziłem, siadając na materacu.

— Telegram do was. Podpisz.

Podsunał mi jakiś papier, który odruchowo podpisałem. Podał mi telegram, dodał gazu i odjechał między drzewa. Nie miałem pojęcia, że na poligon dochodzą telegramy. Spojrzałem na nazwisko adresata i okazało się, że telegram jest do mnie. Tekst był krótki: „Jutro po południu przyjeżdżam do Trzemeszna. It”. Oczywiście każdy rozsądny człowiek musi sobie zadać pytanie: po cholere dziewczyna starszego szeregowego Zabłockiego przyjeżdża na poligon w Trzemesznie? Czy pragnie, by ją przypadkiem zastrzelono podczas kolejnego pozorowanego ataku na transzeje wroga? A może życzy sobie zostać zmiażdżona przez pojazd gąsienicowy? Albo ewentualnie pragnie udać się na zabawę taneczną w pobliskiej wsi i tam zostać zgwałcona przez ludność płci męskiej? Tak myśli każdy rozsądny człowiek, ale nie It. Byłem pewien, że kiedy mnie wreszcie odnajdzie w leśnych ostępach, powie po prostu: „Bo wiesz, jakoś zaczęłam za tobą tęsknić”.

Taka była It i za to ją właśnie kochałem.

Ułożyłem się z powrotem na materacu i zacząłem sobie wyobrażać It w różnych sytuacjach, przeważnie erotycznych. Wtedy nadjechał skotem Karolek. Wstałem leniwie z materaca i poszedłem odegrać rolę komitetu powitalnego. Mój kumpel, Trzeciak, Cybulski oraz kierowca promienieli.

— Jesteśmy milionerami! — wykrzyknął na mój widok Karolek. — Towar szedł jak woda.

— O granaty mało się nie pobili — dodał Trzeciak.

— Natknęliśmy się po drodze na Konia — kontynuował Karolek. — Trepy robią sobie jutro popijawę, a my mamy im dostarczyć napitki. To się świetnie składa, bo przy okazji będziemy mogli zorganizować własny bankiet. Narąbiemy się, Pawełku, jak jeszcze nikt nigdy się nie narąbał.

— Co do mnie, to nie wiem — powiedziałem. — Ona przyjeżdża.

— Kto?

— It. Dostałem telegram.

Karolek wybałuszył na mnie oczy.

— Przyjeżdża? Tutaj?

— Mówiłem ci, że to wariatka.

Karolek pokręcił głową.

— Nie przypuszczałem, że do tego stopnia. Z drugiej strony, miłość to uczucie z gruntu nieracjonalne.

— I co ja tu z nią będę robił?

— Wynajmiemy ci pokój. — Karolek się uśmiechnął. — Jest tu taka jedna babcia. Głucha jak pień. Zawsze u niej wynajmujemy, jeśli pojawi się okazja damsko-męska. „Pod Dębami” jest bardziej elegancko, ale tam kręcą się trepy. No nic, popijemy innym razem. Teraz idę spać i zastrzeżę każdego, kto spróbuje mnie obudzić.

I zniknął w namiocie.

Karolek miał nadzieję, że pojedziemy po wódkę na oba bankiety skotem, do którego był coraz bardziej przywiązany. Niestety, jeszcze tego wieczora zjawił się dowódca drugiej kompanii czwartego batalionu i zarekwirował skota, grożąc kierowcy, że go wyśle do karnej kompanii. Nie budziliśmy Karolka, bo i tak nie mógłby nic na to poradzić.

Rankiem wiadomość o utracie skota bardzo Karolka zbulwersowała. Przez dłuższy czas rozwodził się nad głupotą trepów, którzy pozbawiają go środka transportu i liczą, że będą mieli bankiet, ale potem zmienił zdanie.

— Wiecie co, chłopaki — powiedział. — Przejdziemy się trochę po lesie. Słońce świeci, ptaszki świergoła, spokój, cisza, pól minowych po drodze nie ma... Sama przyjemność.

— Dawno myślałem o tym, żeby się przejść — wyznał Trzeciak. — Ale nie było dokąd. Tylko się człowiek spał w tym wojsku.

Wzięliśmy plecaki i ruszyliśmy spacerkiem po alkohol. W Trzemesznie rezydowały różne sztaby, więc nie było sensu tam iść. Pomaszerowaliśmy do odległej o jakieś osiem kilometrów wsi Jodłówek, gdzie chodzili żołnierze z całego poligonu, bo tamtejszy sklep był znakomicie zaopatrzony we wszelkiego rodzaju trunki.

Rozdział 15

Doktor

Nie ma nic miłszego od wędrówki przez las, kiedy słońce nie podniosło się jeszcze zbyt wysoko, powietrze jest krystalicznie czyste, kąc mija jak ręką odjął, a krew zaczyna krążyć szybciej. Gdzieś z boku dobiegała zaciekle strzelanina, czasem mijał nas przedzierający się przez krzaki czołg, ale nie przejmowaliśmy się tym wszystkim, bo wiedzieliśmy, że nie ma takiej sytuacji wojskowej, z której Karolek by nas nie wyciągnął. Tak dotarliśmy na skraj lasu, gdzie wznosił się spory pagórek. Na pagórku zobaczyliśmy stojącego samotnie żołnierza. Był to przedstawiciel bratniej Armii Czerwonej. On też nas zobaczył i zaczął schodzić z pagórka w naszą stronę. Poczuliśmy się zaniepokojeni. Czyżby sowieci odcięli nas od sklepu w Jodłówku? Z tego mógłby wyniknąć konflikt międzynarodowy. Sołdat zbliżał się coraz bardziej. Był nieogolony i ogólnie wyglądał smutno i nieświeżo. Stanęliśmy i gapiliśmy się na niego.

— Sigariety u was jest? — zapytał

— Mamy, no i co? — odpowiedział Karolek, patrząc wyzywająco na sojusznika.

— Kurit' хочzetsa — poskarżył się czerwonoarmista.

— Karabin dasz za sigarietę? — spytał Karolek.

— Ty szto?! S uma saszoł? — Soldat podniósł kałasznikowa i wycelował w pierś Karolka.

— Żartowałem — rzekł Karolek. — Rozumiesz? Taki żart.

— Szutka — dorzuciłem. — Panimajesz?

Opuścił karabin i uśmiechnął się podejrzliwie. Karolek wyciągnął paczkę carmenów. Usiedliśmy wszyscy na trawie i zapaliliśmy.

— No i co ty, chłopie, robisz na tym pagórku? — spytał Karolek, patrząc, jak żołdat łapczywie zaciąga się dymem.

Przetłumaczyłem to nieudolnie na rosyjski.

— Lejtnant mienia zdies' astawił — wyjaśnił Rusek. — Stoj, skazał, smatri na wsio i ždi mienia.

— I dołgo tak stoisz?

— Tri dnia. Tuszonka kończyłas'. Sigarietow niet i lejtnanta toże niet.

Karolek sięgnął po paczkę carmenów i podał ją żołnierzowi.

— Masz, sieroto sowiecka — powiedział. — Pal sobie do woli, a jakbyś przysnął, niech ci się przyśni twój zastrany lejtnant.

— Spasiba — odrzekł czerwonoarmista, serdecznie i mocno ściskając dłoń Karolka.

Ruszyliśmy dalej. Do Jodłówka zostało półtora kilometra. Po drodze nie natknęliśmy się na żadnych czerwonoarmistów ani mitycznego lejtnanta. Za to pod sklepem zobaczyliśmy przechyloną na bok ciężarówkę wojskową, a obok niej kilku żołnierzy, którzy wspierali się wzajemnie, bo żaden nie był w stanie samodzielnie utrzymać równowagi. Trzymali w dłoniach butelki z piwem, a ich twarze były tak błogo uśmiechnięte, jakby trafili nie do Ludowego Wojska Polskiego, lecz do raju.

— Witajcie, koledzy! — zawołał na ich widok Karolek. — Skąd jesteście?

— Elbląg! — krzyknęli chórem.

— A my z Opola.

— Też piękne miasto — rzekł jeden z nich. — Napijcie się z nami?

— Jedno, dwa piwka tak — zgodził się Trzeciak. — Ale więcej nie. Nie mamy czasu, jesteśmy ekspedycją transportową.

Weszliśmy do sklepu, gdzie sprzedawca radośnie powitał Karolka, którego znał z poprzedniego poligonu. Wzięliśmy po butelce piwa i piliśmy je wolno. Było zimne, cierpkie, takie właśnie, jakie żołnierz ganiany tam i z powrotem po poligonie lubi najbardziej. W tym czasie Karolek i Trzeciak zamawiali najróżniejsze alkohole — najpierw dla trepów, a potem dla nas. Gdy już wszystko było zamówione, Karolek rzekł:

— Teraz jeszcze na mój rachunek pół litra żytniej, bochenek chleba i największe pęto kielbasy.

Sprzedawca podał mu to, jakby wręczał Karolkowi najcenniejszą rzecz, jaką posiadał w całym swoim życiu. Zapakowaliśmy alkohol do naszych plecaków, które od razu zrobiły się ciężkie i niewygodne, po czym opuściliśmy sklep.

— Szanowni towarzysze broni — odezwał się Karolek do żołnierzy z Elbląga, którzy już nie wspierali się wzajemnie, lecz siedzieli na murku przed sklepem, bujając się na boki. — Nie podwieźlibyście nas swoim pojazdem? Nie chce nam się dźwigać tego wszystkiego. Stawiam litra.

— Nie da się — wymamrotał kierowca ciężarówki. — Dwa koła poszły. Bez pomocy się stąd nie ruszymy.

Pałyga poszedł obejrzeć ciężarówkę. Po chwili wrócił.

— Przerznęliście opony bagnetem, co?

— No co ty? — zdziwił się kierowca. — Papiaki ktoś na drodze rozsypał. No i kicha.

— Nie pojedziemy — rzekł Pałyga do Karolka. — Przerznęli, jakby podrzynali komuś gardło. Mogiła.

Ruszyliśmy w stronę lasu. Ale nie uszliśmy nawet trzystu metrów, gdy Karolek się zatrzymał.

— Szlag by trafił! — powiedział. — Zapomniałem... Doktor mnie prosił, żebym mu kupił pięć piw. Paweł, ty masz trochę miejsca w plecaku,

skocz i kup pięć tyskich. Albo nie. Kup dziesięć. Należy mu się od nas.

Nawet nie wiedziałem, że jest w pułku jakiś doktor, ale tak ufałem moim nowym przyjaciółom, że zawróciłem i poleciałem do sklepu po dziesięć butelek tyskiego. Koledzy oddalali się wolno, bo słońce wznosiło się coraz wyżej i robiło się gorąco. Dogoniłem ich dopiero obok pagórka. Stali na drodze i gapili się w górę.

— Ty, Wania! — wołał Trzeciak. — Jesteś tam?!

Przez chwilę panowała cisza, a potem na szczycie wzgórza pojawiła się sylwetka czerwonoarmisty. Poznał nas i zaczął schodzić w dół.

— Masz, bracie — rzekł Karolek, wręczając mu bochen chleba i kiełbasę. — Okupant jesteś, ale wiemy, że tak samo wsadzili cię siłą w ten mundur, jak nas. Jedz, biedo bolszewicka.

Rosjaninowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Tak się dorwał do chleba i kiełbasy, że zapomniał o nas zupełnie. Patrzyliśmy na niego z podziwem.

— Wódki się napijesz? — spytał Cybulski.

Nie przestając przeżuwać, skinął głową. Pałyga odbił flaszkę i podając ją sobie z rąk do rąk, zaczęliśmy z wolna opróżniać. Okupant wypił swoją działkę i popatrzył na nas z wdzięcznością.

— Spasiba, druzja — powiedział.

Karolek milczał. Znałem go już na tyle, że wiedziałem, iż ma jakiś nowy pomysł i zastanawia się, jak go wprowadzić w czyn.

— Słuchaj no, ofiaro słowiańska — powiedział wreszcie. — Jak ci tam...?

— Kak tiebia zawut? — przetłumaczyłem.

— Sierioża.

— Słuchaj, Sierioża — rzekł Karolek. — Podobasz mi się i wkurwia mnie to, że jakiś ruski trep zostawia cię bez żarcia i fajek na trzy dni na

pagórku. Zabierzemy cię ze sobą. Damy ci polski mundur. Rozumiesz, co mówię?

— Da. No eto niewazmožno — rzekł Rusek.

— Wszystko wazmožno. Ukryjemy cię u nas w koszarach. Na jesieni będzie pobór. Udamy, że jesteś z poboru, i wyrobimy ci dokumenty. Odśłużyś dwa lata i będziesz Polakiem, a twój lejtnant będzie cię mógł pocałować w dupę.

Sierioża robił wrażenie oszołomionego, więc na wszelki wypadek przetłumaczyłem mu przemowę Karolka na jego ojczysty język.

— Nie bój się, chłopie — dodał Trzeciak. — Przepadniesz jak kamień w wodę. Pewnie, że będą cię szukać, ale w końcu przestaną i zapiszą w twoich papierach, że zamordowali cię Polacy w odwecie za Katyń.

I to przetłumaczyłem. Sierioża patrzył na nas wytrzeszczonymi oczami, a potem chwycił nadgryziony chleb, resztkę kiełbasy i rzucił się do ucieczki. Patrzyliśmy ze zdumieniem, jak pędzi na szczyt pagórka, pada tam na trawę, podnosi do ramienia kałasznikowa i przyjmuje pozycję strzelecką, żeby odeprzeć nasz ewentualny atak.

— O co mu chodzi? — zdumiał się Karolek.

— Jakiś wariat czy co? — dodał Pałyga.

— Nie czepiajcie się człowieka — powiedziałem. — Wychował się w ZSRR i nie może być normalny.

— Pewnie — zgodził się Cybulski. — Trzeba by go leczyć, ale czy można zamknąć w psychiatryku cały kraj?

Nie zważając na to, że bez przerwy celuje do nas z kałasznikowa, opróżniliśmy butelkę do końca i ruszyliśmy w dalszą drogę. Słońce stało już w zenicie, a plecaki z minuty na minutę stawały się coraz cięższe. Nic zatem dziwnego, że gdy po półgodzinie dotarliśmy do niewielkiej polany,

ułożyliśmy się w cieniu, by trochę odpocząć. Skorzystałem z okazji: przysiadłem się do Karolka i zapytałem o doktora.

— Doktor — powiedział Karolek — to nie jest byle kto.

— Ale to chyba normalny trep, nie?

— Nie do końca — rzekł Pałyga. — Nie jest tu dobrowolnie. Już parę razy próbował się wymiksować z woja, ale go nie puszczają.

— I jest poetą. Kiedyś się upił i czytał chłopakom z izby chorych swoje wiersze. Podobno bardzo w porządku — wtrącił Cybulski.

— Najważniejsze, że się umiał zachować, kiedy było trzeba — rzekł Karolek. — Widzisz, w trzecim batalionie było dwóch takich, co się przyjaźnili. Ale nie tak jak my, że wiesz, kolega z wojska, dziś pijemy, jutro się rozejdziemy. To byli prawdziwi przyjaciele. No i jeden z nich zaczął świrować, że już dłużej nie wyrobi. Weźmie kałasza, najpierw zajebie dowódcę kompanii, a potem siebie. Chłopaki mu tłumaczyły, że to nie ma sensu. Lepiej pokombinować, jak tu wyjść do cywila. No i wyszło, że najlepiej się postrzelić.

— Postrzelił sam siebie? — zdziwiłem się.

— Nieszkodliwie, w nogę, tak żeby przeszło przez mięśnie. Szpital murowany, potem psychiatra, nie miał znowu tak dużo i jakoś by dojechał do końca.

— Tyle że chłopak był wrażliwy — wtrącił się Trzeciak. — Trzy razy szedł na wartę, przykładał kałasza do nogi, ale gdy trzeba było nacisnąć spust, wymiękał. Zdarza się. Więksi twardziele od niego pękali w takiej sytuacji. No i przyjaciel postanowił mu pomóc. Poszli razem na wartę. Jak było nad ranem i dowódca warty spał, podszedł do niego, wziął jego broń i wygarnął koledze w udo, a potem zaczął drzeć mordę na całe koszary, że niby samobójstwo.

— Aha. I tu pojawił się doktor?

— Pojechali po niego do hotelu oficerskiego, ściągnęli go podobno z jakiejś laski i przywieźli do koszar.

— Problem w tym — powiedział Karolek — że koleś, który strzelał, sfuszerował sprawę. Zamiast przyłożyć lufę do nogi, strzelił coś z trzydziestu centymetrów. Kula poszła po kości, ale najważniejsze, że portki nie były osmalone. Doktor od razu się połapał, że nie ma możliwości, by koleś sam do siebie strzelił z takiej odległości. Wiesz, co to znaczy? Prokurator i kilkanaście lat w ciupie za to, że chłopak chciał pomóc koledze. I co zrobił doktor? Po pierwsze, dał postrzelonemu inne portki, a tamte przestrelone jakoś zagięły. Po drugie, napisał w protokole, że strzał był z przyłożenia. No i rozeszło się jakoś, tyle że ten postrzelony będzie kulał do końca życia. Ale poza tym cisza, spokój i ogólne szczęście.

Postanowiłem przyjrzeć się doktorowi przy pierwszej okazji, a na razie nabrałem do niego sympatii na tyle, że dziesięć butelek piwa, które dla niego dźwigałem, niezbyt mi ciążyło. Zresztą wkrótce dotarliśmy do naszych namiotów. Zjedliśmy obiad i wtedy Karolek przypomniał sobie o It.

— Ta twoja laseczka chyba już czeka? — zapytał.

— Jak ją znam, to pewnie tak.

— No to chodźmy.

— Dokąd?

— Na dworzec, idioto. Chyba że chcesz, bym tam poszedł sam, powiedział, że jesteś ciężko ranny, i zaproponował zastępstwo.

— Wal się.

— No to bierz te piwa dla doktora, a ja wezmę wódkę dla Konia.

Ruszyliśmy energicznie przez las. Koń był na jakiejś naradzie, więc zostawiliśmy alkohol u mojego szefa, który tkwił na miejscu, rzekomo przygotowując zajęcia polityczne, których na poligonie w ogóle nie

prowadził. Potem zaczęliśmy szukać doktora. Znaleźliśmy go ze trzy kilometry od Trzemeszna, gdzie stały namioty sanitarne. Obok stacjonował jakiś radziecki pluton opiekujący się trzema rakietami umieszczonymi na stanowiskach. Tamtejszy sierżant darł się na żołnierzy, z których jeden wlażł na długi wysięgnik i majstrował coś przy rakiecie, a pozostali zakładali się, czy spadnie i się zabije, czy nie. Stanęliśmy i gapiliśmy się na nich przez chwilę, aż podszedł do nas jeden w hełmie z czerwoną gwiazdą, zdaje się wartownik, i zapytał, na co się gapimy. Karolek powiedział, że jak żyjemy nie widzieliśmy takiej pięknej rakiety, chyba w całej Polsce takiej nie ma, to się gapimy i nie możemy się napatrzeć. Wartownika nie wzruszył nasz zachwyt nad radzieckim sprzętem wojskowym, zdjął kałasza z ramienia, skierował w naszą stronę i rzekł:

— Paszli won!

No to żeśmy poszli.

Doktora zastaliśmy siedzącego w namiocie z książką w ręku. Było to *Sto lat samotności* i od razu pomyślałem, że tytuł pasuje jak ulał do sytuacji doktora, który nie mógł się w żaden sposób wydostać z naszego pułku. Wręczyliśmy mu dziesięć piw, na co oświadczył, że zamawiał wprawdzie tylko pięć, ale chętnie zwróci nam pieniądze za wszystkie. Karolek nie zgodził się na taką propozycję. Powiedział, że weźmie kasę tylko za pięć, bo reszta to prezent od nas, sztabu drugiego batalionu. Po dłuższej wymianie zdań doktor ustąpił, przyjął od nas pięć piw i mogliśmy pomaszerować w stronę stacji. Po drodze mijaliśmy mnóstwo umundurowanych różnej szarży, ale szczęśliwie nikt nas się nie czepiał.

Na peronie stacji kolejowej Trzemeszno It nie było. Czyżby, mimo że wyjechała z Warszawy wczoraj, jeszcze tu nie dotarła? Byłem trochę zaniepokojony, ale Karolek powiedział, że nie takie rzeczy na świecie się

zdarzają. On skoczy do sklepu po piwo, a ja tu będę siedział na peronie i wypatrywał pociągu. I poszedł.

Wrócił po chwili bez piwa i rzekł:

— Chodź.

No to poszedłem.

Za budynek z napisem „Trzemeszno” ciągnęła się bocznica, na której w swoim czasie stał nasz wojskowy eszelon. Teraz tory były puste, a na ich końcu było widać grubą poziomą belkę. Na belce siedziała It i wymachiwała nogami.

— To ona? — spytał Karolek.

— No. Chodź, poznam was ze sobą.

— Poczekaj — powiedział Karolek. — Niech sobie trochę popatrzę.

It nas nie widziała, bo staliśmy w cieniu za budynkiem. Kręciła się na belce i rozglądała po okolicy.

— Nie jest jakaś bardzo ładna — powiedziałem, chcąc uprzedzić krytyczne uwagi Karolka, który uchodził za znawcę kobiecej duszy i całej reszty.

Poklepał mnie po ramieniu.

— Ma to coś. Farciarz z ciebie.

— Ja wiem...

Popatrzył na mnie jak na idiotę.

— To co, idziemy do niej, czy sam mam iść?

Ruszyłem szybkim krokiem, jakbym się obawiał, że Karolek mnie wyprzedzi, co, nie wiadomo dlaczego, wydało mi się niebezpieczne. It mnie zobaczyła, zeskoczyła z belki, podbiegła, zarzuciła mi ręce na szyję i zupełnie nie zważając na obecność Karolka, zaczęła mnie niezwykle namiętnie całować. Potrzebowałem dłuższej chwili, by się uwolnić z jej objęć.

— To jest Karolek — powiedziałem.

It wyciągnęła do Karolka rękę i jak to miała w zwyczaju, spojrzała mu w oczy. Chyba zobaczyła w nich coś, co ją bardzo zaintrygowało, bo wciąż trzymała jego rękę i patrzyła mu prosto w oczy, a Karolek patrzył prosto w oczy It. Poczułem, że chyba jestem zbędny, powinienem się odwrócić i odejść, a jeśli będę szedł szybko, to może zdążę do naszych namiotów, nim koledzy wszystko wypiją, i zdołam zalać się w trupa. Karolek był jednak dobrym kolegą, spojrzał na mnie, wypuścił rękę It ze swojej dłoni i powiedział:

— No to chodźmy.

— Dokąd? — zapytała It takim tonem, jakby była gotowa pójść za Karolkiem na koniec świata.

— Do starej Żółwikowej.

I poszliśmy w trójkę do Trzemeszna.

Dopiero w tym momencie zauważyłem, że z Karolkiem jakoś tak jest, że wszyscy go słuchają, gdy mówi, idą tam, gdzie on idzie, i robią to, co powie, żeby zrobili. Karolek nie miał nad nami żadnej władzy, był tak samo jak ja zwykłym starszym szeregowcem, nie wydawał żadnych rozkazów, a cały batalion robił to, co Karolek sobie zamarzył. Teraz też szliśmy za nim, aż doszliśmy do krzywej, drewnianej chałupy, Karolek pchnął drzwi i wszedł do środka, a my za nim. Na środku izby siedziała baba w wieku nieokreślonym okutana w jakieś swetry, chusty i diabli wiedzą co.

— Dzień dobry, pani Żółwikowa! — wrzasnął do niej Karolek.

Popatrzyła na niego niezbyt inteligentnie, a potem przyłożyła dłoń do ucha i spytała grubym, ochrypłym głosem:

— Czego?

— Pokój nam potrzebny! Do jutra rana! — darł się Karolek.

— Co niby?

Karolek machnął na babę ręką. Wyjął z kieszeni 50 złotych i położył przed nią na stole. W oczach kobiety pojawił się błysk zrozumienia. Wolno wyciągnęła rękę i wskazała nam pomalowane na zielono drzwi w głębi pokoju. Karolek ruszył przodem, a my za nim. Znaleźliśmy się w niedużej izbie, na środku której stało duże drewniane łóże pomalowane na niebiesko w żółte kwiatki. It usiadła na nim i na jej twarzy pojawił się wiele obiecujący uśmiech.

— Usłyszeć was baba nie usłyszy — rzekł Karolek — ale lepiej zasunąć zasuwę w drzwiach, bo jeszcze coś się jej pochrzani i wkroczy w nieodpowiednim momencie. No to bawcie się dobrze, moje dzieci.

Podszedł do It, która wstała, a Karolek pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło. It przytuliła się do niego, ale Karolek delikatnie ją odsunął, podał mi rękę i znikł za drzwiami. Zasunąłem zasuwę. Siedzieliśmy obok siebie na łóżku, patrząc na wiszący naprzeciwko obraz przedstawiający anioła stróża przeprowadzającego chłopczyka i dziewczynkę przez spróchniały mostek nad rwącą rzeką.

— On jest niezwykły — powiedziała It.

— Karolek?

— Uhm.

Znów się zagapiłem na anioła stróża, jakbym oczekiwał od niego pocieszenia.

— Ale i tak kocham tylko ciebie — powiedziała It. — I strasznie, strasznie za tobą tęskniłam.

Przytuliła się do mnie i zaczęła powolutku odpinać guziki mojego munduru. Ja jej nie pomagałem, czekałem cierpliwie, a potem sam zacząłem odpinać jej guziczki. Za oknem rozległo się pianie koguta, który odezwał się zupełnie nie w porę. Z sąsiedniego pokoju dochodziły ciężkie kroki baby Żółwikowej, która wędrowała od kuchni do stołu, niosąc

w drżących rękach pobrzękującą o spodeczek szklanę z herbatą, a ja na niebieskim łóżku w żółte kwiatki całowałem drobne ciało It, delikatną, kruchą szyję i tajemniczy dołek między kośćmi obojczyka. Potem dotykałem wargami sutków, które nabrzmiały pod wpływem moich pocałunków, i czułem drobną dłoń It wędrującą po moim ciele. Pochyliłem się do jej brzucha i wsunąłem język w pępek, a It przewróciła się na brzuch. Objąłem jej pośladki. Bardzo pragnęliśmy siebie, ale odwlekaliśmy ten moment tak długo, jak się dało, już nie mogliśmy wytrzymać, drżeliśmy oboje. Wreszcie powędrowałem w głąb niej, It krzyknęła z rozkoszy, ale nikt jej nie usłyszał, ani głucha jak pień Żółwikowa, ani pogrążone w przedwieczornej krzątaninie Trzemeszno.

Za oknem robiło się coraz ciemniej, w końcu cały świat zasnął, tylko my nie mogliśmy się sobą nasycić. Kochaliśmy się sam już nie wiem, który raz, aż w końcu nie mieliśmy sił. Leżeliśmy obok siebie bez ruchu, a zza ściany dobiegało basowe chrapanie Żółwikowej. Potem łóżko zaskrzypiało, baba przewróciła się na drugi bok i ucichła. Wtedy okno wiejskiej izby wypełniło się nagle upiornym białym światłem i w tej samej chwili usłyszeliśmy ogłuszający huk. Zerwaliśmy się z łóżka. W oknach sąsiednich domów zaczęły się zapalać światła. Tylko Żółwikowa wciąż chrapała w sąsiedniej Izbie. Otworzyłem okno. Niebo nad lasem było czerwone, widać było unoszący się wolno czarny dym.

— To na poligonie. Muszę tam lecieć.

— A ja? — zapytała It.

— Prześpij się spokojnie do rana i wracaj do Warszawy. Gdyby ktoś cię pytał, co tu robisz, powiedz, że przyjechałaś do mnie, widzieliśmy się wczoraj po południu, ale o wpół do dziesiątej musiałem wracać na poligon. Poza tym nic nie wiesz, na niczym się nie znasz, nie wiesz nawet, w której jednostce służę. Kupiłaś bilet powrotny?

— Uhm.

— To najlepiej siedź u Żółwikowej aż do odjazdu pociągu. Tu na każdego obcego zwracają uwagę. Wyjdź w ostatniej chwili i leć szybko na peron. Nie ma cię i nigdy cię tu nie było.

Pozbierałem swoje rzeczy, a potem się długo całowaliśmy. Wreszcie wyskoczyłem przez okno i popędziłem w stronę poligonu. Ludzie powychodzili z domów i patrzyli na łunę nad lasem. Powoli ciemniała, zapewne pożar przygasał. Dotarłem do lasu i pobiegłem znaną mi z poprzednich wypraw do wsi drogą w stronę naszych namiotów. Łuna znikła, zrobiło się ciemno. Ledwie widziałem jaśniejszy pas drogi. W pewnym momencie usłyszałem opodal w lesie czyjś głos, który mówił z przejęciem:

— O kurwa... Ja pierdolę...

To był głos Pałygi. Skręciłem i przedzierałem się przez krzaki w stronę, skąd dobiegał. Po chwili odezwał się Karolek:

— To się nazywa przeznaczenie. Choćbyś nie wiadomo co robił, choćbyś sikał we wszystkich kolorach tęczy, jak ma pierdolnąć, to pierdolnie. No i stało się.

Zobaczyłem w ciemności żarzące się końcówki papierosów. Byłem wśród swoich.

— Coś takiego! Paweł! — wykrzyknął na mój widok Cybulski. — A gdzie twoja dziewczyna? Karolek mówi, że jest ekstra. Obejrzelibyśmy ją sobie.

— A może nie tylko — wtrącił Pałyga.

— Nie dla psa kiełbasa — powiedziałem. — Co się stało?

— Pamiętasz tę ruską rakietę obok punktu medycznego? — zapytał Karolek. — Nie wiadomo, co Ruscy zrobili, ale w środku nocy ni stąd, ni

zowąd eksplodowała. Czerwonoarmiejców i naszych sanitariuszy można zeszkrobywać z sosen żyłkami.

— Cholera jasna! I doktor też?

— Doktor, wyobraź sobie, żyje. I to my dwaj, nikt inny, uratowaliśmy mu życie.

I Karolek zaczął opowiadać, co się stało. Wieczorem doktor udał się do Konia na wiadomy bankiet. Niósł ze sobą swoje pięć piw, bo jako poeta nie lubił w towarzystwie trepów wlewać w siebie bez opamiętania gorzały. Siedział w kącie, mało mówił i ciągnął swoje piwko wolno i z godnością. Około północy, gdy chamstwo zaczęło na całego wychodzić z panów oficerów, doktor wziął torbę z pustymi butelkami i pomaszerował z powrotem przez las. Sanitariusze już spali, ale jemu było nie do snu. Zaczął sobie szkicować na kartce jakiś nowy wiersz, a przy okazji opróżnił kolejne pięć butelek. Wiersz nie bardzo mu się udał, więc poszedł spać. Nie spał długo. Około trzeciej obudziło doktora okrutne parcie na pęcherz. Wyszedł na dwór i jako człowiek kulturalny oddalił się od namiotów polowej izby chorych i stanąwszy za ogromną sosną, zaczął czynić to, co każdy by w jego wypadku uczynił. Nad szczytami sosen migotały na niebie gwiazdy, gdzieś daleko odezwała się sowa, doktor pomyślał nie wiadomo dlaczego o sonetach Szekspira i w tym momencie nastąpiła straszliwa eksplozja. Wszystko wokół rakiety przestało istnieć, ale doktora ocalił potężny pień sosny, która ugięła się i zaskrzypiała niebezpiecznie, ale nie runęła. Podmuch rzucił go na ziemię, leżał oszołomiony na mchu z rozpiętym rozporkiem i fiutem na wierzchu. Żołnierze, którzy pierwsi dotarli na miejsce wypadku, znaleźli go patrzącego bezmyślnie w niebo. Podobno nie ten sam człowiek, ale cały. Nie ma złamanej ani jednej kosteczki.

— No i teraz przeanalizuj to, Paweł — kontynuował Karolek. — Gdybyśmy kupili mu pięć piw, tak jak chciał, wypiłby je u Konia, potem wróciłby do siebie, zrobił grzecznie siusiu i poszedłby spać, a teraz byśmy go zeszkrobywali z drzewa. Ale ponieważ go szanujemy, kupiliśmy mu dziesięć piw. Musiał wstać w nocy i żyje. Co ty na to?

— Niezbadane są ścieżki Pana.

— Zostaw Stwórcę w spokoju. To stało się dlatego, że czuwałem nad doktorem. A ja, przyjacielu, jestem nieśmiertelny. Zapamiętaj to sobie.

Poczułem się okropnie senny.

— Nikt mnie nie szukał? — spytałem.

— Co ty, chłopie. W taką noc? — rzekł Trzeciak. — W taką noc myśli się o sensie istnienia, a nie o tym, kto teraz figluje u Żółwikowej na niebieskim łóżku w żółte kwiatki. Nie co noc jest taka noc.

Wstaliśmy wszyscy i poszliśmy do namiotów.

Następnego dnia Karolek został wezwany do Konia, a potem razem z nim udał się do szefa sztabu pułku. Pół godziny później wezwano Pałygę. Siedzieliśmy sobie na trawce przed namiotem i zastanawialiśmy się, co też to może znaczyć, ale niezbyt intensywnie, bo pięknie świeciło słońce i zasadniczo nikomu się nie chciało myśleć. Około południa na leśnej drodze pojawił się gazik pomalowany na kolory maskujące. Za kierownicą siedział Pałyga, a obok niego tkwił na fotelu błogo uśmiechnięty Karolek. Wstaliśmy i wyszliśmy im naprzeciw.

— Paweł, zbieraj graty! — zawołał Karolek, gdy tylko Pałyga zahamował. — Spierdalamy stąd.

Poleciałem do namiotu po plecak, a tymczasem koledzy otoczyli Karolka, usiłując się dowiedzieć, o co chodzi.

— Jest konflikt międzynarodowy — wyjaśnił Karolek. — Ruscy oskarżają naszych, że wysadzili im rakietę.

— No co ty? — zdziwił się Trzeciak. — Przecież nikt z punktu sanitarnego nawet się do niej nie zbliżył.

— To nieistotne detale. W Armii Czerwonej nie może nastąpić takie zdarzenie, że rakietą sama z siebie wybuchnie i zabije od cholery osób. Musi być winien ktoś inny. Ktoś, kto tam był i żyje.

— Myślą, że to doktor wysadził im rakietę? — Cybulski popatrzył na Karolka szeroko otwartymi oczami.

— Na razie nic nie wiedzą o doktorze — rzekł Karolek. — Obywatel major był uprzejmy zapytać mnie, co o tym myślę, to mu powiedziałem, że najlepiej by było, gdyby doktora nigdy tu nie było. Wtedy niech sobie wysadza tę ich rakietę.

— Zabieramy go do Opolą — wtrącił Pałyga. — Zniknie z oczu, a tu się tymczasem rozejdzie po kościach. Podobno sam marszałek Kulikow, dowódca wojsk Układu Warszawskiego, zbulwersował się tą rakietą.

Wrzuciłem swój plecak na tył gazika i wlałem na tylne siedzenie. Ruszyliśmy przez las. Pałyga, jakby widział za sobą groźny cień marszałka Kulikowa, gnał bez opamiętania, nie zważał na wertepy i wystające z ziemi korzenie, toteż dotarliśmy na miejsce nieco poobijani. Doktora zastaliśmy siedzącego pod drzewem i patrzącego bezmyślnie w niebo.

— Obywatelu poruczniku — rzekł Karolek. — Przyjechaliśmy po obywatela porucznika.

Nie odpowiedział. Nawet na nas nie spojrzał.

— Pałyga, leć po jego rzeczy — rozkazał Karolek.

Pałyga poszedł. Staliśmy nad doktorem i zastanawialiśmy się, co z nim zrobić.

— Może po prostu spróbujemy go podnieść — powiedziałem. — Zobaczymy, czy będzie się bronił.

Wzięliśmy doktora pod pachy i unieśliśmy. Nie stawiał oporu. Ostrożnie poprowadziliśmy go w stronę gazika. Doktorowi najwyraźniej było wszystko jedno, co się z nim dzieje. Dał się usadzić na tylnym siedzeniu i znów zapatrzył się w niebo. Pałyga przytaszczył rzeczy doktora, głównie książki, których zabrał na poligon od cholery i trochę. Wsiedliśmy do gazika i Pałyga z miejsca dał gazu.

— Jedź bocznymi drogami — powiedział Karolek. — Zależy mi, żeby nikt nas nie widział. Zwłaszcza Ruscy.

— Resory mi się rozlecą.

— To jedź wolno. Nigdzie nam się nie spieszy.

Boczne drogi zaprowadziły nas do Jodłówka, gdzie zaopatrzyliśmy się w alkohole na całą drogę. Potem wyjechaliśmy z lasu i dotarliśmy do drogi na Międzyrzecz. W Międzyrzeczu stanęliśmy, bo Karolek przypomniał sobie, że nie kupiliśmy w Jodłówku fajek, a przy okazji pokłóciliśmy się w kwestii, ile Pałyga może wypić, żeby nie stracić możliwości kierowania pojazdem mechanicznym. Ostatecznie stanęło na tym, że pozwolimy Pałydze wchłaniać przez całą drogę, ale w małych dawkach. Pierwszą dawkę (Pałyga mniejszą, my większą) wchłonęliśmy od razu i ze śpiewem na ustach skręciliśmy na szosę Szczecin–Wrocław. Na szosie mimo wysiłków Pałygi gazik okazał się jednym z najwolniejszych pojazdów i ostatecznie dotarliśmy do Opola dopiero o świcie. Doktor nie chciał pić, przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Karolek był tym poważnie zaniepokojony.

— Żeby tylko nie ześwirował — martwił się.

— Niejeden by odjechał w jego sytuacji — powiedziałem.

— Szkoda byłoby człowieka — rzekł Karolek, otwierając kolejną butelkę. — Wypijemy za jego zdrowie.

— Jak zdrowie doktora, to ja też — upominał się Pałyga.

— I tak jedziesz zygzakiem.

— Ale jak dotąd jeszcze ani razu nie wjechałem do rowu.

Karolek podał mu butelkę. Pałyga pociągnął spory łyk. Widać dodało mu to animuszu, bo z całej siły nacisnął pedał gazu. Silnik zaczął się dławić, z rury poleciał czarny dym i już zdawało się, że nasza podróż zakończy się przed dotarciem do celu, ale Pałyga odpuścił, zwolnił, wyprowadził silnik z histerycznych obrotów i potoczyliśmy się dalej.

W Opolu zajechaliśmy prosto pod szpital wojskowy. Karolek znikł na chwilę we wnętrzu budynku, a potem wrócił z dwoma sanitariuszami. Ułożyli niestawiającego oporu doktora na noszach i ponieśli w stronę izby przyjęć. Pół godziny później byliśmy w jednostce. I tu, czy to napięcie z nas opadło, czy alkohol skumulował się w naszych organizmach w niebezpieczny procent w stosunku do krwi — po prostu nas rozebrało. Pałyga z największym trudem trafił w bramę. Wyleźliśmy z Karolkiem z gazika i chwiejnie wkroczyliśmy na biuro przepustek.

— Obywatelu sierżancie — rzekł Karolek do znajdującego się tam podoficera — proszę zameldować na poligon, że doktor znajduje się w szpitalu, my znajdujemy się w koszarach i tym samym tajna misja została zakończona.

Sierżant spojrzał na Karolka, jakby miał ochotę wsadzić go do aresztu, ale usłyszawszy o tajnej misji, odpuścił. Wyszliśmy z biura przepustek i podpierając się wzajemnie, ruszyliśmy w stronę budynku naszego batalionu. Na środku placu apelowego stał nasz gazik, a obok niego spał zwinięty w kłębek na asfalcie Pałyga. Podnieśliśmy go — mimo że się bronił i wymachiwał pięściami. Z najwyższym trudem dotarliśmy do budynku, niemal wczołgaliśmy się po schodach na pierwsze piętro, padliśmy na nieswoje łóżka i zapadliśmy w ciężki, nieprzytomny sen.

Święta wojna



Reszta lata upłynęła nam niezwykle spokojnie. Jedyne problem polegał na tym, jak wyznaczyć urlopy (które Karolek nieustannie sobie i mnie wypisywał), żeby choć jeden z nas był na miejscu. Jeśli nie było nas obu, Koń kompletnie się gubił i nie był w stanie dowodzić batalionem. Mój szef okazał się nie najgorszym facetem. Miał do mnie wyraźną słabość, zapewne dlatego, że jeszcze nigdy konspekty jego zajęć politycznych nie były napisane tak górnolotnym i obfitującym w metafory stylem. Jak dowiedziałem się później, moje dzieła pokazywano nawet w Ministerstwie Obrony Narodowej jako wzór konspektu do zajęć politycznych.

Król, gdy mu się niby to przypadkiem zwierzyłem, że jestem ciężko zakochany i jednego dnia nie mogę wytrzymać bez It, zgadzał się na moje urlopy, pod warunkiem że konspekty będą zawczasu przygotowane i znajdę szeregowca, który rozniesie gazety po budynku. Znalezienie takiego szeregowca było rzeczą dziecinnie prostą, bo każdy woli siedzieć przez pół dnia, czytając gazety, niż ganiać po polu z kbk AK.

Urlopy spędzałem z It i było nam coraz lepiej ze sobą. Karolek był praktyczniejszy. Jego urlopy (o wiele dłuższe niż moje) wypełniała wędrówka po Polsce w różnych, trudnych do pojęcia interesach. Czasem

wyjeżdżał z nim Cybulski i wtedy było wiadomo, że transakcja dotyczy magazynu mundurowego, kiedy indziej Trzeciak i wtedy interes był z pewnością poważny i bardzo dochodowy. Zdumiewało mnie, jakim cudem wobec rozległości interesów Karolka w magazynie mundurowym i magazynie broni cokolwiek się jeszcze znajdowało. Kiedyś przy wódeczce Cybulski mi to wyjaśnił. Nasz magazyn opuszczały nowe mundury, a ich miejsce zajmowały stare, które Karolek nabywał gdzieś za psi grosz, co prawda starannie uprane i uprasowane. Przy obrotności mojego kumpla nie zdziwiłbym się, gdyby w naszych mundurach walczono w Kongu, Mozambiku oraz innych egzotycznych krajach.

Jesień ograniczyła nieco moje urlopy, bo pojawił się nowy pobór. Mój szef miał obowiązek odbyć rozmowę z każdym ze świeżo umundurowanych nieszczęśników i sporządzić z niej stosowną notatkę, ale z zasady nie zadawał się z masami, więc padło na mnie. Siadali przede mną na krzeselku i opowiadali o swoim życiu. Wedle wytycznych miałem wyłować karanych, narkomanów i osobników o odmiernej orientacji seksualnej, o ile któryś z nich zdołał przejść przez sito komisji wojskowej. Do mnie żaden odmienny nie trafił, ale skazanych było kilkunastu, a narkomanów, którzy się do tego przyznali, dziewięciu. Karani i niekarani wyglądali identycznie, mieli tak samo wygolone czaszki, ten sam nieco wystraszony wzrok, nawet podobnie kręcili się na krzeselku ustawionym po drugiej stronie biurka. Tylko jeden się wyróżniał. Był to chudy, nieśmiały chłopak, który podczas rozmowy ani razu się nie uśmiechnął. Oczywiście poborowi nie mieli żadnych powodów do radości, ale w Jacku Bałuckim, bo tak się ów żołnierz nazywał, było coś szczególnego, choć jego ankietka na to nie wskazywała: niekarany, nie ćpa i tak dalej. Po kilku dniach wezwałem go na kolejną rozmowę i sprawa się wyjaśniła.

Chłopak pochodził z pobliskiego Kluczborka. W tamtejszym szpitalu umierał na raka jego ojciec. Wyrok już zapadł, to były ostatnie tygodnie. Jacek bardzo kochał ojca, chciał przy nim być w tym najtrudniejszym momencie, ale wzięli go do woja. Obiecałem mu, że coś zrobię w jego sprawie, ale sam nie wiedziałem co, dlatego postanowiłem poczekać na Karolka, który następnego dnia wracał z urlopu. Przyjechał o szóstej rano, spał do południa, a po obiedzie przedstawiłem mu problem.

— To nie takie proste — rzekł Karolek, który zwykle nie odczuwał empatii wobec bliźniego swego, ale tym razem żal mu się zrobiło kota. — Łepek jest na unitarce. Zasadniczo do przysięgi nie ma prawa nawet wyjść na miasto.

— Nim złoży przysięgę, będzie po wszystkim.

— Przecież wiem. — Karolek się zamyślił. — Pierwsze, co trzeba zrobić, to wyłączyć go z szeregu. Znaleźć mu niszę.

— Może magazyn mundurowy?

— Przed przysięgą go nie wezmą. Najlepiej by było, gdyby go wziął pod swoją opiekę ten twój Król. Jego się boją, to zostawiliby dzieciaka w spokoju.

— Tylko że Król ma zero instynktu opiekuńczego.

— Trzeba tak zrobić, żeby mu się na coś przydał — rzekł Karolek. — Do czego, nie wiem. Ale to i tak nie ma znaczenia.

Wezwałem Jacka po raz trzeci i przepytalem go w kwestii ewentualnych talentów. Żadnych nie miał. Dopiero po dłuższej rozmowie przyznał się, że trochę gra na akordeonie. Poleciałem z tym do Karolka.

— To już jest coś — rzekł mój przyjaciel. — Nie wiesz, z jakiej okazji mógłby zagrać na tej swojej harmoszcze?

Przez chwilę milczeliśmy obaj, zastanawiając się, jak w rzeczywistości koszar miałyby zaistnieć akordeonista.

— Już wiem — powiedział wreszcie Karolek. — Dalej robicie te swoje wzorcowe szlaki bojowe?

— Trochę robimy. W sumie to nam się już odechciało, i kapitanowi, i mnie.

— To niech się wam znowu zachce. Posłuchaj. Jak taki szlak bojowy zawiśnie na ścianie korytarza, powinna się odbyć jakaś uroczystość.

— A po cholere?

— Bo jej potrzebujemy. Ustawi się plutony w dwuszeregu. Król powie kilka podniosłych słów na temat dzielnych kościuszkowców, którzy wyginęli pod Lenino, a mimo to doszli do Berlina. Potem kot na akordeonie wykona utwór okolicznościowy. Utwór najlepiej niech wybierze twój szef, bo wtedy wszystko będzie na bazie i po linii.

Następnego dnia, gdy Król przyszedł do gabinetu (był w dobrym humorze, nawet pogwizdywał, choć melodię trudno było ustalić), przedstawiłem mu sprawę Jacka. W mojej opowieści kot stał się wirtuozem akordeonu, a wymyślona przez Karolka uroczystość nabrała charakteru monumentalnego. Król zamyślił się głęboko.

— Może to i niezły pomysł — rzekł. — Podniosłoby to poziom moralno-polityczny żołnierzy. Tylko co on miałby grać, ten jak mu tam...

— Bałucki.

— No właśnie.

— Utwór musi wybrać obywatel kapitan osobiście. Ja się nie czuję dostatecznie kompetentny.

— Oprócz chwały Pierwszej Dywizji dobrze byłoby podkreślić niezłomną przyjaźń polsko-radziecką — odrzekł kapitan. — Niech zagra *Świętą wojnę*.

— Przepraszam, nie bardzo kojarzę.

— To pieśń, która zagrzewała do boju bratni naród radziecki. Po rosyjsku nazywa się *Swieszcziennaja wajna*. Jest wzniosła i patetyczna.

Król zaczął śpiewać i choć niemiłosiernie fałszował, zorientowałem się, o co chodzi. Pieśń często towarzyszyła radzieckim filmom dokumentalnym i była w Polsce szeroko znana. Król urwał w pół nuty i rzekł.

— Gdy będziemy uroczyście odsłaniać kolejne szlaki bojowe, poproszę jego dowódcę, żeby go zwolnił na godzinkę, i wszystko będzie jak należy.

— Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł, obywatelu kapitanie — powiedziałem. — Lepiej przenieść akordeonistę do nas, do sztabu, żeby przykładowie ćwiczył, bo to podniesie patos uroczystości.

— Ale on jest przed przysięgą.

— No wiem — powiedziałem. — Ale czy jest w tym pułku, a zwłaszcza u nas w batalionie ktoś, kto byłby w stanie czegokolwiek obywatelowi kapitanowi odmówić?

Król uśmiechnął się zadowolony z komplementu.

— Taka rzecz jeszcze się nigdy nie zdarzyła — rzekł.

— I się nie zdarzy! — zawołałem z entuzjazmem.

Jeszcze tego samego dnia wypisałem rozkaz o przeniesieniu Bałuckiego Jacka do pionu politycznego. Król podpisał go od ręki i z tym bezcennym papierem poszedłem do dowódcy pierwszej kompanii. Porucznik Liszka lekko się sprzeciwiał, ale widząc podpis Króla, ustąpił i jeszcze tego samego wieczoru Jacek trafił do naszej sali i zajął wolne łóżko obok Cybulskiego. Pierwszy cel został osiągnięty. Wyłączyliśmy Jacka z szeregu, a teraz należało skierować jego życie na zupełnie nowe tory.

Następnego dnia udaliśmy się obaj do wiecznie zamkniętego pułkowego domu kultury, obudziliśmy zaspanego szeregowca, który nie wiadomo czym się tam zajmował, i odnaleźliśmy w piwnicy potwornie zakurzony akordeon w skórzanym futerale. Tu pojawił się problem. Umiejętności

akordeonisty nie były na miarę naszych oczekiwań. Nie był w stanie zagrać *Świętej wojny* ani żadnego innego utworu, nawet *Wlazł kotek na płotek*. Przebierał bezradnie palcami po klawiszach i wydobywał dźwięki, które czasem coś przypominały, a czasem nie.

— Idioty! Powiedziałeś mi, że umiesz grać!

— Powiedziałem, że trochę — oświadczył Jacek.

Tak było. Tylko że między trochę i trochę jest wielka różnica.

— Siadaj i ćwicz tę *Świętą wojnę* — powiedziałem. — Za dziesięć dni mamy uroczyste odsłonięcie szlaku bojowego w drugiej kompanii trzeciego batalionu.

— Kiedy ja nawet nie wiem, jak to idzie.

Przeklinając swoje pragnienie naprawy świata, poleciałem do miasta. Trzy godziny latałem od księgarni do księgarni, aż znalazłem tę cholerną *Świętą wojnę*. Wypożyczyłem z domu kultury gramofon i Jacek zaczął kombinować, jak by to zagrać. W budynku nie było żadnego pomieszczenia, gdzie mógłby ćwiczyć, więc siedział w naszej sali i rzępolił. Wszystkim to działało na nerwy, więc po godzinie Cybulski kazał akordeoniście iść do sracza, siąść na kiblu i tam grać. Jacek był człowiekiem z natury zgodnym, więc poszedł. Niestety, toaleta mieściła się tuż za ścianą i *Świętą wojnę* nadal było słychać, a rozpaczliwym dźwiękom akordeonu towarzyszył teraz wy- raźny pogłos.

— Zamknijcie go gdzieś — powiedział Karolek. — Jeszcze trochę, a dostanę rozstroju nerwowego.

— Może w magazynku z bronią — podpowiedział Trzeciak. — To trochę dalej od nas i drzwi są solidniejsze.

To była jakaś koncepcja. Poszliśmy tam z Trzeciakiem, usadowiliśmy muzyka na skrzynkach z amunicją wśród lśniących w półmroku kałaszników i starannie zamknęliśmy drzwi na klucz. Zrobiło się o wiele

ciszej. Ułożyliśmy się na łózkach i staraliśmy się odreagować stres związany z życiem koszarowym. Na sali, a potem na korytarzu ucichło i wtedy z magazynku z bronią zaczęły docierać do nas dźwięki akordeonu, co prawda przytłumione, ale wyraźne. Leżeliśmy, starając się ich nie słyszeć. Wymagało to ogromnego wysiłku, a i tak niewiele dawało. Wreszcie Pałyga podniósł się z łóżka i stanął nade mną.

— Słuchaj, Paweł — powiedział. — Lubię cię i jako dobry katolik, nie mam nic przeciwko pomocy bliźniemu. Ale jeśli on natychmiast nie przestanie, skuję ci normalnie mordę.

Pałyga był barczysty i o głowę ode mnie wyższy, więc jego słowa należało traktować poważnie. Wypuściliśmy akordeonistę z magazynku i odebraliśmy mu instrument. Uspokoilo to Pałygę, ale nie mnie. Wszystko wskazywało na to, że uroczyste odsłonięcie szlaku bojowego musi zakończyć się katastrofą. I wtedy — jak to bywa w sytuacjach ostatecznych — wpadłem na genialny pomysł.

Następnego dnia, gdy Król przybył do naszego gabinetu, oznajmiłem mu z szacunkiem:

— Obywatelu kapitanie, ten akordeon z domu kultury jest do niczego. Nie da się nic zagrać. Nie wiadomo, co oni z nim robili.

— Na pewno nie byli odpowiednio przeszkoleni — rzekł Król.

— Bardzo mi przykro, ale z takim instrumentem odsłonięcie nie może mieć uroczystego charakteru.

— No i co teraz? — spytał Król, który już się przyzwyczaił, że on jest od zadawania pytań, a ja od rozwiązywania problemów.

— Można by złożyć zapotrzebowanie na nowy — powiedziałem. — Ale to kupa papierów i nie wiadomo, kiedy ten akordeon będzie. O wiele prościej, jeżeli chłopak pojedzie do Kluczborka i przywiezie swój instrument.

— Nigdzie jechać nie może, albowiem jest przed przysięgą — wyrecytował Król.

— Może, obywatelu kapitanie, jeśli pojedzie ze mną, jako opiekunem.

— A, to jest myśl — orzekł szef. — Niech Karolek wypisze dla ciebie i dla niego przepustkę i jedźcie.

W ten sposób jeszcze tego samego popołudnia znaleźliśmy się z Jackiem w autobusie do Kluczborka. Młody nie był zachwycony moim pomysłem.

— Ten instrument czy tamten, i tak tego nie zagram — powiedział. — A wtedy kapitan Król mnie zniszczy. Wszyscy wiedzą, że on uwielbia niszczyć ludzi.

— Najważniejsze, że zobaczysz się z ojcem. Po to tak naprawdę jedziemy. A dalej będzie, co los przyniesie. Może ci, na przykład, ktoś ukraść akordeon we właściwym momencie.

— Niby kto?

— Powiedzmy, że jakiś wróg szlaków bojowych od Lenino do Berlina. Imperialistyczny agent, który się zakradł do naszych szeregów. Cóż za wspaniały pretekst do akcji propagandowej i śledztwa z udziałem najwyższych czynników. Karolek byłby zachwycony.

To Jacka uspokoiło. Chyba wierzył w istnienie imperialistycznych agentów. Nim zdążyliśmy rozważyć tę kwestię szczegółowo, autobus dotarł do Kluczborka. Z dworca autobusowego do szpitala było niedaleko, więc ruszyliśmy tam pieszo. Nie chciałem przeszkadzać Jackowi w szpitalu. Poszedłem na kawę do małej kawiarenki, na którą natknęliśmy się po drodze.

Siedziało tam sporo młodych ludzi płci obojga. Faceci spojrzeli na mój mundur wrogo. Dziewczyny z umiarkowanym zainteresowaniem. Bardzo ładna kelnerka kręciła się między stolikami. Czego więcej trzeba żołnierzowi do szczęścia? Rozsiadłem się w kącie, piłem wolno kawę

i zerkąłem na dziewczyny. Nie uszło to uwagi jednego z miejscowych, wielkiego i grubego draba o groźnym wyglądzie. Wstał i podszedł do mojego stolika.

— Ty, koleś — powiedział zachrypniętym głosem. — Coś mi się zdaje, że się gapisz na moją dziewczynę.

— Byłeś w woju? — zapytałem.

— A co myślisz? Pewnie, że tak.

— No to przecież pamiętasz, jak wychodziłeś na przepustkę i gapieś się na dziewczyny. Każdy z nas się gapi.

Na twarzy draba pojawił się przebłysk ludzkich uczuć.

— Twoja dziewczyna jest najładniejsza — kontynuowałem. — Bądź człowiekiem i daj zerknąć od czasu do czasu wyposzczonemu, co kibluje w koszarach.

Drab wyciągnął w moją stronę wielką, sękatą łapę.

— Niech ci będzie, koleś — powiedział, ściskając mi dłoń. — Ale tylko trochę. Ona jest moja, jasne?

— Jasne — powiedziałem. — Popatrzę sobie i zniknę.

Wrócił do swojego stolika, ale od czasu do czasu łypał stamtąd na mnie groźnie.

Po godzinie przyszedł Jacek. Zapłaciłem i wyszliśmy na ulicę.

— Jak tam ojciec? — zagadnąłem.

— Nie żyje — powiedział Jacek. — Zmarł pięć minut przed moim przyjściem.

— Cholera jasna!

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

— Widać musiało tak być — powiedziałem wreszcie. — W żaden sposób nie mogliśmy zdążyć na wcześniejszy autobus.

— Pewnie tak.

Dotarliśmy do dworca PKS i doczekaliśmy się autobusu do Opola. Nic nie mówiliśmy, bo o czym tu gadać. Dopiero w połowie drogi Jacek zapytał:

— No i co teraz będzie?

— Nic — powiedziałem. — Dostaniesz przepustkę na pogrzeb, a potem dalej będziesz ćwiczył *Świętą wojnę*.

— A nie mógłbym wrócić do siebie na kompanię?

Popatrzyłem na niego jak na wariata.

— Człowieku, tam cię będą gnoić od rana do wieczora! Popędzą cię tak, że zapomnisz, jak się nazywasz.

Popatrzył na brudną podłogę autobusu.

— Znienawidziłem tę melodię — powiedział. — Nie mogę jej grać. Nie mogę jej nawet słuchać... Ja wiem, że jesteś w porządku, że ty i Karolek, i wszyscy zrobiliście dla mnie to, czego dla nikogo żeście nie zrobili. Ale ja nie mogę.

Zobaczyłem go siedzącego w kącie sali z akordeonem i katującego uparcie tę cholerną ruską pieśń. My też już nie mogliśmy tego słuchać.

Następnego ranka zdałem Królowi sprawozdanie z naszej wyprawy

— Przywieźliśmy akordeon, obywatelu kapitanie — powiedziałem, choć wcale go nie przywieźliśmy. — Tylko jest jeden kłopot: ojciec tego chłopaka umarł.

— Nie moja sprawa — odrzekł Król.

— Dzieciak tak się tym przejął, że nie może grać.

Król popatrzył na mnie podejrzliwie.

— Co znaczy nie może? Wydaj mu rozkaz i niech gra.

— Wydałem, obywatelu kapitanie. Grać gra, ale, za przeproszeniem, głównie z tego wychodzi. Rzępoli jak potłuczony i tyle.

— Umiał grać i nagle nie umie?

— To są skomplikowane procesy psychiczne, obywatelu kapitanie. W jego niedojrzałym umyśle *Święta wojna* i śmierć ojca zlały się w jedno. Dlatego rzępoli.

— Idiota jakiś? Co ma piernik do wiatraka?

— Sam tego do końca nie rozumiem, ale rzeczywiście umysłowo jest jakby trochę niedorozwinięty.

— To co my zrobimy z tym imbecylem?

— Myślę, że trzeba by go skierować z powrotem do pierwszej kompanii. Niech się porucznik Liszka z nim męczy.

— A co z uroczystym odsłonięciem szlaku bojowego?

— Przesuniemy je trochę w czasie, aż znajdę innego akordeonistę. Może nawet lepszy byłby trębacz.

— Dobra myśl. *Święta wojna* grana na trąbce to by dopiero było coś.

I tak niedoszły akordeonista batalionowy Jacek Bałucki wrócił do pierwszej kompanii. Pozostała po nim płyta z Chórem Aleksandrowa wykonującym sławną pieśń. Po namyśle podarowałem ją Królowi. Kapitan szczerze się ucieszył. Miał już kilka płyt z Chórem Aleksandrowa, których słuchał wieczorami, patrząc w okno na zapadającą nad Opolem ciemność. Płyta ze *Świątą wojną* ukazała się niedawno i Król nie miał jej jeszcze w swojej kolekcji. Oglądał ją z radością ze wszystkich stron, a potem rzekł:

— Dziękuję wam, Zabłocki. Muszę się wam jakoś odwdzińczyć. Już wiem. Awansuję was na kaprała.

Nauki przedmałżeńskie



Uroczyste odsłonięcie wzorowego szlaku bojowego w sąsiednim batalionie odbyło się bez większych zakłóceń. Co prawda nie udało się znaleźć w Opolu trębacza, który na swoim instrumencie wykonałby *Świętą wojnę*, ale przemówienie, które musiałem wygłosić (Król nie miał ochoty przemawiać i doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli „zwykły żołnierz przemówi do zwykłego żołnierza”), wypadło nad wyraz dobrze, jak na sytuację, kiedy jeden człowiek mówi do stu ludzi, których jego słowa gównu obchodzą.

Po odsłonięciu wybierałem się do Warszawy, bo od zeszłego poniedziałku minęło tak wiele czasu, że zacząłem bardzo tęsknić za It. Siedzieliśmy sobie w sali z Karolkiem, ustalając, kto z nas i kiedy się uda na urlop, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i pojawił się w nich Pałyga. Był ubrany w poplamiony olejem silnikowym kombinezon mechanika, w którym nigdy do tej pory nie pokazywał się w naszym budynku. Wyraz twarzy miał zawzięty i wskazujący na ogólne wzburzenie.

— Co się stało? — zapytał Karolek, patrząc na niego jak na kosmitę.

— Gównu — powiedział Pałyga.

Podszedł do swojego łóżka i całym ciężarem zwałił się na nie, brudząc olejem silnikowym pościel. Nie skomentowaliśmy tego faktu, bo Pałyga był silny i potrafił niezłe przyfasować w oko, gdy się zdenerwował. Wróciliśmy do naszych rozważań, a Pałyga kręcił się na łóżku, aż siadł na nim i rzekł:

— Te skurwysyny nie dają mi jeździć na nauki przedmałżeńskie.

— Kto konkretnie? — spytał Karolek.

— Wszyscy, z dowódcą pułku włącznie.

— No, to zaszedłeś na wysoki szczebel — stwierdziłem. — Kto mu podkablował?

— Nikt. Akurat był w warsztacie, bo przyjechał, żebyśmy mu wymienili opony. Sierżant chciał sobie zrobić ze mnie jaja i powiedział, że domagam się przepustek na nauki przedmałżeńskie w kościele. Na to major powiedział, żebym sobie to wybił z głowy, bo u nas w armii jest ateizm i żadna Matka Boska mi nie pomoże, bo nie przejedzie przez biuro przepustek.

— A ty?

— Wściekłem się, bo nie lubię, jak ktoś się wyraża bez szacunku o Matce Boskiej. Powiedziałem im, że mogą sobie wsadzić w dupę ten swój ateizm, bo ja będę chodził na nauki przedmałżeńskie, czy im się to podoba, czy nie.

— I co?

— Nic. Mam stanąć do raportu — rzekł Pałyga i teraz już całkiem spokojnie ułożył się na ubabranym olejem łóżku.

— Wsadzą cię do paki — stwierdził Karolek. — Jeszcze nie było wypadku, aby ktoś powiedział dowódcy pułku, że ma sobie coś wsadzić w dupę.

— Niech wsadzają. Mam to gdzieś.

Pałyga najwyraźniej chciał zostać męczennikiem za wiarę.

— W porządku — powiedziałem. — Ale jak pójdiesz siedzieć, to kto będzie chodził na nauki przedmałżeńskie?

Pałyga do tej pory nie zastanawiał się nad tym zagadnieniem.

— O w mordę — rzekł. — Przecież mamy zamówiony termin w kościele.

— Myślisz, że ateistów to obchodzi? — Karolek się uśmiechnął. — Ale nie bój się, koledzy nie zostawią cię w potrzebie.

Sprawa była jednak poważna. Zebrało się dowództwo i rozważało, czy wysłać Pałygę do karnej kompanii w Orzyszu, czy też nie. Ostatecznie, o dziwo, uratował naszego kolegę Król, który przekonywał, że wysłanie żołnierza do karnej kompanii postawi nasz pułk w złym świetle w oczach wyższych instancji wojskowych. Uwaga o wyższych instancjach sprawiła, że dowódca pułku natychmiast zapomniał, że ma sobie wsadzić w dupę ateizm, bo choć był tylko majorem, miał nadzieję zostać w przyszłości generałem. Ostatecznie skazano Pałygę na miesiąc ścisłego aresztu u nas w koszarach. Zaraz po apelu zapuszkowano kolegę i tyle.

Profos, czyli wódz aresztu, był człowiekiem przekupnym, więc już następnego dnia dostaliśmy się do celi Pałygi, żeby odbyć z nim naradę. Sytuacja była, delikatnie mówiąc, złożona.

— Muszę się ożenić, i to jak najszybciej — upierał się Pałyga.

— A co ci się tak spieszy?

— Krysia jest za ładna. Ciągłe się do niej jacyś przystawiają. Boję się, że nie dotrzyma do wiosny.

Tu Pałyga na potwierdzenie swoich słów wyjął fotografię formatu legitymacyjnego i okazał. Dziewczyna rzeczywiście była śliczna. Był też i drugi kłopot. Narzeczona kolegi mechanika mieszkała w Myślenicach i tam miał się odbyć ślub. Gdyby to było w Opolu, można by przekupić profosa, potem skok przez mur i nauka przedmałżeńska zaliczona. A tu

potrzebna była dwudziestoczworogodzinna przepustka, i to dwa razy w tygodniu.

— A nie możecie wziąć na razie ślubu cywilnego, a kościelny, jak już wyjdiesz?

— Nie da rady — rzekł Pałyga. — Oboje jesteście wierzący, poznaliśmy się na pielgrzymce do Częstochowy, a w jej rodzinie jest dwóch księży.

— To nie mogą wam jakoś załatwić na lewo tych nauk przedmałżeńskich? — spytałem.

— Mogą, ale tego nie zrobią — stwierdził Pałyga. — Oni to traktują bardzo poważnie.

— Jeśli taka z niej cnotka, to może jednak jakoś wytrzymać do wiosny? — wyraził nadzieję Karolek.

— W tym właśnie rzecz. Ona jest w dzień bardzo cnotliwa, ale po zmierzchu staje się skłonna do grzechu. Na tej pielgrzymce... no, sami wiecie...

— Typowa kobieta — uśmiechnął się Karolek. — Lepiej się żeni jak najszybciej. Chociaż i to nie zawsze pomaga. Może zrobimy tak: spróbuję załatwić, żebyś mógł przeprosić majora i wszystkich trepów, którzy się poczułi obrażeni. Jak cię wypuszczą z paki, staraj się o przepustki, tylko nic nie wspominaj o naukach przedmałżeńskich.

— O nie — rzekł Pałyga. — Nie jestem święty, sami wiecie, nieraz łągałem w sprawie części samochodowych, które jakimś cudem znikły z warsztatu, ale w sprawach wiary łągać nie będę.

Opuściliśmy areszt przygnębieni. Pałyga okazał się nie tylko męczennikiem, ale w dodatku fanatykiem. Mimo to Karolek ani myślał odpuścić.

Około drugiej w nocy Karolek, Trzeciak i niejaki Turczyk, drugi po Pałydze mechanik w pułku, przeleźli przez płot i znikli w ciemności.

Wartownicy ich widzieli, ale nie mrugnęli okiem, bo skoro Karolek, który w każdej chwili może sobie wypisać dowolny urlop, przełazi w nocy przez mur, muszą się dziać rzeczy niezwykle, a w takich okolicznościach rozsądny człowiek staje się ślepy i głuchy. Za rogiem moi kumple złapali taksówkę i pojechali prosto na osiedle, gdzie w trzypiętrowych blokach gnieździły się jeden obok drugiego trepy z naszego pułku. Karolek i Trzeciak zajęli się obserwowaniem, czy ktoś nie nadchodzi, a Turczyk odnalazł samochód majora, podniósł maskę i przez dłuższą chwilę grzebał pod nią, przyświecając sobie trzymaną w ustach latarką. Potem delikatnie zamknął maskę i wszyscy trzej oddalili się spacerowym krokiem, dwie ulice dalej złapali inną taksówkę i już po dziesięciu minutach po raz drugi pokonali mur, przy czym Turczyk i Trzeciak musieli podsadzać Karolka, który na skutek braku ćwiczeń fizycznych nieco przytył i wyszedł z wprawy.

Następnego poranka dowódca pułku wyszedł z domu, wsiadł do samochodu, włożył kluczyk do stacyjki, przekręcił go i odpowiedziała mu cisza. Major wysiadł z samochodu, podniósł maskę, obejrzał to, co się pod nią znajdowało, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Żeby się dostać do koszar, musiał skorzystać z samochodu Konia, który akurat odjeżdżał spod bloku.

Okolo dziewiątej ruszyła z koszar ekspedycja ratunkowa, która przyholowała ulubioną zabawkę majora do warsztatu. Turczyk natychmiast wziął się do roboty, pocieszając majora, że to na pewno jakaś głupota, minuta, pięć wszystko będzie zrobione i on, Turczyk, osobiście zajędzie samochodem majora pod budynek dowództwa. Turczyk cieszył się w pułku ustaloną renomą, więc major udał się spokojnie do swoich zajęć. Jednak minęła godzina, druga, trzecia, a Turczyk nie zajeżdżał. Zbulwersowało to dowódcę pułku, który zadzwonił do warsztatów i opieprzył dowodzącego

tam sierżanta. Sierżant skruszonym głosem wyjaśnił majorowi, że cały warsztat stoi nad jego samochodem, ale na razie nie przyniosło to żadnego rezultatu. Major rzucił słuchawkę na widełki i przez następną godzinę opieprzał każdego, kto mu się nawinął.

Gdy to wszystko się działo, Karolek był na urlopie. Nie wyjechał jednak, jak to miał w zwyczaju, w interesach. Krążył po Opolu i odwiedzał warsztaty samochodowe. We wszystkich rozmowa miała podobny przebieg. Karolek informował, że najdalej w ciągu dwóch dni, a być może nawet dziś po południu w warsztacie pojawi się major ze swoim zepsutym samochodem. Otóż on, Karolek, bardzo prosi, żeby mu odpowiedzieć, że samochodu w żaden sposób nie da się zreperować. W zamian za tę drobną przysługę Karolek obiecywał dozgonną wdzięczność i regularne dostawy części do różnych pojazdów mechanicznych. Właściciele warsztatów lubili Karolka, więc wszyscy jak jeden obiecali, że zrobią co trzeba. Uzyskawszy to, co chciał, Karolek wyjechał do Wrocławia, gdzie miał jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę.

Okolo czternastej major nie wytrzymał. Osobiście wpadł do warsztatu i zrobił piekło. Wszyscy słuchali go ze spuszczoneymi głowami, a gdy major przestał się drzeć, Turczyk poinformował go, że po raz pierwszy ma do czynienia z taką awarią, nic nie rozumie, z samochodem jest wszystko w porządku, ale nie pali i w ogóle nie daje znaku życia, jakieś czary czy co.

— Jakie, kurwa, czary?! — wydarł się major. — Przecież wczoraj wszystko było w porządku!

— Tym bardziej to jest dziwne — odparł Turczyk. — Przeważnie awarie poprzedzają jakieś sygnały, a tu nic.

— Umiecie to zreperować czy nie umiecie?!

— Kiedy ja, obywatelu majorze, nie wiem, co reperować. Po mojemu wszystko jest w porządku.

— Wy też nie umiecie zreperować?! — wrzasnął major do innych mechaników zgromadzonych w warsztacie.

Spuścili głowy i milczeli.

— Jeszcze mnie popamiętacie! — wrzasnął major. — Zaciągnąć mi samochód do najbliższego warsztatu samochodowego.

— Tak jest, obywatelu majorze! — zawołał Turczyk i już piętnaście minut później pomalowany na barwy ochronne gazik wyciągnął samochód majora za bramę koszar.

To, co się działo dalej, było łatwe do przewidzenia. We wszystkich warsztatach mówili, że nie wiedzą, o co chodzi, i nie czują się na siłach, by usunąć usterkę. Karolek wrócił z Wrocławia i z zaciekawieniem obserwował rozwój sytuacji. Po czterech dniach, podczas których Turczyk holował samochód majora od warsztatu do warsztatu, Karolek znalazł okazję, by się zbliżyć do dowódcy pułku, a następnie rzekł:

— Podobno obywatel major ma problem z samo- chodem?

— Gównu cię to obchodzi! — rzekł nieuprzejmie major.

— To prawda — zgodził się Karolek. — Tylko tak sobie myślę, że kto jak kto, ale Pałyga by to zreperował.

— Nie wymawiaj przy mnie tego nazwiska!

— Ja wiem, że to debil i fanatyk — rzekł Karolek. — Ale w kwestii mechaniki samochodowej w jakimś sensie geniusz. Jeśli nikt nie daje rady, to tylko on.

Przyholowano samochód z powrotem do koszar i sprowadzono z aresztu Pałygę. Sam major przybył z tej okazji do warsztatu, żeby dowiedzieć się, co sądzi o jego przypadku geniusz motoryzacji. Pałyga przez dłuższy czas wpatrywał się w silnik oraz inne urządzenia i kiwał głową.

— Potraficie zreperować? — spytał major.

— Myślę, że chyba tak — rzekł Pałyga. — Ale pod warunkiem...

— Jeszcze macie czelność stawiać warunki!?

— W takim razie proszę odesłać mnie do aresztu.

— Co to za warunek?

— Dwa razy w tygodniu będę dostawał przepustkę dwudziestoczwierogodzinną do Myślenic celem wzięcia udziału w naukach przedmażeńskich w tamtejszym kościele.

Widać było, że major doświadcza sprzecznych emocji. Ostatecznie miłość do samochodu okazała się silniejsza od nienawiści do Pałygi.

— Sierżancie — powiedział — dwa razy w tygodniu wypiszecie mu przepustkę. Nie chcę wiedzieć dokąd ani w jakim celu. Jasne?

— Tak jest, obywatelu majorze.

— Chcecie jeszcze czegoś, Pałyga? — W głosie dowódcy pułku zaczęły się pojawiać groźne tony.

— Prawie nic. Chciałbym tylko zostać z nim sam na sam — odpowiedział Pałyga i pieszczotliwie poklepał karoserię samochodu.

Wszyscy wyszli, a po półgodzinie z warsztatu wyjechał Pałyga. Podjechał pod budynek dowództwa i zatrąbił. Major podszedł do okna, a Pałyga skłonił mu się ceremonialnie i obdarzył dowódcę pułku promiennym uśmiechem.

Rozdział 18

Metr



W listopadzie Karolek, Trzeciak, Pałyga, Cybulski i cała rezerwa zaczęła nosić centymetry krawieckie, codziennie po obiedzie obcinać sobie jeden dzień i głośno meldować ddc, czyli ile dni zostało im do cywila. Ja miałem wyjść jeszcze przed nowym rokiem, sporo przed nimi, ale byłem jedynym takim przypadkiem w pułku i głupio mi było oznajmiać publicznie swoje ddc. Przyglądałem się radości moich kumpli i cieszyłem się wraz z nimi.

Noszenie tak zwanego metra w różny sposób podziało na małe grono sztabu drugiego batalionu. Karolkowi było to obojętne — zbyt był zajęty swoimi interesami. Pałyga bardziej niż czas, jaki mu pozostał w koszarach, liczył dni do zawarcia związku małżeńskiego. Cybulski wykrzykiwał swoje ddc gromko, basowo i z satysfakcją, a Trzeciaka posiadanie metra niespodziewanie wprawiło w głęboką depresję. Leżał całymi dniami na łóżku i tępo patrzył w sufit. Czasem szedł zapalić i zaraz znów się kładł. Na dowcipy i zaczepki nie reagował. Po prostu marniał chłop w oczach. Wreszcie Karolek nie wytrzymał. Siadł na sąsiednim łóżku i zapytał wprost:

— Co jest grane, Krzysiek?

Trzeciak nie zareagował.

— Jestem twoim kumplem czy nie?

— Jesteś — rzekł Trzeciak, nie odrywając wzroku od sufitu.

— To nie bądź świnia i otwórz przed kolegą serce.

— Nie mogę już tego wytrzymać — rzekł Trzeciak.

— Czego, do diabła?

— Armii. Patrzę na to wszystko i cierpię.

Każdy z nas cierpiał na swój sposób, ale jednak nie tak jak Trzeciak.

— Jak nie możesz patrzeć, to jedź na urlop — zaproponował Karolek. —
Zaraz ci wypiszę.

— Tam też będę cierpiał.

— Niby dlaczego? Upij się, zabaw, zakochaj. Ileż to roboty?

— Będę przez cały czas myślał, że muszę tu wrócić. A ja już nie mogę.
Nie dam rady.

Problem był poważny. Trzeciak kompletnie ześwirował. Nie on pierwszy, ale tym razem chodziło o człowieka, który zarządza pułkowym magazynem broni. Mogliśmy oczywiście zameldować gdzie należy, że starszy szeregowy Trzeciak znajduje się w stanie ducha odbiegającym od normy, ale kto by się tym przejął? Choroba psychiczna? U rezerwisty? Żeby to był jeszcze jakiś kot...

Zostawiliśmy Trzeciaka z jego sufitem i kombinowaliśmy, co robić. Nikt nie miał żadnego pomysłu. Dopiero trzeciego dnia zdarzyło się coś, co przywróciło nam nadzieję.

Staliśmy na placu apelowym, zastanawiając się, jak przeżyć kolejny koszarowy dzień, gdy na chodniku obok biura przepustek pojawił się dziwny osobnik. Był ubrany w mundur podporucznika, ale na nogach miał wyraźnie za duże żółte trampki, a na głowie czerwoną, spiczastą czapkę z białym pomponem, jaką nosił w tamtych czasach i nadal nosi Święty Mikołaj. Gapiliśmy się na niego zdumieni, aż zbliżył się na tyle, że mogliśmy go rozpoznać. To był doktor. Zasalutowaliśmy mu, a on podniósł

dwa palce do czerwonej czapki, popatrzył na nas surowym wzrokiem i odmaszerował w stronę izby chorych.

— Cholera jasna — rzekł Pałyga. — Następny wariat.

— On chyba chce po prostu wydostać się z woja — powiedział Karolek.

— Przecież wpakują go do psychiatryka — zaoponował Cybulski.

— Jest lekarzem. Nie posiedzi tam długo — powiedziałem.

Podzieliliśmy się na dwa obozy. Cybulski i Pałyga uważali, że doktor to kompletny czubek, a my z Karolkiem, że tylko udaje.

Następne dni przyniosły kolejne wyczyny doktora. Wszystkich pacjentów podzielił na hitlerów i stalinów. Jedni i drudzy byli ponumerowani. Doktor mówił: Stalin siódmy na zastrzyk, i od razu było wiadomo, o kogo chodzi. Ponieważ trampek mu było mało, zaczął chodzić w jednym trampku i jednym bucie ogólnowojskowym. Na głowie doktora pojawił się kaszkiet, a największą sensację wywołał, przychodząc do koszar w mundurze przepasanym cienkim, damskim paseczkiem i z damską torebką zamiast raportówki. Trepy, widząc co się dzieje, udały się do dowódcy pułku i zażądały, żeby coś z doktorem zrobił, ale major odmówił.

— „Coś” zrobić łatwo — rzekł. — A skąd ja wezmę potem nowego lekarza? Aspirynę żołnierzom zapisuje?

— Aspirynę zapisuje — potwierdziły trepy.

— No to póki zapisuje, niech robi, co mu się podoba, a ja nie chcę o niczym słyszeć.

Karolek obserwował doktora i coraz bardziej był przekonany, że pułkowy lekarz jest całkowicie normalny. W końcu postanowił, że wybierzemy się do niego obaj i pogadamy o Trzeciaku.

Poczekaliśmy, aż doktor będzie miał popołudniowy dyżur, i poszliśmy do izby chorych. Sanitariusze, z którymi Karolek pogadał już wcześniej, natychmiast się zmyli. Zostaliśmy we trzech.

— Panie doktorze — zaczął Karolek, celowo nie używając określenia „obywatelu poruczniku” i innych wojskowych głupot — mamy problem.

— Nic mnie to nie obchodzi — rzekł wesoło doktor.

Założył nogę na nogę i zaczął nam machać przed nosem trampkiem pomalowanym w jaskraworóżowe paski.

— To jest bardzo poważna sprawa.

— Ale ja nie jestem poważny.

— Tu chodzi o ludzkie życie.

— Nie zostało udowodnione, że istnienie ludzkości wnosi coś pozytywnego do życia naszej planety. Raczej przeciwnie.

— Panie doktorze — przejąłem inicjatywę. — Jest pan poetą i humanistą.

— Jestem osobą — stwierdził doktor — która nie może się wydostać z jednostki wojskowej w Opolu.

— Uratowaliśmy panu życie. Co prawda przypadkiem, ale jednak.

— Nie jestem pewien, czy to było konieczne.

— No dobra — wkurzył się Karolek. — Dosyć tych głupot. Słuchaj. Naszemu koledze Trzeciakowi kompletnie odpalantowało.

— Będzie weselej — powiedział doktor.

— Nie będzie. On się zajmuje pułkowym magazynem broni. Wiesz, co się stało w jednostce 274–25?

— Coś słyszałem.

— Szeregowiec wylazł na dach budynku. Miał ze sobą ręczny karabin maszynowy Diegtiariowa i cztery talerze z nabojami, czyli prawie dwieście sztuk. Była piąta po południu, słońce już tak nie paliło, na dachu było przyjemnie i przewiewnie. Ułożył się na plecach i gapił w niebo. Nawet się trochę opalił. Potem pododdziały zaczęły się schodzić na wieczorny apel. Szły z pieśnią na ustach, a nasz szeregowiec, leżąc już na brzuchu,

szykował diegtiariowa. Kiedy dowódca pułku wydał rozkaz „baczność”, puścił długą serię. Szybkostrzelność diegtiariowa to sześćset strzałów na minutę, więc możesz sobie wyobrazić, jak to szybko szło. Założył drugi talerz i wpakował czterdzieści dziewięć pocisków w spanikowaną, bezładną masę. Na tym szczęśliwie poprzestał. Zabił trzydzieści osiem osób, w tym dowódcę pułku. Rannych nikt nie liczył. Potem grupa żołnierzy usiłowała się dostać do niego na dach. Zabił jeszcze sześciu, nim go załatwili. Tak to było, doktorku.

— O co wam chodzi? — spytał doktor, patrząc na nas szeroko otwartymi oczami.

— Posłuchaj. Tamten chłopak miał tylko jeden erkaem, który rąbnął z magazynu, i cztery talerze naboí. Trzeciak może mieć wszystko: działka bezodrzutowe, granatniki, miny różnego rodzaju, także dowolną ilość trotylu w kostkach, rzecz jasna z zapalnikami. Masz pojęcie, co się może stać, jeśli nagle wymyśli sobie coś głupiego?

Doktor milczał przez dłuższą chwilę.

— Czego on chce?

— Tego samego co ty. Natychmiast się stąd wydostać.

— Ile ma do cywila?

— Sto dwadzieścia dziewięć dni.

— Tylko? Nie da rady wytrzymać?

— Mówi, że ani dnia dłużej.

Doktor znów się zamyślił.

— Spróbuję coś na to poradzić — rzekł wreszcie. — Czy on ma ten... jak wy nazywacie... ten centymetr krawiecki?

— Metr? Pewnie, że ma.

— No to namówcie kolegę, żeby mierzył.

Nie zrozumieliśmy, o co mu chodzi.

— Ma przy sobie centymetr krawiecki, prawda? — wyjaśnił doktor — No to niech nim mierzy. Bez przerwy. Od rana do wieczora.

— Ale konkretnie co ma mierzyć?

— Wszystko, co mu się nawinie. Im więcej osób będzie to widziało, tym lepiej. A potem przyprowadzicie go do mnie na izbę chorych.

— I?

— Mam pewien pomysł.

Uścisnęliśmy doktorowi serdecznie grabę i polecieliśmy pogadać z Trzeciakiem. Informacja, że ma mierzyć co popadnie, najpierw króla magazynu broni oburzyła.

— Za idiotę mnie ma czy jak?! Jeszcze nie zwariowałem! — oświadczył i odwrócił się twarzą do ściany.

— Doktor dobrze kombinuje — powiedział Karolek. — Jako czubek będziesz mógł stąd wyjść.

— Do żadnego psychiatryka nie dam się zamknąć — oświadczył Trzeciak.

— On cię nie chce tam zamknąć — wyjaśniłem. — Chce, żebyś wyszedł, udając wariata.

— Sam udaje tak, że już bardziej nie można, i gównu mu z tego wychodzi.

— Bo jest lekarzem i w dodatku trepem. Poza tym to czysta złośliwość majora, że nie chce go puścić.

— To dlaczego miałby puścić mnie?

— Ty masz poważny argument — rzekł tajemniczo Karolek. — Klucze do magazynu, w którym jest tyle materiałów wybuchowych, że można całe koszary wysadzić w powietrze.

Przeraziłem się. A jeśli porąbany Trzeciak naprawdę zrobi to, co mu Karolek tak lekkomyślnie podsuwa na tacy? Chciałem jeszcze trochę

pożyć.

Trzeciak zagapił się na Karolka jak wół na malowane wrota, a potem zrobił rzecz zaskakującą — uśmiechnął się. Pomyślałem, że może uśmiecha się, widząc oczyma duszy, jak pół Opola wylatuje w powietrze, ale Karolek znał Trzeciaka lepiej niż ja. Świrus się uśmiechał, bo znalazł wyjście z sytuacji i w dodatku bardzo mu się ono spodobało.

Następnego dnia, we wtorek, Trzeciak odpiął metr od paska i zaczął mierzyć. Najpierw nie zwracano na niego uwagi. No bo co kogo obchodzi Trzeciak mierzący wysokość stopni schodów, szerokość okien, ogólnowojskowe łóżka, na których żeśmy spali itp. W środę rano Trzeciak porzucił jednak te banalne zajęcia, wszedł bez pukania i meldowania się do gabinetu Konia i zaczął go mierzyć. Konia tak to zdumiało, że nawet się na niego nie wydarł, tylko obserwował Trzeciaka z niepokojem, a potem spytał Karolka:

— Co on robi?

— Mierzy obywatela kapitana — rzekł z niezmaconym spokojem Karolek.

— Dlaczego?

— On wszystko mierzy. Mnie zmierzył już dwa razy.

Koń źle się czuł w roli mierzonego, ale ponieważ nie wiedział, co robić, cierpliwie poddawał się zabiegom Trzeciaka. Potem Trzeciak skończył, zapisał wyniki na wyciągniętej z kieszeni karteczce i poszedł sobie. Koń patrzył za nim wstrząśnięty.

— Kto mu wydał rozkaz, żeby... tego... znaczy... mierzyć?

— Nie wiem, obywatelu kapitanie. Obawiam się, że nikt.

— Cholera jasna — rzekł Koń. — Czy on zwariował?

— Na to wygląda — powiedział Karolek. — Ale nie wiem, czy obywatelowi kapitanowi jest na rękę przyjęcie tego do wiadomości.

— Nie jest mi na rękę — rzekł Koń i obaj zajęli się czym innym.

Nie na długo jednak. Po godzinie wybuchła afera. Trzeciak poszedł do oficera dyżurnego i zaczął go mierzyć. Oficer kazał mu spierdalać, ale Trzeciak mierzył dalej. Wtedy oficer dyżurny kazał go wsadzić do paki. Trzeciak siedział w areszcie i mierzył tam wszystko, co się dało, zwłaszcza profosa.

W tym samym czasie powstał problem proceduralny. Można i należy karać żołnierza aresztem za różne przewinienia, ale akurat mierzenia w żadnym regulaminie nie przewidziano. Czyli Trzeciak siedział w areszcie poniekąd za niewinność. Wypuszczono go następnego dnia tuż przed wieczornym apelem. Trzeciak zjawił się na apelu, przez jakieś pięć minut stał spokojnie, a potem z centymetrem krawieckim w ręku ruszył w stronę dowódcy pułku, najwyraźniej mając zamiar go zmierzyć. Koń zareagował błyskawicznie. Ponieważ w areszcie Trzeciak już siedział, tym razem odprowadzono go na izbę chorych i zamknięto na klucz w izolatce. Kilkunastu żołnierzy zebrało się pod oknem izolatki i patrzyło, jak Trzeciak mierzy wszystko w pomieszczeniu, aż na koniec doktor kazał im iść do diabła.

Po przeprowadzeniu szczegółowych badań doktor udał się w sprawie Trzeciaka do dowódcy pułku. Zabrał ze sobą Karolka.

— No i o co tu chodzi? — zapytał major.

— Starszy szeregowy Trzeciak zdecydowanie odbiega od normy — stwierdził doktor.

— Świrus?

— O, tak. I to zaawansowany.

— No to do czubków z nim.

— Sprawa nie jest taka prosta, obywatelu majorze — powiedział Karolek. — Trzeciak, zanim jeszcze całkiem ześwirował, przyznał mi się,

że wyprowadził z magazynu broni siedem kałasznikowów, około tysiąca sztuk amunicji oraz dwadzieścia kilo trotylu razem z zapalnikami.

— Co?! Tym się musi zająć prokurator! Gdzie ten kretyn to ma?!

— Nie wiadomo, obywatelu majorze — wyjaśnił z niewinną minką Karolek. — Zresztą w innej rozmowie twierdził, że nic takiego nie ma.

— To ma czy nie ma, do cholery?!

— Biorąc pod uwagę jego stan psychiczny, sadzę, że ma — stwierdził doktor. — Ten rodzaj psychozy sprzyja gromadzeniu broni i materiałów wybuchowych.

— Kurwa mać! I co teraz?

— Sadzę — powiedział doktor — że dla dobra sprawy lepiej mu się nie sprzeciwiać. Nie doprowadzać do desperacji ani nadmiernego stresu, bo w przeciwnym razie... te dwadzieścia kilo trotylu...

— Ja sam jestem w desperacji! — wrzasnął major. — Kto dał temu szaleńcowi klucze do magazynu broni!?

— Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że osobiście obywatel major — rzekł Karolek.

Major zamilkł. Siedział w fotelu i ugiął się pod brzemieniem odpowiedzialności.

— A co zrobić, żeby on nie popadł w tę... no... desperację?

— Sprawić, by rzeczywistość była mniej więcej zgodna z jego oczekiwaniami. Tak przynajmniej twierdzi współczesna psychologia — wyjaśnił doktor.

— Czego to bydlę oczekuje?

Doktor spojrzał na Karolka.

— On chce natychmiast wyjść do cywila — wypalił Karolek.

— Co?! Nigdy! Po moim trupie!

Major tak się rozeźlił, że doktorowi i Karolkowi nie pozostało nic innego tylko opuścić jego gabinet. Szli przez plac apelowy i obaj byli zadowoleni. Doktor zaczął pogwizdywać pod nosem jakiś amerykański przebój, a Karolek przyłączył się do niego. Wszystko wskazywało na to, że rzucone w ogólnowojskową glebę ziarenko wszędzie i przyniesie oczekiwany plon.

Tymczasem wypuszczony przez doktora z izolatki Trzeciak łaził po koszarach i mierzył. Pasowało mu to i nawet humor mu się trochę poprawił. Odebrano mu klucze od magazynu broni i major zarządził w nim drobiazgową kontrolę. Miał nadzieję, że Trzeciak zgnije w kryminale, ale okazało się, że w magazynie wszystko się zgadza co do jednego naboju. Major kazał swojemu pisarzowi lecieć po Karolka.

— Gówna prawda! — zawołał, gdy tylko mój kumpel stanął przed nim. — W magazynie wszystko jest. Ten kutas nie ma żadnych dwudziestu kilogramów trotylu. Jasne?!

Karolek stał na baczność i przyglądał się majorowi z uwagą.

— Czy to nie będzie naruszenie dyscypliny wojskowej, jeśli powiem, że obywatel major jest cokolwiek naiwny? — spytał.

— Niby dlaczego!? — oburzył się major. — Trotyl jest w magazynie, czyli nie ma go Trzeciak, to chyba jasne.

— Ten trotyl — rzekł spokojnie Karolek — już dawno wybuchł na poligonie w Trzemesznie. To znaczy, wszystkim się wydawało, że wybuchł.

— Nie wybuchł?

— Jakby to precyzyjnie ująć?... W papierach jest napisane, że zużyto czterdzieści kilogramów trotylu. Tymczasem wybuchło tylko dwadzieścia.

— Cholera jasna! — wściekł się major, do którego zaczęło docierać, że Karolek ma rację. — I co teraz?

— Sytuacja, że tak powiem, nie uległa zmianie — powiedział Karolek.

Major użył wielu wyrazów uznanych za nieprzyzwoite, ale nie doszedł do żadnej konkluzji. Trzeciak nadal łąził i mierzył, a nasz batalion szukał w koszarach dwudziestu kilogramów trotylu wraz z zapalnikami, siedmiu kałasznikowów i tysiąca sztuk amunicji. Jak łatwo się domyślić, im bardziej żeśmy szukali, tym bardziej wyżej wymienionego uzbrojenia w koszarach nie było. Major był pewien, że Trzeciak ukrył trotyl i kałasze poza koszarami, ale choć Opole to nie jest jakieś bardzo duże miasto, przeszukanie go dom po domu nie było raczej możliwe. Zdesperowany major znów wezwał doktora i Karolka.

— Ja go nie mogę tak po prostu wypuścić do cywila — rzekł. — Do tego są potrzebne orzeczenia lekarskie, jakieś komisje. Ile on ma do końca?

— Sto dwanaście dni.

— Ludzie, przecież sama procedura potrwa dłużej! Czy ja mu każę coś robić? Niech siedzi na dupie, niech leży na wyrku i śpi, niech łązi codziennie po południu do miasta i wraca w dupę pijany... O co mu chodzi, do diabła?

— Chce wrócić do domu. Z tego co wiem, mieszka pod Przemyślem — poinformował Karolek.

— Mierzy coraz częściej i coraz bardziej obsesyjnie — dodał lekarz. — To oznacza, że jego stan się pogarsza.

— Niech to chuj strzeli! — zawołał major. — Przecież z tej matni w ogóle nie ma wyjścia.

— Jest — powiedział Karolek. — Tylko trzeba odrobinę dobrej woli.

— Niby jakie?

— Wypiszę Trzeciakowi pięciodniowy urlop... to znaczy... dowódca batalionu mu wypisze. Trzeciak z urlopu już nie wróci.

— Trzeba będzie się zwrócić do Wojskowej Służby Wewnętrznej — rzekł major.

— Oczywiście. Obywatel major miałby taki obowiązek, gdyby obywatel zauważył zniknięcie Trzeciaka. Ale obywatel major jest tylko człowiekiem i może takiego drobiazgu nie zauważyć. Co znaczy w takim pułku, jak nasz, jeden starszy szeregowy...

— Ma pan major prawo w ogóle nie wiedzieć, który to Trzeciak — wtrącił doktor.

— A trotyl i siedem sztuk kbk AK?

— Przecież w magazynie wszystko się zgadza — powiedział Karolek. — A jeśli nawet gdzieś tam pod Przemyślem coś wybuchnie, albo dojdzie do wymiany ognia, czy my możemy mieć z tym cokolwiek wspólnego?

— No tak — ucieszył się major. — To zupełnie inny okręg wojskowy.

Tego samego wieczora odbył się uroczysty bankiet, po którym Trzeciak przebrany w cywilne ubranie z najwyższym trudem dotarł do stacji Opole Zachodnie i wsiadł w pierwszy pociąg, bynajmniej nie do Przemyśla, ale to już nie miało znaczenia. W kieszeni Trzeciaka, który wkrótce zasnął jak niemowlę ukołyszany ruchem pociągu, spoczywał przyrząd krawiecki mający sto dwanaście centymetrów. Była to jego pamiątka po służbie wojskowej, którą oficjalnie nadal odbywał w Opolu. Na wszelki wypadek Karolek wypisywał mu kolejne urlopy, major niczego nie zauważał i wszyscy byli zadowoleni z wyjątkiem doktora, który nadal w żaden sposób nie mógł zakończyć swoich kontaktów z armią.

Rozdział 19

Tania



Rozpocząłem służbę wojskową trzeciego stycznia i tego samego dnia kolejnego roku powinienem ją zakończyć. Król poszedł mi jednak na rękę i załatwił wyjście zaraz po świętach. Nie miałem już nic do roboty, bo wspólnie z Karolkiem wynaleźliśmy Królowi nowego pomocnika, szeregowca Kwiatka z trzeciej kompanii, bardzo biegłego w zagadnieniach politycznych. Przez tydzień szkoliłem Kwiatka w roznoszeniu gazet po piętrach, pisaniu za kapitana konspektów do zajęć politycznych, a zwłaszcza w kwestii wzorcowych szlaków bojowych od Lenino do Berlina, opracowanych rzekomo przez kapitana Króla. Kwiatek był ogólnie pojętny i szybko zorientował się co i jak. Ale Karolek, choć sam go wybrał, nie był z Kwiatka do końca zadowolony. Uważał, że mój następca za bardzo przejmuje się socjalizmem i musi mu to radykalnie wybić z głowy. Miało się to stać podczas uroczystego bankietu z okazji opuszczenia przeze mnie JW 333–27. Nim jednak do tego doszło, jeszcze przed świętami wezwał mnie Król i rzekł:

— Mam do was ostatnią prośbę, Zabłocki. Zbliżają się święta i potrzebuję kogoś, kto załatwi mojej małżonce mięso, o które ostatnio jakoś trudno. Poszlibyście z Karolkiem, on wie co i jak.

— Tak jest, obywatelu kapitanie — odpowiedziałem dziarsko, z góry ciesząc się na tę wyprawę.

Zakup mięsa na święta był poważnym problemem. W sklepach mięsa nie było. Mięso do sklepów rzucali. W każdym sklepie można było spotkać grupę zdenerwowanych obywateli, którzy gubili się w domysłach: rzucać mięso czy nie rzucać. Inni, zamiast czekać w sklepach, usiłowali zorientować się w skomplikowanych mechanizmach rzucania mięsa. Karolek należał do zorientowanych, toteż nim wyruszyliśmy w drogę, mój kumpel wykonał kilka telefonów i już wiedział, do której placówki handlowej się udać.

W sklepie zastaliśmy około stu oczekujących, wściekłych i kłócących się ze sobą. Karolek ustawił mnie na końcu kolejki, a sam poszedł w stronę lady. Przez chwilę słuchał toczącej się tam dyskusji, potem się wtrącił, a ostatecznie objął przywództwo, dowodząc, że najkorzystniej i w pełni sprawiedliwie będzie wtedy, gdy zostanie sporządzona lista. Potem wyjął z raportówki kartkę i zaczął tę listę sporządzać. Nie szło to łatwo, bo każdy uważał, że jego miejsce na liście jest nieadekwatne wobec rzeczywistości, ale ostatecznie spisywanie stojących w kolejce zakończyło się sukcesem. Karolek wymachując kartką, wrócił do mnie i obaj oparliśmy się o ścianę, czekając na dostawę. I oto już po godzinie (co wielu wydało się cudem) zajechała chłodnia i wąsaci faceci zaczęli nosić mięso na zaplecze. W kolejce zapanowało radosne podniecenie. Wreszcie pierwszy pojemnik z mięsem przyniesiono z zaplecza do sklepu. Widząc to, Karolek pochylił się do stojącego przed nami potężnego facia o ponurym wyglądzie.

— Nie starczy dla wszystkich — powiedział. — Jak się nie przepchniemy, gówno będziemy mieli na święta, a nie mięso.

Ponury dryblas podskoczył jak dźgnięty ostrogą i zaczął napierać. Wraz z nim napierał cały tył kolejki, a przód usiłował to napieranie odeprzeć.

Wszyscy zbili się w bezładną kupę i zaczęli się okładać pięściami. Karolek przedarł się do lady.

— Tu jest lista! — zawołał, podając sprzedawczyni kartkę. — Niech pani sprzedaje według listy!

— Wedle listy będzie sprzedawane! — wrzasnęła sprzedawczyni tak głośno, że bójka natychmiast ustała.

I co się wtedy okazało? Że na początku listy jesteście Karolek i ja. Rozległy się głośne protesty, ale sprzedawczyni nie dała sobie w kaszę dmuchać.

— Albo daję wedle listy, albo w ogóle nie daję — oznajmiła. — Wybierajta!

Dwie minuty później, dźwigając siaty z mięsem, opuściliśmy sklep. Towarzyszyły nam wrogie spojrzenia. Trochę się bałem, że ktoś ruszy za nami, by za najbliższym rogiem ulicy dać nam w mordę, ale nic takiego się nie stało. Wszyscy zostali, by pilnować swojej kolejki.

— Jak to się stało, że znaleźliśmy się na czele listy? — spytałem, gdy oddaliliśmy się na przyzwoitą odległość.

— Stara sztuczka — uśmiechnął się Karolek. — Spisując nazwiska, zostawiłem trochę miejsca u góry kartki, a potem dopisałem tam nas.

Czy to nie był genialny człowiek?

Do bloków, w których mieszkali Król i Koń, było niedaleko. Osiedle robiło ponure wrażenie, wszystkie domy były takie same — trzypiętrowe i pozbawione wyrazu.

— Najpierw pójdziemy do Króla — powiedział Karolek. — Jego żona to hetera, nie wpuści nas nawet do przedpokoju. Za to u Tani łykniemy sobie dobrą kawkę na cześć naszego sukcesu.

— U Tani?

— Sam zobaczysz.

Król mieszkał na pierwszym piętrze. Na drzwiach wisiała wielka złota tabliczka z jego nazwiskiem. Zadzwoiłem. Za drzwiami rozległo się szuranie, potem wszystko ucichło, widocznie ktoś przyglądał się nam uważnie przez wizjer, aż wreszcie drzwi się otworzyły i ukazała się w nich niezbyt ładna, ale zadbana kobieta w średnim wieku.

— Dzień dobry, pani kapitanowo — powiedziałem. — Nazywam się Paweł Zabłocki. Zgodnie z rozkazem pani męża przyniosłem mięso.

Kobieta spojrzała na mnie ciekawie.

— Zabłocki... — powiedziała. — Mąż mi mówił. Podobno się staracie?

— Tak jest, pani kapitanowo.

— A ja jestem Karolek — rzekł stojący za mną Karolek, uśmiechając się szeroko.

— Wiem — powiedziała i dojrzałem w jej wzroku jakby cień grzesznego zainteresowania Karolkiem.

Wzięła ode mnie siaty z mięsem.

— Wesołych Świąt, pani kapitanowo! — powiedziałem.

— Wesołych Świąt — odpowiedziała i zamknęła drzwi.

Ruszyliśmy po schodach w dół.

Koń mieszkał w ostatnim bloku na osiedlu, na trzecim piętrze. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki, ale gdy Karolek zadzwonił, drzwi otworzyły się prawie natychmiast, a mnie zatkało z wrażenia. Stała w nich młodziutka, śliczna, smukła, ciemnowłosa dziewczyna. We wszystko na świecie mógłbym uwierzyć, ale nie w to, że ten idiota Koń ma taką żonę. Stałem i gapiłem się oszołomiony.

— Mięsko dla ciebie, kochanie — zawołał radośnie Karolek, pakując się do środka. — No wchodź, idioto, coś się tak zagapił?

Wkroczyłem do mieszkania jak lunatyk. Karolek czuł się tu jak u siebie w domu.

— Szeregowiec — zakomenderował, patrząc na ciemnowłosą piękność — dwie kawki, ale już!

— Tak, toczno — odpowiedziała, uśmiechając się i stając na baczność.

Dopiero w tym momencie zrozumiałem, że Tania jest Rosjanką, czego powinienem się domyślić, kiedy Karolek wymienił jej imię. Zniknęła w kuchni. Karolek poszedł tam za nią i słyszałem, jak szepcą do siebie. Potem wyszli, niosąc kawę. Siedliśmy przy niedużym stoliku. Tania patrzyła na mnie z leciutkim uśmiechem, który sprawił, że zapomniałem o wszystkich kobietach na świecie, z It włącznie. Karolek zaczął się kręcić na swoim fotelu.

— Przeprosimy cię na chwilę, Paweł — powiedział. — Nie ruszaj się stąd. Jakby co, toaleta jest tam — wskazał ręką.

Wstali oboje i znikli za drzwiami drugiego pokoju. Piłem małymi łykami znakomitą kawę i nie mogłem się w tym wszystkim połapać. Jakim cudem? To przecież niemożliwe, żeby Koń i taka dziewczyna... To się nie zdarza.

I wtedy z sąsiedniego pokoju dobiegło mnie westchnienie. Zacząłem nasłuchiwać. Po chwili znowu. Skrzypnęło łóżko, Tania cicho jęknęła, potem usłyszałem szepc. Cholera. W sąsiednim pokoju ten łajdak Karolek dobierał się do żony dowódcy batalionu. A więc to go tu trzymało. Słuchałem tak podniecony, że niemal wyskoczyłem ze skóry. Wszystko bym oddał, żeby zobaczyć, jak się teraz kochają, jak zmieniają się jej oczy w chwili namiętności, jak wygina się ciało Tani. Znieruchomiałem i tak siedziałem nad zimną kawą. W końcu otworzyły się drzwi, wyszli objęci, przytulając się do siebie. Tania miała na sobie cieniutki szlafroczek, który bardziej odsłaniał niż zasłaniał jej kształty. Podeszła do mnie tak blisko, że poczułem jej zapach.

— Grustno, da?

— Tak, smutno — przyznałem.

Pochyliła się nade mną i delikatnie pocałowała mnie w usta.

— Idziemy, Paweł — rzekł Karolek.

Poszedł do przedpokoju i zaczął wkładać kurtkę. Bardzo chciałem zostać, ale ruszyłem po swoją. Karolek wrócił do pokoju. Nie zważając na moją obecność, całowali się bardzo długo i namiętnie. Podałem Tani rękę. Uśmiechnęła się do mnie.

— Wiernioszja?

— Nie wróci. On po świętach wychodzi do cywila — rzekł Karolek. — Ma narzeczoną w Warszawie, za którą bardzo tęskni.

Patrzyła na mnie z kpiącym uśmiechem, pewna, że gdyby tylko zechciała, natychmiast przestałbym tęsknić. Chciałem coś powiedzieć, ale Karolek ruszył do drzwi, otworzył je energicznie i nie pozostawiało mi nic innego, jak wyjść za nim na klatkę schodową.

Szliśmy w milczeniu przez osiedle, wciąż przeżywając to, co nas spotkało.

— Wpadłeś jej w oko — powiedział wreszcie Karolek. — Dobrze, że wyjeżdżasz, bo tego, że ty z nią, chyba bym nie zniósł.

— A to, że jest żoną Konia, ci nie przeszkadza?

— To inna sprawa. Tania nie miała wyjścia.

— Nie mogę pojąć, jakim cudem taka dziewczyna mogła wyjść za tego kretyna.

— Mało wiesz o świecie. Wyobraź sobie, że jesteś młodą, ładną i pełną życia dziewczyną, mieszkającą w kołchozie mniej więcej sto kilometrów od Nowosybirsk...

— Tam się urodziła?

— Trzeba mieć pecha, prawda? Jej ojciec, matka, dziadek, babka wszystko kołchoźnicy. Żyli z dnia na dzień i oprócz bimbru, który po cichu pędzili, gównem z tego życia mieli. Mama Tani... widziałem jej zdjęcie...

była ładna kobieta, ojciec też niczego sobie, wysoki, silny, wywalczył sobie pięściami najpiękniejszą dziewczynę w kołchozie. I oto rodzi się dziewczynka. Jak laleczka po prostu. Jedna na sto tysięcy się taka rodzi, a może nawet na milion. Gdy Tania miała piętnaście lat, mamunia zaczęła kombinować, jakby tu ją korzystnie wydać za męża. I pewnie by wydała, gdyby się nie przypałała inteligent. Ktoś taki jak ty, Pawełku. Chudy, w okularkach, na co dzień zajmował się inseminacją, a od święta prowadził kołchozową bibliotekę. W Tani rzecz jasna zakochany do szaleństwa. Siadywali czasami za oborą pogadać i ten inseminator-bibliotekarz opowiedział jej o Nowym Jorku. Nie był tam rzecz jasna, ale czytał w jednej książce. I tak nabił głowę dziewczynie, że za nic miała miejscowych chłopców, odrzuciła zaloty dyrektora kołchozu, nie chciała nawet sekretarza partii, co prawda niskiego szczebla, tylko cały czas myślała, jak by tu się dostać do Nowego Jorku. Sprawa nie taka łatwa, bo najpierw trzeba się wydostać ze Związku Radzieckiego, a to dla kołchoźnicy rzecz zupełnie niewykonalna.

— Zaczynam rozumieć — powiedziałem.

— I dobrze kombinujesz. Kiedy Tania miała siedemnaście lat, w pobliżu były jakieś manewry nie manewry, diabli wiedzą co, w każdym razie przyjechali zwiedzać kołchoz polscy oficerowie. Dziewczyna od razu zrozumiała, że to jedyna szansa. Przyczepiła się do pierwszego, który jej się nawinął, uśmiechała się, robiła słodkie oczka, ona to potrafi, możesz mi wierzyć.

— I to był Koń?

— Czysty przypadek, ale na niego padło. Najpierw zgłupiał, bo wcześniej kobiety na niego nie leciały, nawet te całkiem przeciętne, a potem oszalał na jej punkcie. Krótko mówiąc, nim delegacja obejrzała kołchoz, już byli zaręczeni, Koń poprzysiągł, że uczyni wszystko, co w ludzkiej mocy,

żeby się z nią ożenić. Dwa lata walczył i w końcu związek małżeński został zawarty. I tak rok temu Tania porzuciła ojczyznę robotników i chłopów i znalazła się w Opolu.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu.

— To jednak przykre, że Koń był pierwszym facetem takiej dziewczyny — powiedziałem.

— Nie był pierwszy — sprostował Karolek. — Pierwszy był inseminator. Oddała mu się bez miłości. Chyba z wdzięczności, że jej uświadomił istnienie Nowego Jorku. Ale musiał to być nie byle majster w tych sprawach, bo zapewniam cię, że nie ma na świecie kobiety, która tak uwielbia się kochać jak Tania. Zdradza Konia, zdradza mnie, każdego zdradzi. Jest jak dziecko, które widzi czekoladkę i natychmiast musi ją zjeść. Daj słowo honoru, że do niej nie pójdziesz.

— A co ci za różnica, skoro i tak cię zdradza?

Karolek się zatrzymał.

— Paweł — powiedział — jesteś moim przyjacielem czy nie?

— Jestem.

— Nie mógłbym tego znieść, gdyby mi powiedziała, że ty też.

— Ona ci mówi?

— Wszystko jak na spowiedzi. Chyba robi to specjalnie, żebym był zazdrosny.

Popatrzyłem na niego z uwagą.

— Słuchaj, Karolek. Wiesz, że ci dobrze życzę. Uciekaj od niej, bo ona cię zniszczy.

— Nie rozumiesz — powiedział, patrząc na swoje buty. — Nigdy nikogo nie kochałem. Tylko ją. Słowo honoru.

— Nie pójde do niej — powiedziałem z żalem. — Bardzo bym chciał, ale nie pójde.

Spojrzał na mnie tak, jak jeszcze nigdy nie patrzył. I chyba dopiero teraz, stojąc między blokami osiedla dla trepów, zostaliśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

Potem były święta. Pałyga przywiózł opłatek od wujka swojej przyszłej żony. Niektórzy wyjechali, my z Karolkiem nie, bo on nie miał dokąd, a ja tuż po świętach wychodziłem. Piliśmy wódkę i śpiewaliśmy kolędy. Koszary wolno zasypywał śnieg. Pałyga wyruszył na pasterkę. Potem spaliśmy, graliśmy w pokera, aż wreszcie święta minęły, poszedłem do kapitana Króla i odmeldowałem się ostatecznie. Potem zdjąłem mundur, by już nigdy więcej go nie włożyć. Karolek odprowadził mnie do bramy.

— Szkoda, że wychodzisz, Paweł — powiedział. — Mógłbyś ze mną poczekać do wiosny. Zobaczyłbyś piękne rzeczy.

— Wiesz już, co zrobisz po wyjściu? — spytałem.

— Jasne. Wezmę Tanię i pojedziemy do Nowego Jorku.

Dotarliśmy do biura przepustek.

— Ucałuj It ode mnie — powiedział Karolek. — Nie jesteś jej wart. Świetna dziewczyna. Gdyby nie Tania, to kto wie...

— Nie napalaj się, bo zapomnę, co ci obiecałem.

— Ani mi się waż!

Padliśmy sobie w ramiona i trwaliśmy tak przez jakiś czas.

— Trzymaj się, chłopie — rzekł Karolek.

Odwrócił się i poszedł w stronę bloku naszego batalionu.

Wolno wyszedłem przez bramę koszar. Nie oglądałem się za siebie. Było mi lekko, wesoło, wydawało się, że rozpościera się przede mną nowy wspaniały świat. Spojrzałem na zegarek. Pociąg do Warszawy odjeżdżał z Opola Zachodniego za dziesięć minut. Przyspieszyłem kroku.

Epilog



Po powrocie do Warszawy postanowiłem odszukać Dwillego, ale mój kumpel po prostu zapadł się pod ziemię. Dopiero wiele lat później kolega pisarz, będący kierownikiem literackim pewnego teatru, pokazał mi wydruk komputerowy.

— Znasz go może? — spytał.

Spojrzałem na stronę tytułową. Było tam napisane: „Andrzej Dwilli — dobos i błazen”.

— To mój przyjaciel z wojska! — zawołałem. — Daj mi jego adres.

— Właśnie miałem nadzieję, że może ty mi go dasz.

— Nie masz jego adresu?

— Nie. Sztukę przysłał mi mailem. Jest świetna, ale wymaga pewnych poprawek. Napisałem mu o tym na jego adres mailowy. Odpisał: „Na żadne poprawki się nie zgadzam”. Napisałem, że naprawdę nie ma o co kruszyć kopii, a sztukę na pewno wystawimy. Nie odpisał. Napisałem jeszcze raz — okazało się, że skrzynka jest zlikwidowana. Zaproponowałem dyrektorowi, żeby to wystawił nawet bez poprawek, ale muszę mieć, do cholery, jakąś umowę z autorem. Pytałem z pięćdziesięciu pisarzy. Nikt go nie zna. Ty go znasz, ale nie masz żadnego namiaru.

To był jedyny ślad, na jaki natrafiłem. Dwilli nadal odmawiał udziału w biegu na kilometr. Szukałem — nie było go nigdzie. A najgorsze, że

kolega pisarz nie zgodził się, żebym przeczytał ten dramat. Podobno to by było sprzeczne z zasadami.

Spotkałem za to doktora. Przyszedł na wieczór autorski Eligiusza Guciaby, który po wielkich trudach wydał wreszcie swój wymarzony tomik. Jak się okazało, byli razem w Kole Młodych. Doktor był zupełnie normalny, ale jak udało mu się w końcu wydostać z wojska, nie chciał powiedzieć. To było jednak dla niego bolesne doświadczenie.

Wiosną, kilka miesięcy po wyjściu z wojska, napisałem do Karolka list, że It i ja zapraszamy go do nas, do Warszawy. Nie odpowiedział. Pytałem o niego wiele osób, ale Karolek znikł. Dopiero kilka lat później wpadła do mnie Ania, ta, u której ukrywałem się kiedyś przed poborem. Podobnie jak jej rodziców Anię nosiło po całym świecie. Nigdy nie wiedziałem, skąd przyjeżdża. Gdy już nie byliśmy z It, lubiła wpaść na godzinę, wyciągnąć się na łóżku i przytulić do mnie, ale na nic więcej nie pozwalała. Ja też lubiłem te chwile, kiedy odnajdywaliśmy dawną bliskość, by znów się nie widzieć przez parę miesięcy. Tego dnia Ania oznajmiła od progu:

— Mam dla ciebie pozdrowienia z Nowego Jorku.

— Od kogo? — zdziwiłem się, bo akurat z tym miastem nikt mi się nie kojarzył.

— Od Karolka i Tani.

Więc jednak tam dotarli. I byli razem.

— Co u nich słychać?

— Chyba nieźle — powiedziała Ania. — Mieszkają w wielkiej chałupie na przedmieściu. Zdaje się, że to ich własna, a to znaczy, że mają kasę. Karolek robi jakieś interesy.

— Jest do tego stworzony — powiedziałem.

— Jeśli mam być szczerą, to nie bardzo mi się one podobają — powiedziała Ania. — Są zbyt skomplikowane, żeby były uczciwe.

— A ona? Jest szczęśliwa?

— Czy ja wiem... Zdradza go, a on o tym wie.

— Taka już jest — powiedziałem.

Ania się zamyśliła.

— Muszę ci powiedzieć, że to wszystko razem wydało mi się jakieś dziwaczne... nawet niepokojące. Ale on cię bardzo lubi. Strasznie się ucieszył, kiedy powiedziałam, że cię znam.

— Dasz mi ich adres?

— Jasne.

Napisałem długi list. Nie dostałem odpowiedzi. Potem jeszcze jeden. Wrócił z adnotacją, że adresat się wyprowadził. Dopiero mniej więcej po roku dotarł do mnie list od Karolka.

„Pawełku drogi, ogólnowojskowy koleżko. Dostałem od ciebie dwa listy, ale nie miałem kiedy odpowiedzieć, bo za dużo i za szybko się działo. Teraz mam trochę czasu i odpisuję. Nie myśl, że nie interesowałem się twoimi losami. Ania wpadała do nas od czasu do czasu i opowiadała. Wiem, że już nie jesteś z It. Oczywiście jako idiota nie zasługujesz na taką dziewczynę i to było od początku wiadome. Ania mówiła też, że udało ci się wydać powieść, gdzie piszesz o Wilnie. Człowieku, tu nawet nikt nie wie, że takie miasto istnieje. Kto o takich rzeczach pisze? Dobrze chociaż to, że ci wydali, i podobno nawet jeden krytyk pochwalił. Teraz parę słów o mnie. Przebywam obecnie w Starke Prison na Florydzie. To jest, jak się domyślasz, stanowy zakład karny. Wyrok mam cztery lata i osiem miesięcy, chcieli dać mi więcej, ale nic mi nie mogli udowodnić, więc wsadzili mnie za narkotyki. Siedzę sobie w przewiewnym niebieskim mundurku, w sumie jest dość ciepły i w żaden sposób nie ogranicza ruchów. Celę mam jednoosobową. Główny sprzęt to piętrowe łóżko, ale na górnym nikt nie rezyduje. Jak siedzę na łóżku i wyciągnę nogi, mogę się wygodnie oprzeć

stopami o ścianę. Mam też na krótszej ścianie małą szafkę i półeczkę, na której mi położyli Biblię. Ładnie z ich strony, na razie nie czytam, ale powoli nabieram ochoty. Czwartej, krótszej ściany nie ma, jest tam krata, z której mam widok na galerię (cela jest na drugim piętrze), po której co pewien czas wolno i dostojnie przemierza się strażnik. Trochę byłoby to klaustrofobiczne, ale codziennie wyprowadzają nas na dość duży teren, a że klimat na Florydzie jest bardzo przyjemny, miło jest tam posiedzieć albo pochodzić. Teren jest podzielony na nieoznaczone strefy, których granic nikt, kto chce jeszcze pożyć, nie przekracza. Nasza strefa aryjska jest opodal palm. Dobre miejsce, bo można przebywać i na słońcu, i w cieniu. Dalej jest boisko do koszykówki i tam jest strefa czarnych. Za boiskiem na kolejnej części placu gromadzą się Latynosi, a nieco z boku jest mała łączka od zawsze stanowiąca domenę Azjatów. Nie tylko nie można przekraczać granicy stref, ale też nie można gadać z innymi, a już nie daj Boże coś od nich przyjmować albo coś im dawać. Takie są tu reguły gry. Albo uczysz się ich szybko, albo wbiją ci je boleśnie do głowy. Ja jestem bystry, więc nikomu nie przyszło do łba, żeby mi spuścić wpierdol. Powiesz pewnie, że to czysty rasizm, ale tu albo jesteś rasistą, albo nie przeżyjesz. Większość ma prostą taktykę: nie chcę kłopotów, biorę życie jak leci. Ale w Starke Prison są też gangi i ich szefowie robią tu niezłe biznesy. Ja kombinuję, żeby nie być w gangu — musiałbym wtedy robić, co mi każą — a równocześnie ustawić się blisko któregoś z szefów. Posiedzę tu ze dwa lata, to chciałbym coś na tym zarobić, bo w końcu jaka różnica, gdzie się robi kasę, po tej czy po tamtej stronie muru. Kiedy mnie ubierali w to niebieskie ubranko, przypomniałem sobie ciebie i twoją obsesję na punkcie munduru, jak to za cholerę nie chciałeś tego munduru włożyć, nawet w psychiatryku dałeś się zamknąć. Wszystko to bzdura. Nikt nie jest w stanie wtłoczyć człowieka w mundur, jeśli sam go sobie nie włoży. Ten

mundur był w tobie, a nie na tobie, chłopie. Ja przez jedną sekundę nie nosiłem żadnego munduru, zawsze byłem wolnym człowiekiem i teraz w więzieniu też jestem wolny. Mnie się nie da zamknąć. Zrobię tu interes życia, bo wiem to, co najważniejsze. Każdy, czy jest w strefie aryjskiej, czarnej, azjatyckiej czy latynoskiej, pragnie tego samego: na kilka chwil znaleźć się gdzie indziej. I jest na to lekarstwo, które natychmiast pomaga. Nazywa się działka porządnej, czystej hery, koki albo jeszcze czegoś innego, co tylko sobie koleś zamarzy. Za gotówkę albo na kredyt. Może zapłacić za działkę czekająca na wolności żona, tatuś albo mamusia. Spytasz może, jak chcę to zrobić, jeśli nie wolno przejść ze strefy do strefy. Widzisz, Pawełku, są jeszcze ścieżki, którymi się idzie na plac albo do budynku. Kiedyś ustalono, że nie należą do nikogo. Zrobię z nich promenadę chwilowego szczęścia i zapomnienia, muszę tylko znaleźć odpowiedniego bossa, który za część zysków skryje mój biznesik za swe potężne plecy. Nie napisałem ci najważniejszego. Tania wychodzi za mąż za jednego milionera, zresztą za moją pełną aprobatą. Ten stary pierdziel ma już siedemdziesiąt pięć lat i jak znam Tanieczkę, przez te dwa lata, które spędzę w Starke Prison, wykończy go jak amen w pacierzu. A wtedy pan Karolek tryumfalnie opuści Florydę i ożeni się z bogatą wdową. Jeśli myślisz, że przez ten czas Tania puści mnie w trąbę, to się głęboko mylisz. Nikt na świecie nie zgodzi się być zdradzonym tak bez przerwy i bezwstydnie jak ja. Tania robi to zresztą zupełnie niewinnie, ona jest dzieckiem, które wciąż się bawi pluszowymi misiami, wiem o tym. A potem kupimy wielką posiadłość, na której będzie stał wielki dom. A nieco dalej, nad sztucznym jeziorkiem, zbudujemy małe domki i przyjedziecie tam pomieszkać: ty, Pałyga, Trzeciak, Cybulski, doktor i inni dobrzy ludzie. W dzień, jeśli już musisz, będziesz pisał te swoje powieści, a wieczorami będziemy rozpalali na brzegu ognisko, pili

wódeczkę i gadali o byle czym. Od czasu do czasu sprowadzimy trochę trotylu, żeby Trzeciak mógł sobie coś wysadzić w powietrze. Tylko jedno musisz mi obiecać: nie będziesz spał z Tanią. Wszyscy mogą, ale nie ty. Jesteś moim przyjacielem, pamiętaj. Napiszę jeszcze. Karolek”.

Na kopercie nie było nadawcy i nie wiedziałem, na jaki adres odpisać. Czy wystarczy Starke Prison, Floryda, USA? A może Karolek nie chciał dostawać żadnych listów i dlatego nie podał adresu. Pomysł zamieszkania w małym domku nad sztucznym jeziorem, pisanie po całych dniach, a wieczorami gadania przy wódce z przyjaciółmi bardzo mi się spodobał. Nieraz myślałem, jak to będzie, bo przecież Karolkowi zawsze wszystko się udawało. Równocześnie męczyły mnie wątpliwości, czy ten domek nie okaże się kolejnymi koszarami, gdzie znów ktoś będzie mi mówił, co mam myśleć i jak żyć. Nie czułem się komfortowo w roli drugorzędnej postaci z planu na życie mojego przyjaciela. Mimo wszystko zawsze bliższy był mi Dwilli, neurastenik i wieczny szwejt. Ja też biegnę do mety samotnie na końcu stawki. A jeśli inaczej by się nie dało i musiałbym maszerować pod jakimś sztandarem, chciałbym, żeby to była biała w czarne kropki flaga plutonu E zmierzającego ku samounicestwieniu. Idą i tylko dwóch ludzi wie, co ich czeka na końcu drogi: Dwilli i ja.

Dziś przyszedł telegram od Ani, że Karolka zabili w więzieniu. Nie wierzę w to. Po co ktokolwiek na świecie miałby zabijać Karolka? Takie rzeczy się przecież nie zdarzają.

Postscriptum



„Drogi Pawełku,

Skończyłem twoją książkę. Nieźle się czyta, jest sporo zabawnych momentów, bohaterów da się lubić, tylko co z tego wynika? Powiedzmy, że przeczyta ją młody człowiek. Niepotrzebnie namieszasz mu w głowie. Co to za idea, żeby przybiegać do mety jako ostatni? Młodzież należy uczyć, że mają przybiegać pierwsi. Tylko to im daje jakieś szanse na tym głupim świecie. Twój przyjaciel Dwilli miał rację: człowiek rodzi się i umiera w mundurze. Co za różnica, takim czy innym? Zastanów się, co zdziałali twoi niby to wolni jak ptaki kumple? Pierwszy może i pisze genialne dramaty, tylko że nikt o nich nie wie, nikt ich nigdy nie zobaczy, chyba że jakiś przyjaciel opublikuje je po jego śmierci. Nie ma w tym odrobiny sensu. Jeśli ktoś chce być dramaturgiem, musi się przyjaźnić z dyrektorami teatrów, kierownikami literackimi, krytykami, być otwarty na ich sugestie, kulturalny, grzeczny, spolegliwy, zawsze dobrze o nich mówić i sprawić, by i oni dobrze o nim mówili. Im szybciej twój młody czytelnik to zrozumie, tym lepiej dla niego. A Karolek? Bardzo go zawsze lubiłem, przecież wiesz. Ale czego on dokonał? Poświęcił życie i dał się zabić dla kobiety, która traktowała go tylko jako narzędzie. Wiem, że Tania jest fascynująca, można dla niej oszaleć i była jedyną miłością jego życia. Ale to nie zmienia faktu, że Karolek okazał się po prostu durniem. Krótko mówiąc: to było wasze

życie i mieliście prawo je zmarnować. Ale po co o tym pisać książkę? Po co mnożyć wariatów podążających przez świat pod białym sztandarem w czarne kropki? Pozwól ludziom wierzyć, że stojąc na baczność i wykonując rozkazy, są szczęśliwi. Co ci szkodzi?

Twój także kiedyś podstępnie umundurowany przyjaciel Doktor”.

Podziękowania

Najserdeczniej dziękuję:

Piotrowi Müldnerowi-Nieckowskiemu za jego opowieści z epoki, które wzbogaciły powieść o niektóre wątki i postaci, z doktorem na czele.

Jackowi Wanginowi za uwagi i refleksje bardzo dla mnie cenne w trakcie pracy nad powieścią.